

MOCNA ROZMOWA Z PROF. LEGUTKĄ

Czy cenzura lewaków różni się
od cenzury stalinowców?



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

NR 20/322 13-19 MAJA 2019

Ziemkiewicz: Platforma
- między przegraną a klęską

DALEKO OD TRONU
CO CZEKA ARCHIEGO,
KOLEJNEGO
PRAWNIKA
KRÓLOWEJ ELŻBIETY II



Jak esbecy zakazali
Jackowi Kaczmarskiemu
powrotu do PRL

KOŚCIÓŁ DO BICIA

Odślaniamy kulisy ataku Jażdżewskiego



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 78 tys. egzemplarzy

WEŹ UDZIAŁ W LOTERII

CO **3** ZDRAPKA WYGRYWA!*



**88 rodzinnych
samochodów**



11 650 000 produktów **VERVA**



Dodatkowo dla zarejestrowanych uczestników Programu VITAY do wygrania **6 wyjazdów** pięcioosobowych na wyścigi Roberta Kubicy.



ORLEN

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapek: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orn.pl. Organizator: Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.
*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w loterii.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Desperacja polskich radykałów

W przypadku ruchu LGBT, jak w przypadku każdej rewolucyjnej, globalnej ideologii, brak sprzeciwu jest zachętą do radykalizacji. Uległość rozzuchwała. Pierwszy tęczyowy atak na Jasną Górę został odparty. Można być pewnym, że nastąpią kolejne, lepiej zorganizowane, bardziej krzykliwe – pisałem w lipcu 2018 r., komentując Marsz Równości w Częstochowie. Nie ma chyba wątpliwości, że dokładnie to dzieje się na naszych oczach – kolejne ataki środowisk LGBT są faktycznie „lepiej zorganizowane, bardziej krzykliwe”. I bardziej radykalne. Nie chodzi już o demonstrowanie w Częstochowie pod murami kaplicy, ale o celowe zniekształcanie obrazu Matki Boskiej w taki sposób, żeby wokół jej głowy pojawiła się tęczyowa aureola, znak-symbol rewolucji LGBT. Łatwo sobie wyobrazić, co może się dzieć dalej: być może nastąpią próby wdarcia się do kaplicy, może malowanie murów klasztoru. Wbrew bowiem propagandzie lewicowych mediów nie chodzi tu o żadną ekspresję artystyczną, ale o symboliczny jeszcze, ale prawdziwy atak na katolicyzm, na polską tradycję.

Tym razem niezbyt udany. Na szczęście radykałom nie udało

się zastraszyć policji. Podobnie nie udało się im, mimo pomocy ze strony samego Donalda Tuska (wygląda na to, że biedak w Brukseli zgłupiał już do reszty), narzucić opowieści, zgodnie z którą tęcza to symbol neutralny, właściwie biblijny. Tak, owszem, tęcza była znakiem przymierza Boga z Noem, ale powoływać się na to dziś to tak, jak twierdzić, że swastyka, hinduski znak szczęścia, nie ma nic wspólnego z nazizmem, i w związku z tym bronić jej publicznego używania. W obu przypadkach są to twierdzenia bałamutne i mogą świadczyć co najwyżej o braku rozumu tych, którzy je wypowiadają. Nie, tęcza na obrazie Matki Boskiej to znak wojenny.

Z całej historii można wyciągnąć, sądzę, kilka wniosków. Jeden pozytywny: desperacja polskich radykałów jest coraz większa. Mimo lat przygotowań Polacy, inaczej niż inne narody Zachodu, wciąż nie ulegli i nie dali sobie wmówić, że bluźnierstwo jest normą. Dla nich Matka Boża to wciąż ich matka i dlatego bronią jej czci. Dlatego w sensie politycznym radykałowie robią błędy: atakując bez głowy i brutalnie wzmacniają opór. Drugi brzmi inaczej: w walce z polską tożsamością nowi barba-

rzyńcy nie cofną się przed niczym. Jeszcze kilka lat temu baliby się, obecnie, ufni we wsparcie liberalnych mediów i zachodnich pieniędzy, przekraczają kolejne granice. Wierzą, że nic nie oprze się ich marszowi.

Trzeci wreszcie: coraz wyraźniej widać, że wojna kulturowa, którą lewica wypowiedziała Polsce, powoduje zdradę w szeregach tych, którzy rzekomo powinni tradycję wspierać. Myślę tu o liście „członków Kościoła”, który przeczytałem na portalu Gazeta.pl, podpisanym przez grupę ludzi reprezentujących „Więź”, „Znak”, „Tygodnik Powszechny” i „Gazetę Wyborczą”. Szczerze mówiąc, to chyba najbardziej faryzejski i obłudny tekst, jaki czytałem od lat. Zamiast bronić Matki Bożej przed profanacją, grupa ta zaatakowała... obrońców wizerunku w Częstochowie. Tekst robi wrażenie, jakby pisały go niedojrzałe podlotki – „wyrażamy swój sprzeciw przeciwko użyciu policji do ścigania rzekomej profanacji” lub niezbyt wykształcone aktywistki – „państwo nie jest od rozstrzygania, czy coś jest profanacją”. Według nich słowa Jarosława Kaczyńskiego: „Kto podnosi rękę na Kościół, podnosi rękę na Polskę” to przykład zawłaszczenia Kościoła. I jeszcze dalej: „Naszym zdaniem milczenie władz Kościoła wobec roszczeń rządzącej partii do rzekomej obrony Kościoła i wartości chrześcijańskich stanowi przyzwolenie na represjonowanie obywateli z powodu ich przekonań”. Tak, oni napisali to naprawdę: w ich oczach ofiarą są nie Matka Boska i nie katolicy, którzy muszą cierpieć, że to, co dla nich najświętsze, jest poniżane i bezczeszczone, ale sprawca owej napaści. Czytam ten list i przypominają mi się inne, podobne dokonania zaangażowanych katolików, księży patriotów i reszty z czasów PRL. Właściwie nawet trudno z czymś takim polemizować. Na wymioty się zbiera. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

20 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ELITA MŁODYCH ANTYKATOLIKÓW
Rewolucja obyczajowa według
Jażdżewskiego

24 GRZEGORZ KUCHARCZYK
ANTYKOŚCIELNY SCHEMAT



KRAJ

28 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
NIC NIGDY NIE JEST NA ZAWSZE
W Europie następuje otrzeźwienie

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PO MIĘDZY PRZEGRANĄ A KLĘSKĄ

34 KAMILA BARANOWSKA
PRELUDIUM DO JESIENI

38 ŁUKASZ WARZECHA
ROLA TRESERA

40 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ZDERZENIE CIMOSZEWICZA

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
PARAGRAF NA WIEK XX
Nowy serial w HBO

46 ŁUKASZ CZARNECKI
DROGA DO ŚRÓDZIEMIA

48 ROZMOWA Z MARKIEM BUKOWSKIM
NIKODEM DYZMA I JEGO AUTOR –
PREMIERA W TEATRZE TELEWIZJI

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z DR. SŁAWOMIREM MENTZENEM
NASZ PRAWDZIWY CEL TO SEJM
Konfederacja jako narzędzie
dyscyplinowania PiS

60 JAN PARYS
WYZWANIA MIĘDZYNARODOWE

HISTORIA

62 GRZEGORZ MAJCHRAK
KACZMARSKI – PERSONA NON GRATA
Jak bezpieczeństwa tropiła barda

64 POLEMKA WOKÓŁ FELIETONU JACKA KOMUDY
O BISKUPIE KRAKOWSKIM ZAWISZY

ŚWIAT



68 MAREK BUDZISZ
NADCHODZI ŁODOWA WOJNA?
Arktyczne zapędy Rosji

72 OLIVIER BAULT
ŻYCIE JAKO KOSZT – OD EUTANAZJI
DO EUTANAZIZMU

74 JACEK
PRZYBYLSKI

DALEKO
OD TRONU

77 TOMASZ
CUKIERNIK

KUBA: KOMUNIZM TRZYMA SIĘ MOCNO
Ciężki żywot na rajskiej wyspie

EKONOMIA

80 ŁUKASZ ZBORALSKI
UNIA DWÓCH SMAKÓW
Gorsze jedzenie dla Polaków

STYL

84 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KUBEK NIE Z TEGO ŚWIATA
Wpadki w filmach i serialach

86 JOANNA BOJAŃCZYK
ZANIK GUSTU?

O ZDROWIU

90 ROZMOWA
Z PROF. MARIĄ SIEMIONOW
CHIMERA, KTÓRA LECZY
Polka tworzy przełomową terapię



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Godiek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Marek Budzisz**, **Sławomir Cenciewicz**,
Wiesław Chelminski, **Dominika Cosi** (*Bruska*), **Krzysztof Czabański**,
Piotr Gursztyn, **Maria Kądzelska**, **Kataryna**, **Jacek Komuda**,
Sławomir Koper, **Piotr Kowalcuk** (*Rym*), **Jakub Kowalski**,
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małowski, **Monika Małowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Filip Menches**, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**,
Maciej Pieczyński, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torański**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzry**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójcisz**, **Włodzimierz Zakrzewski**

Fotodyscja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**

Okładka: **Jacek Dominiński/REPORTER**, **Adobe Stock**; oprac. graf. **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 78 tys. egzemplarzy



DRUK: WALTSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko

za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów

prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Szanowni Państwo,

Strajk nauczycieli został co prawda zawieszony, temat nieco przycichł, ale to nie znaczy, że o sytuacji w oświacie nie warto rozmawiać.

I o tym jest dzisiejszy list. Zapraszamy do kontaktu i przypominamy adres: listy@dorzeczy.pl.

Król jest nagi!

Szanowna Redakcjo!

Jestem nauczycielem z 30-letnim stażem pracy w szkole podstawowej i gimnazjum. W strajku nie uczestniczyłam. Od początku wiedziałam, że nie chcę mieć nic wspólnego z taką organizacją jak ZNP, znając jej historię oraz poglądy działacza (takowe mam w rodzinie i wśród znajomych). Poza tym wiedziałam, że jest to strajk polityczny, i oburzeniem napętniały mnie zapowiedzi prezesa Broniarza o planach niedopuszczenia do egzaminów, a nawet matur (prywatnie jestem matką tegorocznego maturzysty). [...] Na szczęście w mojej szkole nie dochodziło do tak drastycznych sytuacji sekowania niestrajkujących, jak to było w innych placówkach. Mnie spotykał „tylko” ze strony niektórych współpracowników wyniosły chłód lub traktowanie jak powietrze. To ja przeprowadziłam egzaminy ósmoklasistów (z pomocą dwóch nauczycielek przystanych z innej szkoły), pomogłam także przeprowadzić je w pobliskim gimnazjum. [...]

Uważam, a za tą opinią stoi moje 30-letnie doświadczenie w pracy pedagogicznej, że nie pomogą żadne zmiany, jeżeli nie połączy się ich ze starą, niemodną i praktycznie już nieistniejącą w placówkach oświatowych dyscypliną szkolną oraz z ponownym obdarzeniem nauczycieli tym, czego nas stopniowo pozbawiano od ponad dwóch dekad, a mianowicie z możliwościami egzekwowania wiedzy i odpowiedniego zachowania uczniów. Obecnie cały system podąża w przeciwną stronę – często próba zdyscyplinowania ucznia, nawet tak skromna jak wpis negatywnej uwagi w dzienniku, napotyka natychmiast silny opór nie tylko ze strony tegoż ucznia, lecz także rodziców. Nie każdy nauczyciel ma dość siły, aby znosić tak stresującą sytuację jak odbiór złościwych czy wręcz agresywnych wiadomości pisemnych lub telefonów oburzonych rodziców, dyscyplinujące rozmowy z dyrektorem, skargi do kuratorium czy wydziału oświaty itp.,

więc często woli udawać, że „nie widzi” i „nie słyszy”, albo wpisaną uwagę czy równie „niesprawiedliwie” wystawioną ocenę przypłaca zdrowiem... Proszę sobie wyobrazić, jak wpływa to na młodego człowieka [...]

I jeszcze poruszana wielokrotnie sprawa wymogu nieustannego szkolenia się nauczycieli, co według wielu opinii będzie jednym z najlepszych sposobów poprawy poziomu nauczania. To kolejny mit i aż prosi się, żeby ktoś wreszcie krzyknął, że „król jest nagi”! Spośród ogromnej liczby szkoleń, w których brałam udział, dosłownie na palcach jednej ręki mogłabym wymienić te, które wniosły coś pozytywnego do mojej pracy na lekcjach i na zajęciach pozalekcyjnych. Udział w wielu z nich to po prostu strata czasu. Tyle mówi się o sprawdzaniu wiedzy nauczycieli, a czy ktoś sprawdza poziom przygotowania

Prawdziwy gentleman powinien umieć robić z siebie dumia przysmakującą w dwóch językach...



C E Z Z Y K R Y S Z T O P D

osób prowadzących szkolenia i samą ich tematykę, często podążającą za tym, co obecnie modne w oświacie, a nie za tym, co naprawdę potrzebne, by poprawić poziom przekazywanej wiedzy i umiejętności?

Wielką przykrość sprawiają mi również opinie o małej liczbie godzin spędzanych przez nauczycieli w szkole i w ogóle skromnego czasu ich pracy. Nikt zaś nie wspomina o dużej liczbie nauczycieli, którzy, aby mieć etat, łączą różne funkcje w szkole lub pracę w kilku szkołach. Ja przeżyłam i jedno, i drugie. [...]

Podsumowując garść strajkowych i szkolnych rozważań, dodam jeszcze, że cieszę się, iż nie opuściłam swoich uczniów w ważnym dla nich momencie. A tak swoją drogą nie usłyszałam za to nawet jednego słowa „dziękuję” (choć oczywiście nie po to dokonałam takiego wyboru). Za moi strajkujący współpracownicy otrzymali... tort jako podziękowanie od rodziców wspierających strajk. [...]

Z poważaniem
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Fastrygi na szatach

Niecierpliwość to okropnie brzydka wada / przez tę wadę się niekiedy głupio wpada” – przestrzegały słowa starego szlagieru. Donald Tusk nie chciał poczekać do zapowiadanego od miesiąca występu 4 czerwca w Gdańsku i pokusił się o wcześniejszy występ 3 maja. I dobra passa szefa Rady Europejskiej w Polsce niespodziewanie się załamała.

Dzisiaj wszyscy gubią się w domysłach. Czy Leszek Jażdżewski samowolnie wyskoczył z antykościelną szarżą, czy był to element zaplanowanej strategii? Jeśli szef „Liberté!” zaskoczył Tuska, to znaczy, że ten nie potrafi zadbać, by jego występy były dopracowane do ostatniego szczegółu. Jeśli działał za zgodą Tuska, to dlaczego parę dni potem politycy z jego otoczenia wypuszczali przecieki, że „szef” był niemile zaskoczony tym występowaniem? Cztery dni po przeciekach w stylu „Donald był wściekły” Tusk powtórzył jednak swój show w Poznaniu, gdzie wziął w obronę Jażdżewskiego.

Czyżby wielki Donald pod wpływem chwilowych emocji wykonywał nagle zwroty przez rufę? Coś nagle sprawiło, że wielkie mowy Donalda Tuska nagle przestały zachwycać. Sławomir Sierakowski kręcił nosem w Onet.pl, że szef Rady Europejskiej sypie błyskotliwymi dygresjami, pozuje na nowego Geremka, a tymczasem trzeba twardej wyborczej mowy. Łukasz Pawłowski z Kultury Liberalnej wskazał, że przemowę Tuska „podlano romantycznym sosem walki o Polskę dla pokolenia millennialistów, które nie chce smogu i ogląda »Grę o tron«”. Romantyzm jest tu o tyle zabawny, że akurat od wielkich wizji i emocjonalnych uniesień Tusk zawsze stronił.

Jedno jest pewne – wszyscy wyczuli, że przemawiając w Warszawie i Poznaniu, Tusk wiele razy odczytał akapity pisane przez sztabowców. Jawił się jako ktoś, kto nie mówi od siebie, ktoś, kto klepie nie swoje kwestie. Zobaczyliśmy Tuska, który czegoś nie wyczuł, coś przeoczył, czegoś nie dopilnował i który nie wyczuł klimatu nad

Wisłą. Może to tylko gorsze dni, a może coś więcej. Czas pokaże. Coś się jednak w tej pięknej maszynierii z Brukseli zacięło.

I stąd liczne nerwowe relacje salonu III RP. Donald Tusk to już bowiem ostatnia nadzieja „ludzi myślących”. Po tym, jak opatrzył się Schetyna, a Robert Biedroń okazał się showmanem dość tandetnym, już tylko w Tusku nadzieja. A na tę nadzieję padł cień wątplenia.

Jednak w nerwowych reakcjach Marcina Mellerera czy Sierakowskiego jest też coś więcej. To coś jak reakcja narzeczonej, która już dała dowód miłości i niepokoi się, że już zbyt długo nie pada propozycja małżeństwa. Elity III RP zaczyna drażnić domniemany zbawca z Brukseli, który na pytanie o start w wyborach prezydenckich wciąż robi tajemnicze miny i rzuca, że niczego nie wyklucza.

Dla Tuska to czcza igraszka, a im chodzi o życie. Oczekiwanie związane z występowaniem 4 czerwca jeszcze bardziej wzrosną. Zobaczmy, czy w Gdańsku Tusk im sprostą. ©©

BEZOS: CZAS WRÓCIĆ NA KSIĘŻYC

Założyciel Amazona Jeff Bezos zaprezentował należący do firmy Blue Origin lądownik księżycowy Blue Moon. Nowoczesny lądownik na razie jest w stanie dostarczyć na Księżyc do 3,6 t ładunku. Blue Origin przygotowuje też nowy silnik o nazwie BE-7. Ma on zostać umieszczony w rakiecie, która ma wynosić w Kosmos Blue Moon. Pierwsze testy zaplanowano na lato. Jednocześnie Bezos zaoferował pomoc dla NASA przy realizacji projektu powrotu na Srebrny Glob w 2024 r. – Nadszedł czas, by wrócić na Księżyc. Tym razem aby tam zostać – oznajmił biznesmen, który marzy o tym, aby ludzie stali się gatunkiem multiplanetarnym. (jap) ©©



FOT. BLUE ORIGIN

Wywiad z Bogiem

O co byś zapytał Stwórcę, gdybyś mógł przeprowadzić z Nim szczery wywiad? Siadasz naprzeciw Niego jak równy z równym. I możesz pytać o wszystko. Bez strachu, że Go rozniewasz, bez obaw, że nie udzieli odpowiedzi bądź odpowie wymijająco. Ze wszystkich ludzi na świecie właśnie ty masz jedyną w życiu szansę na przeprowadzenie wywiadu z Bogiem.

W takiej właśnie sytuacji znajduje się Paul Asher, główny bohater filmu „Wywiad z Bogiem”. Jest ambitnym i wykonującym swój fach z wielkim zaangażowaniem dziennikarzem. Jego życie osobiste nie jest jednak takie, jakie sobie wymarzył. W małżeństwie nie układa mu się najlepiej. Trwałe piętno odcisnęła na nim wyjazd na misję wojskową (w charakterze reportera) do Afganistanu. Przeżywa kryzys wiary. Można by więc pomyśleć, że nie jest najodpowiedniejszą osobą, by rozmawiać z Bogiem, ale może paradoksalnie właśnie kryzys i zwątpienie czynią

go docieklwym i najlepszym rozmówcą? „Wywiad z Bogiem” zachęca widza do zastanowienia się nad tym, co my byśmy zrobili i jakie pytania zadalibyśmy Stwórcy, gdybyśmy byli na miejscu Paula Ashera. I do refleksji – a co, jeśli mamy taką możliwość na wyciągnięcie ręki? Czymże innym jest modlitwa niż rozmowa z Bogiem? Może tylko nam się wydaje, że to monolog, że Bóg nie odpowiada. Może odpowiada, ale nie są to odpowiedzi dawane wprost i nie padają od razu.

Niezwykły, zmuszający do refleksji, do zastanowienia się nad siłą modlitwy film wyreżyserował Perry Lang. W roli Boga wystąpił David Strathairn znany (i nominowany m.in. do Oscara i Złotego Globu) z roli legendarnego nadawcy wiadomości CBS Edwarda R. Murrowa w filmie George’a Clooneya „Good Night and Good Luck”. W docie-



**20 maja
z „Do Rzeczy”
film fabularny
„Wywiad
z Bogiem”**

kliwego dziennikarza wcielił się z kolei wszechstronny aktor i jedna

z najszybciej rosnących gwiazd Hollywood Brenton Thwaites.

Film „Wywiad z Bogiem” będzie można kupić z kolejnym wydaniem „Do Rzeczy”, które w kioskach i salonach prasowych pojawi się 20 maja. (oprac. raw) ©©

REKLAMA



10.
ANNIVERSARY

IL VOLO
Music TOUR

KONCERT

14 WRZEŚNIA 2019
ARENA GLIWICE

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

IL VOLO WEBSITE: ILVOLOMUSIC.COM FB: /ILVOLOMUSIC INSTAGRAM: / @ILVOLOMUSIC

APOLLO
MANAGEMENT

Prestige
MJM

GLIWICE

Arena Gliwice

DZIENNIK
ZACHODNI
VIXION

wprost
pap

RZECZY
TVS

WP
TVTORUN

naszemiasło
Grupa Mediaset

STRÖER
proart

PRESS
SERVICE
GTV



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Prawdziwe zmyślenie

Se non è vero, è ben trovato – mawiają Włosi. Czyli: nawet jeśli historia nie jest prawdziwa, to jest dobrze zmyślona. „Prawdziwe zmyślenie” było z kolei hasłem XIX-wiecznej prozy, przez potomnych nazwanej wielkim realizmem. Szczegóły mogą być fikcyjne, byle składały się na trafny obraz opisywanych czasów, miejsc i społeczności.

Tylko nieliczni pytali: „To chyba żart?”

Dla mnie osobiście wzorem prawdziwego zmyślenia jest primaprilisowy żart jednej z gazet w czasach mojej młodości – rok mniej więcej 1982. Gazeta poinformowała mianowicie o wprowadzeniu reglamentacji prezerwatyw, przy czym kartki na nie przysługiwać miały tylko pełnoletnim, w zależności od

przedziału wiekowego (20-latkom – sześć miesięcznie, 60-latkom jedna), i podlegać wymianom – na kartki na czekoladę, odzież ochronną etc. Wszystko to zostało w gazecie skrupulatnie wyłuszczone. I wszyscy się na to nabrali, a w mojej szkole omal nie wybuchł bunt, dlaczego tylko pełnoletni... Długo trwało, nim ktoś skojarzył ten komunikat z datą. Po prostu reglamentowano wtedy wszystko, co miesiąc więcej, mnożąc groteskowe możliwości wymiany (za talon na karton papierosów – dwie pary majtek etc.), brzmiało to więc wiarygodnie.

Tyle wstępu, teraz mój twitterowy żart. Upubliczniłem projekt postulowanej przez wicepremiera, premiera, prezydenta i liderów opozycji poprawki do Konstytucji RP: „Art. xxx: Za zapewnienie obywatelom RP dobrobytu odpowiada Unia Europejska, a za ich bezpieczeństwo NATO. RP wyraża za to

wdzięczność i zapewnia ochronę powyższym sojuszom”.

Mam wielkie doświadczenie z internetowymi nieporozumieniami, z zanikiem poczucia ironii i żartu, ale odbiór tego wpisu zaskoczył nawet mnie. Tylko nieliczni pytali: „To chyba żart?” – powszechnie potraktowano go najzupełniej serio. Uważam, że coś to mówi. I nie o „niegramotności” internautów, tylko o zupełnie chorym stosunku naszej „klasy politycznej” i „opinii publicznej” do zagranicy, postrzeganej jak dobry wujcio, który zapewni, załatwi i zaopiekuje się – wystarczy, że będziemy mu posłuszni.

Teraz od kilku dni żyję w strachu, że mój głupi (jak się okazało) żart zostanie w którejś z kancelarii uznany za inspirujący, doskonale oddający nasze oczekiwania wobec sojuszników, jako taki zostanie skierowany do legislatury i w końcu naprawdę znajdzie się w ustawie zasadniczej. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

I ty jesteś ruskim agentem

Nie ulega wątpliwości, że Polska jest szczególnie penetrowana przez rosyjskich szpiegów bądź kremlowskich użytecznych idiotów, ale kto by pomyślał, że jest ich jakieś 25–30 mln? Gdyby bowiem przyjąć – a niech tam – logikę niejakiego Tomasza Piątka, związanego z „Gazetą Wyborczą”, to każdy, kto czytał „Mistrza i Małgorzatę”, jechał z ukraińskim kierowcą Ubera albo był w rosyjskiej restauracji, ma zawiązki – a jeśli nie, to przynajmniej podejrzane kontakty – z GRU bądź postsowiecką mafią.

Mniej więcej na takiej zasadzie zbudowana jest książka Tomasza

Piątka, która nie przypadkiem ukazała się na finiszu kampanii wyborczej. W „Morawieckim i jego tajemnicach” autor insynuuje, że premier jest powiązany z Rosją. Nihil novi, można powiedzieć – we wcześniejszych dziełach robił – myląc podstawowe fakty, manipulując i nie sprawdzając danych – agenta GRU z Antoniego Macierewicza.

Pytanie, czy szaleństwo Piątka ma jakieś granice? W wywiadzie dla portalu naTemat.pl promującym książkę opowiada, że ojciec premiera, Kornel Morawiecki, jeden z najbardziej ściganych przez esbecję opozycjonistów – tu cytat – „chroniony był przez komuni-

styczną Służbę Bezpieczeństwa”. Śmiech pusty ogarnia, gdy czyta się to dzieło, w którym opowiada, jak to Morawiecki został szefem rządu dzięki rosyjskiej prowokacji, którą miała być „afery taśmowa”, zapominając, że skompromitowany rząd Platformy obalili wyborcy. No cóż, 25 mln ruskich agentów robi swoje.

Kilka miesięcy temu Adam Michnik, w którego gazecie Piątek pisuje, mówił, że był przeciwny wydaniu książki Piątka o Macierewicz, bo uważał ją za absurdalną. Za kilka miesięcy nikt poważnie książki Piątka o Morawieckim też traktować nie będzie, ale dziś potrzebna jest na czas wyborczy. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O sędziach i teściach

W Italii sędziowie od powstania Republiki Włoskiej ferują wyroki zgodne ze swoimi poglądami, a dopiero potem z przepisami prawa. Ujmując rzecz inaczej, sędziowie naginają prawo tak, żeby wyroki służyły ideologii, którą wyznają. Trudno się temu dziwić, skoro we włoskim stowarzyszeniu sędziów działają frakcje polityczne, które walczą o miejsca i wpływy w radzie naczelnej, wydają

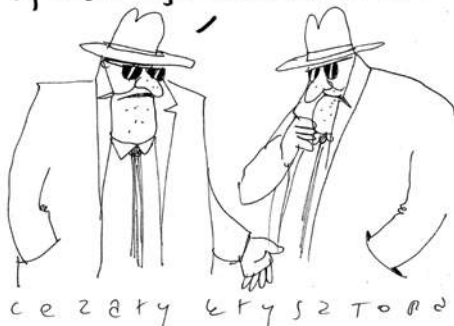
migracja. Według apostołów postępu ludzie dzielą się teraz na wspierających niekontrolowaną migrację i na faszystów. W wersji dla wierzących faszystę zastępuje szatan.

Przy rozpatrywaniu podań o azyl lub „ochronę międzynarodową” obowiązują dość jasne kryteria, z których postępowi sędziowie w służbie ideologii stroją sobie żarty. Niejaki Bakayoko Aboubakar S. przybył do Italii z Wybrzeża Kości Słoniowej. W podaniu o azyl napisał, że jest u siebie w kraju prześladowany za homoseksualizm. Okazało się jednak, że orientacja seksualna nie przeszkodziła mu w spółdzeniu dwojga dzieci. Sędziowie nabrali pewnych podejrzeń, zwłaszcza że na WKS, w odróżnieniu od wielu innych krajów afrykańskich, homoseksualizm jest jak najbardziej dozwolony. Bakayoko złożył więc dodatkowe wyjaśnienia. Wynikało z nich, że prześladowały go nie iworyjskie władze, ale teść, w dodatku lokalny imam, któremu bardzo nie podoobało się, że zięć zdradza jego córkę, co gorsza z mężczyzną. Sędziowie pierwszej instancji uznali, że to iworyjskie władze powinny chronić Bakayoko przed teściem. Odwołał się i włoski Sąd Najwyższy właśnie przyznał mu azyl.

Strach pomyśleć, co będzie, gdy w Italii zaczną udzielać azylu prześladowanym przez teściową.

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Zwyzywaliśmy ich od świni,
spółakowaliśmy ich symbole,
a Polacy nadal u nas nie kochają...
Ty coś z tego rozumiesz?!



zaangażowane ideologicznie periodyki i politykują aż miło.

Stąd wyroki w sprawach ideologicznie wrażliwych w kolejnych instancjach potrafią się od siebie diametralnie różnić, bo bywa, że w jednej orzekają sędziowie konserwatywni, w drugiej postępowcy, a w trzeciej centrowcy. Obecnie w Italii najbardziej drażliwą kwestią ideologiczną i moralną jest



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

„W Tusku pokładamy ufność”

Mało na opozycyjnym Twitterze wydarzyło się w ostatnich latach rzeczy równie znamienne, jak wyczekiwany trzeciomajowy wykład Donalda Tuska. Żeby przybliżyć państwu tę podniosłą atmosferę, wybrałem same perełki. Oto one. „Wiara i nadzieja #PrezydentTusk2020” – napisał niejaki „Fan Tuska”, dołączając do swojego tweeta grafikę z wizerunkiem przewodniczącego RE z podpisem: „In Tusk we Trust”.

„Ktoś tu chyba zerznął cudze hasło. Dobra, oddaję za darmo :)” – do dyskusji włączył się wyraźnie poruszony Tomasz Lis. „Nie zżynałem. Ale skoro byłem drugi, to należał ci się tantiemy bez dwóch zdań” – odparł internauta. I tylko gdzieś panom uleciało, że jeżeli ktoś zżynał, to obaj od Amerykanów. Z drobną różnicą, oni ufają w Boga.

W kogo ufa Bogdan Zdrojewski, nie wiem, po jego komentarzu się domyślam. „Obok wystąpienia Lecha Wałęsy w Kongresie USA, to dzisiejsze Donalda Tuska przejdzie do historii. Nie tylko naszej. Może stać się też pewnym wzorcem przemówień męża stanu” – stwierdził polityk PO. „Dla Donalda Tuska największym problemem w walce o potencjalną prezydenturę może być to, że jest za inteligentny dla większości społeczeństwa” – dodał Tytus Hołdys.

Pochwał nie było końca. „Tusk wygłosił najlepszą w kraju mowę w obronie konstytucji. Ci, którym droga jest praworządność w kraju, winni to docenić, a nie okazywać małostkowość tylko dlatego, że oni takiej mowy nie wygłosili” – Marcin Zaborowski. „Po świetnym wykładzie na UW prawica złości się, że Tusk nie powinien »wtrącać się« do polityki krajowej, bo stoi na czele międzynarodowej organizacji. A Karol Wojtyła mógł? Ktoś powie: co za porównanie! Trochę racja. Tusk przewodniczy instytucji świeckiej, więc tym bardziej może” – prof. Wojciech Sadurski.

Jeszcze raz Tomasz Lis. Tym razem po wystąpieniu byłego premiera. „Bardzo dziękuję Donaldowi Tuskowi za mądre i głębokie wystąpienie o Polsce, Europie, świecie i wartościach. D. Tusk potraktował swych słuchaczy bardzo poważnie, zmuszając do przemyśleń, a nie tylko zachęcając do oklasków. Pokazał, jaki horyzont może mieć polska polityka”. A może z tym ufaniem w siły boskie wcale nie było różnicy? ©

Katolik może się bronić



FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER



Z Jerzym Kwaśniewskim, prawnikiem, prezesem Instytutu Ordo Iuris rozmawia Wojciech Wybranowski

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Mamy w Polsce falę antykatolickich akcji lewicowych działaczy, którzy znieważają przedmioty i miejsca ważne dla chrześcijan...

JERZY KWAŚNIEWSKI: I mamy instrumenty, które pozwalają się w takich przypadkach bronić. To obowiązujące w Polsce przepisy zbliżone mocno do formuł prawnych obecnych w kodeksach karnych innych państw europejskich. Wskażę tu na art. 196 Kodeksu karnego zakazujący obrażania uczuć religijnych poprzez znieważanie przedmiotów czci bądź miejsc kultu religijnego. Postępowania z tego tytułu muszą być i są prowadzone z urzędu. Co więcej, trzy lata temu Trybunał Konstytucyjny stwierdził, że ta norma prawa karnego jest zgodna z ustawą zasadniczą.

Gdy włączają się do akcji organa ścigania, słychać krzyk na temat ograniczania wolności słowa.

Nie wolno absolutyzować wolności słowa. W październiku ubiegłego roku Europejski Trybunał Praw

Człowieka stwierdził bardzo jasno, że wolność słowa jest powiązana z odpowiedzialnością za słowo, a w szczególności za wolność wyznania. Czyli jeżeli mamy do czynienia z akcją, przestępstwem, komunikatem, którego celem jest sianie nienawiści religijnej, to państwo ma prawo reagować, używając instrumentu karnego. Tak stało się np. w Austrii, gdzie sądy każdej instancji ukarały karą grzywny wykładownicę, który podczas swojego odczytu przyrównał związek Mahometa z dziewięcioletnią dziewczynką do pedofilii.

Co może zrobić człowiek, który czuje, że doszło do naruszenia jego uczuć religijnych, i chce zareagować, chce, by państwo stanęło w jego obronie?

Wystarczy wykorzystać publicznoskargowy tryb, a więc z urzędu policja i prokuratura mają obowiązek działać, i złożyć zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa, wskazując okoliczności takiego zdarzenia. Organa ścigania mają

obowiązek wszcząć dochodzenie i doprowadzić do jego skutecznego zakończenia.

Ewentualne postępowania kończą się głównie grzywnami i nie mają waloru odstraszającego potencjalnych naśladowców. Może powinny być to cywilne pozwy na duże pieniądze przygotowane przez wyspecjalizowane kancelarie prawne?

Funkcja prewencji ogólnej, odstraszania, nie jest dostatecznie realizowana i wskutek tego postępowanie karne może wręcz działać zachęcająco dla naśladowców. Dlaczego? Ponieważ kara nie jest wysoka, a dla niektórych konflikt z państwem może być

nobilitujący. Podejmujemy jednak działania, aby postępowania wspierane przez Ordo Iuris zmieniły niewłaściwą praktykę sądowej pobłażliwości dla sprawców takich przestępstw. Można rozważyć także powództwa cywilne wytaczane przez wiernych lub przez Kościół katolicki jako osobę prawną. Takie postępowania byłyby jednak trudne i musiałyby opierać się na niedostatecznej na razie doktrynie oraz orzecznictwie w zakresie legitymacji przedstawiciela szerszej wspólnoty do pozywania za naruszenie jego dóbr osobistych wskutek działań obrażających całą grupę. ©

KONDOLENCJE

Z GŁĘBOKIM ŻALEM PRZYJĄŁEM WIADOMOŚĆ
O ŚMIERCI

TATY
PANA MICHAŁA OSTROWSKIEGO

DYREKTORA DEPARTAMENTU
DO SPRAW PRZESTĘPCZOŚCI GOSPODARCZEJ
PROKURATURY KRAJOWEJ

SKŁADAM
PANU PROKURATOROWI ORAZ NAJBLIŻSZYM
WYRAZY SZCZEREGO WSPÓŁCZUCIA

BOGDAN ŚWIĘCZKOWSKI
PIERWSZY ZASTĘPCA PROKURATORA GENERALNEGO
PROKURATOR KRAJOWY

TO CZYSTA BIOLOGIA

Roksana Węgiel, dziewczynka, która wygrała dziecięcą Eurowizję i z marszu stała się gwiazdą, narzeka, że spotyka ją hejt za to, jak zmienił się jej wizerunek. Niektórzy zarzucają jej, że nie ubiera się stosownie do swojego młodego wieku. Innymi słowy, że ubiera się zbyt wyzywająco i kobieco, a przecież jest jeszcze dzieckiem. Chociaż ona sama tak nie uważa. – Wielu osobom nie podoba się to, że się zmieniłam. Ludzie poznali mnie, jak miałam 12 lat. Wyglądałam inaczej. Teraz mam 14 lat. Przecież to czas, w którym człowiek się najbardziej zmienia, jeśli chodzi o fizyczne zmiany – mówi Roksana. No pewnie, że to czysta biologia! A ten, kto w wieku 14 lat nie wyglądał na 25, niech pierwszy rzuci kamieniem.

ŚMIERDZĄCA HISTORIA

Aktorka i celebrytka Anna Mucha z okazji swoich urodzin wyznała jednemu z kolorowych magazynów, jakie są jej marzenia, których spełnienia by sobie życzyła. Wymieniła m.in. kolacje w 10 najlepszych restauracjach w Europie, safari w Afryce, własną kolekcję butów i biżuterii. A także... – Mogłabym mieć jeszcze samochód z wysięgnikiem i płynnym g...em w bagażniku, żeby móc nim zalewać patałachów, których mijam na drogach – powiedziała. W tej sytuacji spełnienia marzeń jej nie pożyjemy. Tak na wszelki wypadek.

KAŻDY MOŻE

Monika Richardson, po mężu Zamachowska, w studiu telewizyjnej śniadaniowej rozmawiała z zaproszonymi młodymi gośćmi o maturach. – Ale z polskiego dostałeś dostateczny? No, Adam... Ja nie wiem, czy my możemy współpracować teraz – żartowała sobie z jednego z gości. Na koniec rozmowy Monika postanowiła złożyć wszystkim maturzystom życzenia i zmotywować ich. – Wszystkim życzymy powodzenia, połamania piór, trzymamy kciuki. Patrzcie, jak oni zdali, to wy też zdacie – wypaliła z uśmiechem do kamery. No tak, skoro pani Monika może pracować w telewizji, to



FOT. WPHOTO/EAST NEWS



FOT. ANIEL CROMADA

znaczy, że wy też – drodzy maturzyści – możecie. To znaczy, że każdy może.

JAK TO NIE POPIERA?

Znaleźliśmy w Internecie informację, że aktorka Maja Ostaszewska złożyła na Instagramie życzenia swojemu partnerowi, który obchodził 44. urodziny. Para jest razem już 14 lat i ma dwoje dzieci. Swoje życzenia Maja zilustrowała wspólnym zdjęciem, które zrobił im ich synek. „Wszystkiego najlepszego, kochanie” – napisała aktorka.

Tak czytamy to sobie, oglądamy zdjęcie i coś nam tu jakby nie pasuje. Okazało się zresztą, że nie tylko nam. Pierwszy komentarz internauty pod tekstem o Ostaszewskiej i urodzinach brzmiał bowiem: „Dziwny taki artykuł, jak Ostaszewska niczego nie popiera”. Podejrzany – powiedzieliśmy nawet.

REKLAMA ZAMIAST KREDYTU

Córka Adama Małysz Karolina wychodzi za mąż. To znaczy na razie się zaręczyła, ale rodzice już planują jej wielkie, huczne wesele. Chcą, by było tradycyjne i po góralsku. Ma zostać zaproszona cała rodzina, a koszty imprezy pokryją rodzice. – Zadeklarowali również, że zafundują jedynaczce i zięciowi podróż poślubną marzeń – czytamy.

Podobno właśnie z powodu planowanego ślubu córki – jak donosi jeden z plotkarskich portali – były skoczek narciarski wraz z żoną wzięli udział w reklamie jednej z sieci komórkowych. Całkiem sprytnie. Zawsze to lepiej niż kredyt.

POTRZEBA WYMIANY MYŚLI

Niezawodna Krystyna Janda znów narzeka: na Polskę pod rządami PiS i na Polaków, i na wszystko. Tym razem w wywiadzie dla tygodnika „Wprost”. Janda znów mówi o tym, jak nasz kraj stacza się w przepaść, bo władza jest nie taka, jakiej by sobie życzyła. – Mam poczucie żalu, straconej szansy, zmarnowanej pracy, zawiedzionych nadziei. Myślałam, że wszystko dalej będzie się rozwijało w fantastyczny, otwarty kraj inteligentnych ludzi, nowoczesnie i odważnie myśląca młodzież – stwierdziła. Wyjaśniła też, dlaczego przestała prowadzić swój internetowy „Dziennik”. – Kiedyś czułam potrzebę wymiany myśli z tym narodem, teraz po prostu już jej nie czuję – tłumaczy. Jako naród, a raczej „ten naród”: Dziękujemy! To jedna z lepszych informacji minionego tygodnia. ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, oburzenie u naszych zachodnich sąsiadów: otóż kolejny rok z rzędu zabrakło im Polaków chętnych do zbierania szparagów. Zdaniem naszych sąsiadów odpowiedzialne jest za to 500 plus, iż Polacy dostają i nie chce im się robić. Tym samym stają się odpowiedzialni za zagładę niemieckich szparagów.

W Polsce od razu podniosły się głosy, iżby do pracy przy szparagach zachęcić wszystkich lekarzy, inżynierów i architektów przybyłych w ramach ostatniego napływu kulturowego do Niemiec. Oczywiście to myślenie typowego janusza. No pomyślcie sami (o ile chcecie): czy chcielibyście pracować w zawodzie poniżej kompetencji? Na przykład: jesteście z wykształcenia senior accountantem, to serio przyjąłbyście ofertę na junior assistanta? No właśnie. Stąd też lekarze, inżynierowie i adwokaci muszą pozostać na utrzymaniu państwa niemieckiego,

iż tam większość stanowisk dla nich adekwatnych jest okupowana przez Niemców. I nikt nie oczekuje, iż będą zbierać szparagi. To polska tradycja.

Przy tej aferze z tęczową aureolą wokół wizerunku Matki Boskiej najbardziej porusza nas nie to, jak polskie opresyjne państwo kościelno-policyjne potraktowało odważną artystkę i performerkę. Zdecydowanie bardziej wzrusza nas reakcja postępowych katolików.

Ich zdaniem bowiem nie było w tym dziele niczego gorszego, a sam Pan Jezus chodziłby w tęczowych marszach, iż społeczność LGBTQWERTY jest obecnie najsłabsza i najmocniej dyskryminowana. No a poza tym przede wszystkim to trzeba być dobrym człowiekiem (serio, takie opinie widzieliśmy).

Podobają nam się ci wyluzowani katolicy, iż pokazują to otwarte oblicze Kościoła, które tak bardzo nam się podoba – iż jest to Kościół

nieortodoksyjny, mający dystans do siebie i potrafiący się sam z siebie śmiać. Te cechy lubimy najbardziej – także w naszych środowiskach :)))

Z kolei ci mniej postępowi katolicy oburzyli się na przemówienie Leszka Jażdżewskiego, który wystąpił na UW jako antyklerykalny support Krula Europy. Jak oni w ogóle nie mają do siebie dystansu! No bo widzicie: parę zdań zasadnej krytyki, iż jak już napisaliśmy: żyjemy w kraju, który ma charakter policyjno-kościelny, a więc inkwizycyjny, a Kościół każdego dnia narzuca nam, co mamy robić, i nas kontroluje. Czy w takiej sytuacji kilka słodko-gorzkich słów prawdy to za dużo? Nie możemy dostać chociaż tego? ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

WyLuzzuj się na Fest! Buslav i Voo Voo na Polu Mokotowskim



Lolek Luzz Fest – muzyka, wspólne grillowanie i malownicze otoczenie zieleni Pola Mokotowskiego.

Wiosna to idealna pora na porządki, ale przede wszystkim dobry powód na znalezienie czasu dla siebie i najbliższych. Warto spędzić pierwsze ciepłe dni przy wspólnym grillowaniu, w towarzystwie rodziny i przyjaciół, pośród rozkwitającej przyrody.

Jak co roku do tego typu rozrywki zachęca organizowany już po raz 11. LOLEK LUZZ FEST. Impreza muzyczna odbędzie się 15 i 16 maja w Pubie Lolek na Polu Mokotowskim.

Pierwszego dnia wystąpi Buslav – multiinstrumentalista, kompozytor i twórca tekstów. Debiutancki album Buslava był dwukrotnie nominowany do Fryderyków 2017 w kategoriach Debiut Roku i Album

Roku Pop, swoje miejsce znalazł także w promocji IV sezonu popularnego serialu TVN – „Druga szansa”.

Drugiego dnia na scenie Lolka zagości VooVoo – jeden z najoryginalniejszych zespołów na polskiej scenie rockowej, który w swojej muzyce, ze świetnym skutkiem, połączył rock z jazzem i folkiem różnych rejonów świata. Grupa powstała w 1985 r. w Warszawie, jej założycielem był Wojciech Waglewski – kompozytor, autor bardzo ciekawych metaforycznych tekstów, gitarzysta i wokalista.

Tradycja wiosennych koncertów w gwiazdorskiej obsadzie sięga roku 1996, kiedy Pub Lolek był jednym z trzech największych pubów w Polsce. Dotychczas na scenie w ogrodzie można było podziwiać m.in. takich artystów jak: Raz Dwa Trzy, T.Love, Tadeusz Nalepa, IRA, Maciej Maleńczuk, Lech Janerka, Tymon Tymański, Renata Przemyk i Maanam.

LOLEK LUZZ FEST vol. 11
15 maja (środa) – Buslav
16 maja (czwartek) – Voo Voo
PUB LOLEK ul. Rokitnicka 20 (Pole Mokotowskie), godz. 21
WSTĘP WOLNY
www.publolek.pl

Zmiany, zmiany. Jak zapowiadaliśmy, będą dopiero po eurowyborach. W rządzie. Kto jednak kogo zastąpi? Tutaj robi się ciekawie. Ważne wiewiórki z Nowogrodzkiej mówią, że będzie to rekonstrukcja pełna niespodzianek. Jednocześnie opowiadają, że przesunięć z resortu na resort nie będzie. Zatem Mario Błaszczak nie wróci do MSWiA.

Zwyższych sfer. Podczas trzeciomajowej popijawy, tzn. wróć, uroczystego spotkania u prezydenta Andrzeja Sebastiana, dało się zaobserwować ciekawą scenę. Podczas formowania się jego świty Georgette Mosbacher, ambasador amerykański w Vistula County, próbowała ustawić się ładnie w kadrze. Tajemnicze siły jednak nieustannie wypychały ją na bok. Naoczni świadkowie (mamy kilku) utrzymują, że te siły to Krzyszek Szczerski.

Z pewnym opóźnieniem spowodowanym majówkową przerwą podajemy niezmiernie ważną wiadomość związaną z koncertem „Gramy dla Europy”, który odbył się 30 kwietnia na błoniach PGE Narodowego. Oto wiadomość: premier Mateusz, który przybył na koncert z dziećmi, miał być do godz. 22, ale wyszedł o 22.35. Nie wiemy dlaczego, ale są ludzie, którzy strasznie się tym ekscytują.

Rok się jeszcze nie skończył, ale mamy już kandydatów do Obciachu Roku. Nominujemy niniejszym prezydenta Andrzeja Sebastiana oraz Jarosława Długiego zwanego Gowinem. Na nominację zasłużyli głośnym poparciem dla pomysłu wpisania do polskiej konstytucji wieczystego sojuszu z Unią Europejską. Nawet nie chodzi nam o to, że sam pomysł jest idiotyczny, ale o to, że powtórzony po Władku Kosiniaku-Kamyszu. Powtarzanie czegokolwiek po Kamyszu to naprawdę straszna siara.

Tymczasem Centralna Komisja Leśnych Dziadków i Purchawek Polskiej Nauki uznała, że Andrzej Zybertowicz (popularnie zwany Zybertem) nie zasługuje na tytuł profesora. Słusznie. Powinni mu jeszcze odebrać doktora i maturę. Oraz wybatożyć. Nie ma w polskiej nauce miejsca dla ludzi

negujących Marksa, Engelsa, Michnika i Geremka.

Chcieliśmy jednak nieśmiało stanąć w obronie popularnego Zyberta. Otóż, szanowna Komisjo Dziadków i Purchawek, Zybert oprócz książek o układach napisał też książkę o Platformie. W dodatku nie zacytował w niej ani jednego słowa jakiegokolwiek krytyka Platformy. Tylko słowa ludzi PeŁo oraz zaprzyjaźnionych z nimi mediów. To powinno zmasać jego grzechy. A to, że książka wyszła jadowicie antyplatformerska, to już nie wina Zyberta.

Zżycia innych profesorów i przyszłych profesorów. Podobnych do Zyberta, tzn. negujących wiodącą

**Powtarzanie
czegokolwiek po Władku
Kosiniaku-Kamyszu
to naprawdę straszna siara**

rolę michnikizmu-geremkizmu. Mobbing, którego doznają, związany jest zwykle z faktem, że są zapraszani do telewizji, gdzie mówią herezje. Zaczyna się od kąśliwych tekstów „Aaa, witamy naszego profesora od mediów”. Jak widzicie, plotki, jakoby uniwersytety były miejscami, gdzie kwitną humor i kreatywność, są mocno przesadzone.

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Współczujemy Niemcom. Od czasu, gdy zaczęli się skarżyć, że nie ma kto zbierać szparagów, bo w Polsce wprowadzono program „pińcet plus”, nie możemy spać ze zgrzyoty, martwiąc się losem teutońskich plantatorów. Mamy rozwiązanie. Proponujemy oddelegowanie do zbiorów europosłów. Oni i tak mają niewiele do roboty, a odrobina wysiłku fizycznego bardzo im się przyda. Czego dowodem tzw. brukselski brzuch, obserwowany u nich nagminnie.

Apropos eurodepów. Znacie to stopniowanie: wróg, wróg śmiertelny, kolega z listy wyborczej. Jak wiadomo, w Warszawie na jedynce jest Jacek Saryusz-Wolski, a na dwójce Richard Henry Czarnecki. Richard bardzo się martwi, bo wcale nie jest pewny elekcji. Rysioi stronnicy rozpuszczają więc pogłoskę wśród twardego elektoratu, że to on jest liderem, a Saryusz-Wolski to pic na wodę, fotomontaż dla lemingów, bo tak naprawdę Kaczor Dyktator marzy o tym, by wygrał Richard Henry.

Tymczasem w szeregach partyjnych gruchnęła wieść, że Richard Henry jest zaniepokojony, bo na plecach czuje oddech Konstantego Radziwiłła, który startuje z trzeciej pozycji. I ma całkiem spore szanse na rolę czarnego konia. W tej sytuacji Ryszard zaczyna dyskretnie dawać do zrozumienia, że gdyby nie wrócił do Brukseli, to chętnie sprawdzi się w biznesie. A konkretnie w Poczcie Polskiej. Mamy w tej sytuacji nawet propozycję sloganu: „Rysiu mówią pocztowy”.

Tymczasem Koalicja Europejska wypuściła spot, w którym trójka aktorów niby zaprasza na marsz wolności 18 maja. Tak naprawdę wygląda to jednak tak, jakby aktorzy grali role znanych postaci z Peło. Łatwo zidentyfikować. Grażyna Wolszczak to Elżbieta Bieńkowska. Cezary Żak to przyszły Borys Budka (jak wreszcie Budka trochę przytyje). Kłopot jest tylko z Wojciechem Malajkatem. Naszym zdaniem dostał rolę Ewki Kopacz. Rozpoznaliśmy po okularach.

Jak informuje „Der Fakt”, w Sejmie szykuje się kolejne podejście do zakupu nowych maszynek do głosowania. Wiemy, dlaczego nie kupiono

**Nam nadzieję, że Cimoszewicz
był ubezpieczony, bo wiecie
trzeba się ubezpieczać...**



poprzednich. A było tak: zamówiono cały system, zainstalowano na próbę i przeprowadzono testy. Okazało się, że maszynki tak się przegrzewają, iż mogą sfajczyć całą salę, nie mówiąc o poparzeniu łapek posłanek i posłów. W sumie trochę żalujemy, że niektórych nie poparzano.

**Proponujemy oddelegowanie
do zbiorów niemieckich
szparagów europosłów. Mają
niewiele do roboty, a odrobina
wysiłku fizycznego im się przyda**

Apropos nowych rozwiązań systemowych. Ekscytację u wielu wzbudziło przegłosowanie ustawy o dentystach w szkołach. Tu też wielu się zastanawia, co zajęło tak wiele czasu, wszak mowa o tym była już w roku 2015 (tak samo jak o maszynkach do głosowania). Też wiemy dlaczego. Tym razem, niestety, zawinił hejt rodziców, którzy zaczęli histeryzować, że ich pociechy nie mogą chodzić do dentysty bez opieki mamusi lub tatusia.

Z mediów. W jednej z kodowanych telewizji pojawił się film. Dokumentalny. Nosi tytuł „Janka”. Ciepła sentymalna opowieść o Janinie Ochojskiej. Dziwnym trafem wrocławskiej jedynce na liście Koalicji Europejskiej do europarlamentu. W najbliższych dniach będą liczne powtórki. To niby film z ubiegłego roku, ale mimo wszystko mamy takie dziwne wrażenie, że lepiej się było powstrzymać z emisją do 27 maja. Co my jednak tam wiemy o walce klasowej.

Z mediów 2. Donald Tusk został Człowiekiem Roku „Gazety Wyborczej”. Czy nie prościej byłoby mu przyznać od razu tytuł Człowieka Stulecia?

Swoje nagrody przyznała też telewizja Republika, wręczając je na gali w Galerii Porczyńskich. Była to uroczystość nietypowa, ponieważ podczas występów grupy Zakopower jedna trzecia rządu (tyle obecne było na gali) ryczała wniebogłosy: „Pójdę boso!”, a podczas piosenki finałowej tupiała, klaskała i podskakiwała. Niektórzy próbowali płaszać. Przyznajemy: nie widzieliśmy czegoś takiego od czasu Bełaty Kempy płaszącej przed Ojcem Świętym podczas Światowych Dni Młodzieży. ©©



Jak zostać własnym szefem

Indywidualna działalność gospodarcza to najprostszy sposób na rozpoczęcie własnego biznesu. Jaką formę prawną działalności wybrać? Jakie podatki trzeba płacić? Jak krok po kroku zarejestrować firmę?

Decyzja o rozpoczęciu własnej działalności gospodarczej może być dobrym wyborem dla tych, którzy marzą o poprawie sytuacji finansowej. A zwłaszcza dla tych, którzy mają już nie tylko rewelacyjny pomysł na biznes, lecz także przeprowadzili już wstępną analizę rynku.

Mała firma daje dużo elastyczności i możliwości szybkich reakcji na zmieniający się popyt. Właściciel może np. zmienić formę opodatkowania działalności, wdrażać nowe pomysły, które będą służyły rozwojowi firmy, zwiększać skalę inwestycji lub redukować koszty. Sam ustala również czas pracy i swojego urlopu, a także decyduje o tym, z kim

nawiązuje współpracę. Jednocześnie musi jednak ponosić koszty funkcjonowania przedsiębiorstwa, pamiętać o terminach opłacania składek i podatków oraz rzetelnie dokumentować przychody, koszty i majątek firmy.

Zgodnie z art. 3 ustawy Prawo przedsiębiorców, będącej częścią tzw. Konstytucji Biznesu, „Działalnością gospodarczą jest zorganizowana działalność zarobkowa, wykonywana we własnym imieniu i w sposób ciągły”.

PIERWSZY KROK

Przyszły przedsiębiorca powinien zacząć od gruntownej analizy tego, jaka forma prawna działalności gospodarczej

będzie mu najbardziej odpowiadać. Trzeba więc wybrać, czy chcemy prowadzić biznes w ramach jednoosobowej działalności gospodarczej, czy wolimy założyć spółkę.

Uruchomić biznes w ramach indywidualnej działalności gospodarczej może każda pełnoletnia osoba posiadająca pełną zdolność do czynności cywilnoprawnych. Do zalet wyboru takiej formy należą: stosunkowo prosta procedura związana z jej rejestracją i prowadzeniem oraz możliwość zdobycia dofinansowania na start firmy, np. w ramach niskooprocentowanej pożyczki, bezzwrotnej dotacji z Funduszu Pracy, narzędzi finansowych Polskiego Funduszu Rozwoju czy przy wykorzystaniu funduszy UE. Po stronie plusów tego rozwiązania można wpisać również to, że nowa firma nie musi mieć z góry określonego majątku, a rejestracja takiej



księgi przychodów i rozchodów (w zależności od osiągniętych obrotów).

Wadą indywidualnej działalności jest jednak to, że taki przedsiębiorca odpowiada za swoją firmę całym posiadaniem majątkiem, a jeśli nie ma rozdzielności majątkowej, to za jego firmowe długi odpowiada również małżonek.

Jeśli wolimy mieć współników, to już na starcie potrzebujemy dużego kapitału, lub gdy chcemy zacząć biznes w branży, która charakteryzuje się wysokim ryzykiem strat finansowych, wtedy lepsze warunki działalności oferują spółki. Dzielimy je na spółki prawa handlowego i spółki prawa cywilnego.

Wśród tych pierwszych są spółki kapitałowe (z ograniczoną odpowiedzialnością lub akcyjna) oraz spółki osobowe (jawna, partnerska, komandytowa, komandytowo-akcyjna). Wspólnikiem spółki osobowej może zostać praktycznie każdy (jedynie spółki partnerskie zostały zarezerwowane dla konkretnych wolnych zawodów, m.in. adwokatów, aptekarzy, architektów, inżynierów budownictwa, lekarzy czy radców prawnych).

W większości przypadków spółki mają własną osobowość prawną. A to oznacza, że np. kredyty na inwestycje zaciąga nie konkretny wspólnik, ale spółka jako taka. W przypadku ewentualnych problemów finansowych wspólnicy nie odpowiadają swoimi osobistymi majątkami za długi spółki. W wielu przypadkach, zgodnie z Kodeksem spółek handlowych, wspólnicy są jednak jednocześnie członkami zarządu spółki, więc w sytuacji konkretnych działań lub zaniechań mogą być pociągnięci do odpowiedzialności.

Wadą takiego rozwiązania jest to, że założenie np. spółki kapitałowej wymaga więcej formalności (m.in. najczęściej zawarcia umowy u notariusza, złożenia wniosku o wpis w KRS). Spółka powinna mieć też swój kapitał zakładowy w wysokości nie mniejszej niż 5 tys. zł dla spółki z o.o., 50 tys. dla spółki komandytowo-akcyjnej oraz 100 tys. zł dla spółki akcyjnej.

Inaczej jest w przypadku spółki cywilnej, która z perspektywy prawa cywilnego jest po prostu umową między wspólnikami. Nie posiada ona osobowości prawnej. Za zobowiązania takiej spółki wspólnicy solidarnie odpowiadają więc zarówno majątkiem firmowym, jak i swoim majątkiem osobistym. Wspólnicy (co najmniej dwie osoby) mają prawo do zysku i strat w procentach, który ustalili, zakładając

spółkę, lub proporcjonalnie (niezależnie od wniesionego wkładu rzeczowego). Aby założyć spółkę cywilną, wystarczy sporządzić umowę spółki i w ciągu 14 dni zgłosić ją w Urzędzie Skarbowym. Prawo nie wymaga minimalnego kapitału zakładowego.

DROGA DO SAMOZATRUDNIENIA

Popularna wśród osób rozpoczynających przygodę z biznesem jest indywidualna działalność gospodarcza, więc to na niej skupimy się w tym tekście. Procedurę założenia działalności gospodarczej rozpoczyna złożenie wniosku o wpis do Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej – CEIDG.

Taki wniosek można pobrać i złożyć w urzędzie gminy, miasta czy dzielnicy albo pobrać i wypełnić w formie elektronicznej na stronie CEIDG lub wypełnić na infolinii z pomocą konsultanta, a następnie udać się do urzędu z dowodem tożsamości i nadanym podczas zapisywania wniosku unikalnym kodem. Istnieje także możliwość złożenia wniosku przez pełnomocnika, listownie, a także on-line bez wychodzenia z domu, przy czym wysyłając wniosek pocztą, musimy dołączyć notarialne poświadczenie złożonego podpisu, a droga internetowa wymaga posiadania podpisu elektronicznego lub Profilu Zaufanego (jest on bezpłatnym narzędziem służącym do potwierdzenia w Internecie tożsamości danej osoby i umożliwiającym załatwianie drogą elektroniczną wielu spraw urzędowych).

Wniosek zawiera zatem nazwę jednoosobowego przedsiębiorstwa, w której skład wchodzi także imię i nazwisko właściciela. Należy podać adres wykonywania działalności oraz datę rozpoczęcia jej prowadzenia, przy czym jest to jednocześnie dzień, od którego będą naliczane składki do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Kolejny istotny punkt to wskazanie jednego kodu Polskiej Klasyfikacji Działalności (PKD) lub więcej, określających obszary, którymi będzie zajmowała się firma (np. „Działalność portali internetowych”, „Transport drogowy towarów”). Podane przez przedsiębiorcę dane o nowej firmie są automatycznie przekazywane ZUS lub KRUS, do urzędu skarbowego, a także Głównego Urzędu Statystycznego.

PODATEK DO WYBORU

W momencie składania wniosku musimy wiedzieć, jaką przyjmujemy formę

firmy w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej jest bezpłatna.

Tego typu forma działalności jest najlepsza dla tych, którzy biznes chcą prowadzić samodzielnie. Zgodnie z art. 4 ustawy Prawo przedsiębiorców: „Przedsiębiorcą jest osoba fizyczna, osoba prawna lub jednostka organizacyjna niebędąca osobą prawną, której odrębna ustawa przyznaje zdolność prawną, wykonująca działalność gospodarczą”. W przypadku indywidualnej działalności gospodarczej przedsiębiorcą jest więc po prostu osoba fizyczna, która wykonuje we własnym imieniu działalność gospodarczą. Dzięki temu cały zysk trafia do kieszeni właściciela, który ma pełną kontrolę nad własną firmą. Przy tej formie prawnej przedsiębiorca może zdecydować się też na uproszczoną formę prowadzenia księgowości w formie

■ opodatkowania. W Polsce do wyboru są cztery formy opodatkowania:

- zasady ogólne,
- podatek liniowy,
- ryczałt,
- karta podatkowa.

Najczęściej stosowane jest opodatkowanie na zasadach ogólnych przy zastosowaniu skali podatkowej 18 proc. i 32 proc. Zgodnie z ustawą o podatku dochodowym od osób fizycznych oraz o zryczałtowanym podatku dochodowym od niektórych przychodów osiąganych przez osoby fizyczne taka forma pozwala przedsiębiorcy skorzystać z ulg podatkowych, rozliczać się wspólnie z małżonkiem lub jako osoba samotnie wychowująca dziecko. Przedsiębiorcy mają również prawo do pomniejszenia osiągniętych przychodów o poniesione koszty uzyskania przychodów. Jednak jeśli dochody przekroczą próg 85 529 zł, to nadwyżka będzie już opodatkowana 32-procentową stawką. Zaletą jest też kwota wolna od podatku (na 2019 r. wynosi ona 8 tys. zł).

Kolejną popularną formą opodatkowania jest wynoszący 19 proc. podatek liniowy. Podobnie jak w przypadku zasad ogólnych ramy prawne określające tę formę opodatkowania dyktują przepisy ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych. Największym plusem tego rodzaju opodatkowania jest to, że stawka jest stała, niezależnie od wysokości dochodu. Wadą jest brak możliwości rozliczenia podatku wspólnie z małżonkiem albo dzieckiem, a także brak możliwości uwzględnienia ulg podatkowych oraz brak kwoty wolnej od podatku. Jeżeli więc spodziewane przekroczenie progu dochodowego jest niewielkie, to podatek liniowy może okazać się nieopłacalny. Dochody opodatkowane w ten sposób nie łączą się z tymi z innych źródeł. Nie można zastosować podatku liniowego przykładowo do dochodów z umowy o pracę, rent i emerytur czy przychodów z działalności wykonywanej osobiście (które są opodatkowane na zasadach ogólnych).

Rozliczając się zarówno na zasadach ogólnych, jak i za pomocą podatku liniowego, podatnik może opłacać zaliczki na podatek dochodowy miesięcznie lub kwartalnie (możliwość opłacania zaliczek raz na kwartał mają jedynie mali podatnicy o przychodach nieprzekraczających 1,2 mln euro lub przedsiębiorcy, którzy dopiero rozpoczynają działalność gospodarczą). Zaliczki wylicza się samodzielnie,

a następnie wpłaca do 20. dnia kolejnego miesiąca (lub kwartału) do odpowiedniego urzędu skarbowego. Po zakończeniu roku podatkowego, do końca kwietnia w kolejnym roku podatkowym, podatnik rozliczający się na zasadach ogólnych składa w urzędzie skarbowym zeznanie PIT-36, a podatnik rozliczający się podatkiem liniowym formularz PIT-36L. Obowiązkowe jest prowadzenie ewidencji księgowych: księgi przychodów i rozchodów, a przy przychodach netto powyżej równowartości 2 mln euro – ksiąg rachunkowych (tzw. pełna księgowość). Podatnik musi w ciągu roku podatkowego m.in. prowadzić ewidencję kosztów, majątku firmy, wszelkich zakupów i sprzedaży, a także imienne karty przychodu pracowników i sporządzać spis z natury na 1 stycznia oraz na koniec każdego roku podatkowego.

Przedsiębiorcy określani w ustawie o zryczałtowanym podatku dochodowym od niektórych przychodów osiąganych przez osoby fizyczne mogą skorzystać także z prostych i korzystnych finansowo zryczałtowanych form opodatkowania:

- ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych – stawka podatku od przychodu waha się od 2 do 20 proc. w zależności od rodzaju działalności; na podstawie ryczałtu rozliczają się m.in. dentyści, lekarze i weterynarze oraz tłumacze;

- karty podatkowej – w tym przypadku wysokość podatku jest stała i zależy od rodzaju oraz zakresu prowadzonej działalności, a także od liczby mieszkańców miejscowości, w której prowadzi się działalność. Z karty podatkowej mogą korzystać m.in. taksówkarze, stolarze, kwiaciarze czy korepetytorzy.

Warto też wiedzieć, że formę opodatkowania zawsze można zmienić od następnego roku podatkowego.

BEZPŁATNA REJESTRACJA

We wniosku należy także wskazać numer rachunku bankowego, który będzie służył do rozliczeń z urzędem skarbowym. Chociaż nie ma prawnych przeszkód, aby używać w tym celu prywatnego konta, to oddzielny rachunek firmowy jest rozwiązaniem wygodniejszym i pozwalającym utrzymać większą kontrolę nad firmowymi finansami.

Działalność gospodarczą można rozpocząć już w dniu złożenia wniosku. Procedura rejestracji w CEIDG jest całkowicie bezpłatna (z wyjątkiem konieczności poniesienia opłaty skarbowej w wysokości 17 zł w przypadku rejestracji przez

pełnomocnika), o czym warto pamiętać w razie otrzymania pism żądających opłaty za wpis do rejestru przedsiębiorców od rozmaitych naciągaczy.

Przy rejestracji firmy przedsiębiorca zostaje automatycznie zgłoszony do ZUS jako płatnik składek na ubezpieczenia, ponadto w ciągu siedmiu dni musi samodzielnie zgłosić się jako ubezpieczony. Przedsiębiorcy, którzy rejestrują firmę w CEIDG, mogą dołączyć do wniosku rejestracyjnego dokumenty zgłoszeniowe do ubezpieczeń zdrowotnych swoje i członków swojej rodziny, a od niedawna także dokumenty zgłoszeniowe pracowników firmy.

Z VAT CZY BEZ VAT?

Wielu zakładających firmę zastanawia się, czy podlega obowiązkowi zgłoszenia się jako podatnik VAT. Nie trzeba rejestrować się do podatku VAT, jeśli sprzedaż nie przekracza limitu 200 tys. zł rocznie (lub proporcji tej kwoty, odpowiadającej liczbie dni od założenia firmy w danym roku do końca tego roku) lub jeśli sprzedaży podlegają towary zwolnione z VAT. Informację o zwolnieniach przedmiotowych znaleźć można np. w art. 43 ust. 1 ustawy o VAT. Do rejestracji i rozliczania VAT niezależnie od wysokości obrotu będziemy zobligowani, sprzedając konkretne grupy towarów i usług (m.in. towary wymienione w załączniku nr 12 do ustawy o VAT, takie jak metale szlachetne i złom z nich, wyroby jubilerskie oraz usługi wymienione w art. 113 ustawy o VAT, np. prawnicze, doradcze, jubilerskie).

Nie będąc w gronie zobowiązanych do rozliczania VAT, można też zarejestrować się dobrowolnie jako płatnik tego podatku i dzięki temu np. odliczać VAT od zakupów związanych z działalnością. Formularz zgłoszeniowy VAT-R składa się jako załącznik razem z wnioskiem o wpis oraz zmianę swojego wpisu w CEIDG – w postaci elektronicznej przez Internet lub w wersji papierowej w urzędzie miasta czy gminy. Zgłoszenie to można złożyć także drogą elektroniczną przez system e-Deklaracje. VAT rozlicza się – w zależności od wybranej formy raz na miesiąc lub kwartał, do 25. dnia każdego miesiąca lub kwartału, do 25. dnia miesiąca następującego po danym kwartale. Opłata za rejestrację płatnika VAT wynosi 170 zł.

KONCESJA CZY ZEZWOLENIE?

Przedsiębiorcy, który ma za sobą formalności związane z CEIDG, ZUS i VAT,

zostaje jeszcze do uregulowania kilka ważnych kwestii. Przede wszystkim, o ile zdecyduje się na działalność w jednej ze specyficznych branż wymagających posiadania specjalnych uprawnień (np. obrót paliwami i energią, sprzedaż wyrobów alkoholowych, ochrona osób i mienia), będzie musiał ubiegać się o wydanie z reguły płatnego pozwolenia w postaci koncesji, zezwolenia lub wpisu do rejestru działalności regulowanej. Szczegółowe zakres i warunki wykonywania działalności gospodarczej podlegającej koncesjonowaniu określają przepisy odrębnych aktów prawnych, np. ustawy o ochronie osób i mienia, ustawy Prawo geologiczne i górnicze, ustawy o grach hazardowych, ustawy Prawo energetyczne, ustawy Prawo lotnicze czy ustawy o radiofonii i telewizji.

Najczęściej o takie pozwolenie trzeba występować do ministra właściwego ze względu na przedmiot działalności, niektóre wydawane są przez urząd miasta, starostwo czy inny organ samorządu.

Kolejny istotny element to rejestracja kasy fiskalnej w urzędzie skarbowym. Wprowadzie nie każdy przedsiębiorca podlega obowiązkowi posiadania tego urządzenia – zwolnieni z niego są m.in. drobni przedsiębiorcy osiągający mniej niż 20 tys. zł przychodu rocznie. Jednak istnieje pewna grupa towarów i usług, które wymagają rejestracji kasy fiskalnej bez względu na wysokość obrotu (np. sprzedaż perfum czy wyrobów tytoniowych, usługi gastronomiczne). Warto zatem o wiele wcześniej sprawdzić, czy dotyczy nas ten obowiązek lub czy pomimo niepodlegania mu chcemy korzystać z kasy rejestrującej, ponieważ na zawiadomienie o nadanym numerze ewidencyjnym urządzenie możemy czekać nawet 30 dni od momentu złożenia wniosku. Wniosek z kolei składamy w ciągu maksymalnie siedmiu dni od momentu fiskalizacji kasy, czyli od instalacji i zaprogramowania jej przez uprawnionego, zamówionego przez nas serwisanta. O ile rejestracja kasy jest bezpłatna, o tyle przedsiębiorca musi ponieść koszt fiskalizacji ustalony przez producenta lub dystrybutora tych urządzeń.

DZIAŁALNOŚĆ BEZ REJESTRACJI

Nie każdy przedsiębiorca musi być wpisany do CEIDG. Prawo umożliwia działalność firmy bez obowiązku jej rejestracji i prowadzenia rachunkowości

oraz bez obowiązkowego odprowadzania składek ZUS. Takie rozwiązanie w zamyśle ustawodawcy ma pomóc początkującym przedsiębiorcom w rozwinięciu działalności firmy i wejść na rynek w sposób o wiele tańszy i łatwiejszy, gdzie ewentualne wycofanie się z niefortunnego pomysłu na biznes nie wiąże się z formalnościami. Taka alternatywa może być korzystna dla przedsiębiorców o niskich przychodach, zajmujących się np. udzielaniem korepetycji.

Aby jednak móc skorzystać z takiego wariantu, zgodnie z art. 5 ust. 1 ustawy Prawo przedsiębiorców należy spełnić określone warunki. Pierwszym z nich jest brak działalności zarejestrowanej w ciągu ostatnich 60 miesięcy. Wyjątkiem od tego zapisu jest sytuacja, w której firma została wykreślona z ewidencji przedsiębiorców przed 30 kwietnia 2017 r. i od tego momentu nie była rejestrowana ponownie. Kolejnym ograniczeniem jest wysokość miesięcznego przychodu z tytułu prowadzenia działalności nierejestrowanej, która nie może przekroczyć 50 proc. minimalnego wynagrodzenia (w 2019 r. połowa minimalnego wynagrodzenia wynosi 1125 zł). Wartość ta dotyczy przychodu, a nie dochodu!

Przedsiębiorca, który spełnia te warunki, nie musi płacić składek na obowiązkowe ubezpieczenia społeczne i zdrowotne ani kwartalnych lub miesięcznych zaliczek na podatek dochodowy. Zamiast skomplikowanej księgowości wymagana jest uproszczona ewidencja sprzedaży w postaci listy sprzedaży za każdy dzień. Ewidencja sprzedaży jest podstawą do ustalenia wysokości przychodu.

Przychody osiągane z działalności nierejestrowanej muszą być rozliczone w zeznaniu rocznym PIT-36, tam także odlicza się udokumentowane koszty poniesione w związku z wykonywaną działalnością.

Osoby prowadzące działalność nierejestrowaną z założenia są zwolnione z podatku VAT. Jednak prowadzenie niektórych rodzajów działalności zobowiązuje do rejestracji jako podatnik VAT niezależnie od wysokości osiąganych przychodów. Dotyczy to m.in. usług jubilerskich, usług prawniczych oraz usług w zakresie doradztwa.

Przedsiębiorcy nierejestrowi nie podlegają także obowiązkowi stosowania kas fiskalnych, bo nie osiągają progu 20 tys. zł rocznego obrotu, który zobowiązuje do stosowania tych urządzeń. Kasa będzie jednak potrzebna w przypadku pewnych

usług i towarów wymienionych w ministerialnym rozporządzeniu w sprawie zwolnień z obowiązku prowadzenia ewidencji przy zastosowaniu kas rejestrujących (np. części do silników, usługi fryzjerskie, gastronomiczne, doradztwo podatkowe).

Jeśli przedsiębiorca osiągnie wyższy niż stanowiący 50 proc. płacy minimalnej przychód, to prowadzony przez niego biznes staje się działalnością gospodarczą. Od momentu przekroczenia limitu ma siedem dni na zarejestrowanie działalności gospodarczej w CEIDG i kolejne siedem dni od wpisu w ewidencji na zgłoszenie się do obowiązkowego ubezpieczenia zdrowotnego w ZUS.

Poza działalnością nierejestrowaną przepisy określają konkretne rodzaje działalności, których nie trzeba rejestrować w urzędzie. Dotyczy to działalności prowadzonej przez rolników i polegającej na oferowaniu usług agroturystycznych, produkcji wina w ilości mniej niż 100 hl w ciągu roku gospodarczego oraz rolniczego handlu detalicznego prowadzonego w pewnych ściśle określonych warunkach.

ULGI NA DOBRY POCZĄTEK

Początkujący samozatrudnieni mają prawo skorzystać z tzw. ulgi na start, dzięki czemu w okresie pierwszych sześciu miesięcy zwolnieni są ze składek na ubezpieczenia społeczne i podlegają tylko obowiązkowemu ubezpieczeniu zdrowotnemu (składka miesięczna w 2019 r.: 342,32 zł). Taki przedsiębiorca musi jedynie pamiętać o zarejestrowaniu się w ZUS (jako osoba ubezpieczona) do ubezpieczenia zdrowotnego w ciągu siedmiu dni od wpisu do CEIDG. Istotną informacją w przypadku ulgi na start jest to, że osoba z niej korzystająca nie ma prawa m.in. do świadczeń chorobowych i wypadkowych. Natomiast po upływie sześciu miesięcy wykorzystywania ulgi na start może przez kolejne 24 miesiące skorzystać z tzw. małego ZUS, czyli opłacać preferencyjne stawki na ubezpieczenia społeczne. Podstawą naliczania preferencyjnych składek na ubezpieczenia społeczne jest 30 proc. minimalnego wynagrodzenia (podstawa w 2019 r.: 675 zł). Przedsiębiorca, który decyduje się na takie preferencyjne stawki, musi jednak mieć na uwadze, że np. w razie choroby przysługują mu niższe świadczenia niż w przypadku standardowych składek.

Aby wiedzieć, co się będzie działo w najbliższym czasie na rynku muzycznym, warto obserwować supporty występujące przed gwiazdami. I nie inaczej jest w polityce. Jeśli ktoś chce przewidzieć, co się będzie działo w wielkiej polityce, nawet jeśli rozgrywanej przez marionetki, to powinien uważnie obserwować otoczenie najważniejszych rozgrywających. Donald Tusk niewątpliwie rozgrywającym jest, a zatem wystąpienie Leszka Jażdżewskiego nie jest i nie powinno być traktowane jako przypadkowe. Ani „Liberté!”, ani sam jego naczelny nie są zresztą ludźmi, których poglądy są nieznane, ich działalność na rzecz „świeckiej szkoły” czy rozwijający się antykatolicyzm także nie powinny być dla nikogo zaskoczeniem. Uznanie zaś, że przewodniczący Rady Europejskiej nie wiedział, że ktoś przed nim wygłosi ostre antykatolickie przemówienie, że był tym zaskoczony, jest zwyczajnym mydleniem oczu. Gdyby tak było, to oznaczałoby to, że Donald Tusk kończy się jako polityk, a wcale tak nie jest.

On sam zresztą wyraźnie puścił oko do liberalnej części opinii publicznej, sugerując, że choć nie ze wszystkim się zgadza, to problemem nie jest hejt przeciwko katolikom, ale zatrzymanie i doprowadzenie na przesłuchanie pani, która obkleiła swoją parafię bluźnierczymi wizerunkami. – Mnie w dużo mniejszym stopniu uderzyło to, co usłyszałem przed moim wykładem, z niektórymi тезami się zgadzam, z niektórymi się nie zgadzam, niektórych słów bym nie użył – oznajmił Tusk. A potem dodał: „O wiele ważniejsze jest to, czy będziemy zamykać ludziom usta, zamykać do aresztu tych, którzy mają inną wizję artystyczną”. Co znaczą te słowa? Ujmując rzecz krótko tyle, że choć uznano, iż antykatolicki atak był przedwczesny, a balon próbny został odstrzelony, to możemy się spodziewać, że temat będzie wracać. A redaktor naczelny „Liberté!” i całe jego środowisko będzie jednym z istotnych narzędzi rozgrywania tej wojny.

„SPOŁECZEŃSTWO OTWARTE” I JEGO PRZYJACIELE

Nie powinno to zresztą nikogo zaskakiwać. Środowisko „Liberté!”, które od początku swojego istnienia związane było z „Gazetą Wyborczą”, a także z fundacjami George’a Sorosa (nawet teraz na stronie głównej Liberte.pl wprost napisane jest, że portal powstaje dzięki Open Society

Elita młodych antykatolików



Tomasz P. Terlikowski

Czy w Polsce realizowany jest scenariusz irlandzki? Czy za pomocą środowisk i pism finansowanych przez George’a Sorosa i niemieckich liberałów przeprowadzana jest u nas rewolucja mentalna? Wystąpienie Leszka Jażdżewskiego może sugerować, że tak właśnie jest



Foundation). I już wtedy, jeśli uczestniczyło ono w debatach, to po postępowej stronie. Liberalizm twórców Fundacji Industrial, w której Jażdżewski pełni funkcję wiceprezesa i która jest wydawcą pisma „Liberté!”,

niewiele miał wspólnego z Miltonem Friedmanem, a więcej z tym, co za liberalizm uchodzi w Stanach Zjednoczonych. Jego twórcy opowiadali się więc za „społeczeństwem otwartym”, za „europejskimi warto-

Leszek Jażdżewski wystąpił przed wykładem Donalda Tuska na Uniwersytecie Warszawskim

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS



ściami” czy – co ujawniano stopniowo – za „prawami dla mniejszości seksualnych”.

Walka z Kościołem, która od jakiegoś czasu zajmuje stosunkowo wiele miejsca w publicystyce zarówno samego Jażdżew-

skiego, jak i jego kolegów w latach 2008 (gdy zaczynano wydawać pismo) czy 2011 (gdy organizowano pierwszą debatę w Warszawie poświęconą m.in. Bronisławowi Geremkowi jako ojcu polskiego libe-

ralizmu) była niemal nieobecna. Jeszcze trzy lata temu Jażdżewski przypominał, że przesadny antyklerykalizm czy tym bardziej antykatolicyzm jest nieskuteczny i naraża na śmieszność. „[...] obrzędowość katolicka stanowi część tradycji Polaków, także niewierzących. Innej nie mamy. Dlatego walka z nią czy tworzenie ateistycznych odpowiedników religijnego sztafażu może co najwyżej wywołać uśmiech politowania” – podkreślał. Jednak już wtedy jasno sygnalizował, że konieczne jest tworzenie niereligijnej symboliki, która nikogo by nie wykluczała i która umożliwiałaby modernizację państwa.

Ten język zaczął się stopniowo zmieniać, gdy okazało się, że przynajmniej część z postulatów antyklerykalnych (choćby wycofania katechezy ze szkół, pod pozorem oczywiście kwestii finansowych) znajduje poklask u młodszych wyborców, a tempa nabrał wraz z pojawieniem się na tapecie skandali seksualnych także w polskim Kościele. W Irlandii to właśnie one pozwoliły wypchnąć Kościół z debaty publicznej i doprowadzić do sytuacji, w której jego postulaty moralne przestały się dla kogokolwiek liczyć. Teraz ten sam scenariusz przeprowadzany jest w Polsce, która pozostaje solą w oku liberalnych elit. Laicyzacja, choć niewątpliwie dotyka także nasz kraj, nie przebiega tak szybko jak powinna, konserwatywna rewolucja dotyka szerokich rzesz Polaków, a rząd realizuje własną (wcześnie nie tak prawicową, jak próbują nas przekonywać zarówno jego entuzjaści, jak przeciwnicy, ale niewątpliwie własną), a nie liberalną agendę polityczną, a Kościół – choć niewątpliwie osłabiony skandalami i brakiem wyraźnego przywództwa – nadal ma sporo w Polsce do powiedzenia.

Jakby tego było mało, ruchy pro-life choć nie udało im się doprowadzić do zmiany prawa, nadają ton debacie publicznej na temat ochrony życia. To wszystko nie może cieszyć macherów od budowy „społeczeństwa otwartego” i walki z rzekomym populizmem. A jako że mają już oni doświadczenia z przebudową świadomości katolickich społeczeństw w Irlandii i na Malcie, to obecnie próbują dokładnie ten sam scenariusz przeprowadzić w Polsce. Jego pierwszym elementem jest... zbudowanie wizerunku Kościoła jako głównego zagrożenia dla naszej wolności i nowoczesności, a także instytucji dotkniętej zepsuciem i zgnilizną moralną związaną z pedofilią i korupcją. ■

„Liberté!” sugerująca, choćby piórem Leszka Jażdżewskiego, że istotą wyboru między PiS a PO jest decyzja dotycząca tego, czy nasze dzieci będą „ciumkane” przez proboszczów na plebaniach, czy też otrzymają nowoczesną edukację, jest istotnym elementem realizowania tego scenariusza. Nikt tego zresztą szczególnie nie ukrywa, ponieważ sam Jażdżewski wskazuje, że pozbawienie autorytetu moralnego Kościoła ma prowadzić do odrzucenia jego nauczania w kwestiach moralnych i do przeprowadzenia rewolucji obyczajowej w Polsce

„Poglądy Polaków na rolę Kościoła katolickiego, małżeństwa homoseksualne, legalizację aborcji ulegają radykalnej liberalizacji. Ci, którzy chcą swój punkt widzenia w tych sprawach wyrażać pokretnie i niejednoznacznie, byleby nikomu nie podpaść, myślą kategoriami ubiegłej dekady” – przekonywał podczas swojego wykładu Jażdżewski. I nawet jeśli trochę się pomylił, odrobinę przeliczył, bo owych po nowemu myślących jest wielu na nowych osiedlach w wielkich miastach, choć nadal to nie oni stanowią większość, to trafnie rozpoznał trend. Laicyzacja młodych w Polsce przebiega – co wynika z badań Pew Research Centre – najszybciej na świecie. I to do nich miało trafić przemówienie Jażdżewskiego. To oni – młodzi, liberalni, sfrustrowani nie tylko rządami Prawa i Sprawiedliwości, lecz także niechęcią (tak, tak – tak to trzeba nazwać) Platformy Obywatelskiej, gdy była ona u władzy, do radykalnej rewolucji obyczajowej, byli jego odbiorcami, to ich językiem wreszcie posługiwał się Jażdżewski. Z ich perspektywy problemem wcale nie jest PiS, ale fakt, że katolicyzm, chrześcijaństwo, a szerzej Kościół nadal są głównym elementem tożsamości moralnej Polaków, a co za tym idzie, stanowi on tamę dla postulatów rewolucji obyczajowej.

MIGRANCY JAKO GŁÓWNY ELEMENT ZMIANY

Kościół, trzeba to uczciwie przyznać, nie jest główną obsesją Jażdżewskiego. Tą jest bowiem – ujmując rzecz złośliwie – aborcja. „Czarne parasolki” mają uratować demokrację, a feministki są najważniejszą nadzieją dla Polski. – Gdzie bije źródło nadziei? W Polkach. To bunt kobiet przeciwko nieludzkiemu prawu stał się siłą napędzającą zmiany społeczne w ostatnich latach. Chociaż jest jeszcze tyle do zrobienia w kwestii równości, to

przyznam się wam, że po cichu czekam na nową Joannę Szczepkowską, która powie, że „26 września 2016 r. [początek czarnego protestu] skończył się w Polsce patriarchat”. Na razie chyba nie będzie to jednak w telewizji publicznej – mówił Jażdżewski w Auditorium Maximum, ale identyczne opinie znaleźć można także w jego wcześniejszej publicystyce.

Nieco mniej wprost i raczej piórami innych z „Liberté!” wskazuje także na inne, poza feminizmem i antykatolicyzmem, źródła rewolucji obyczajowej, do której ma dojść w Polsce. I tak z entuzjazmem cytowane są tu teksty George’a Sorosa, który nigdy nie ukrywał, że napływ migrantów do Europy ma być istotnym elementem zmiany na Starym Kontynencie. Identyczne opinie formułowali zaś także publikujący na łamach „Liberté!” publicyści, choćby Jacek Władysław Bartel apelujący, by „nie bać się migracji”,

Pozbawienie autorytetu moralnego Kościoła ma prowadzić do odrzucenia jego nauczania w kwestiach moralnych i do przeprowadzenia rewolucji obyczajowej w Polsce

czy Michał Garapich przekonujący, że nie ma alternatywy dla polityki wielokulturowości. Nieodmiennie też „Liberté!” piętnuje każdy przejaw islamofobii, co nie przeszkadza temu środowisku prezentować poglądy mocno antykatolickie.

Wszystko to razem nie pozostawia większych wątpliwości co do tego, że sam magazyn i skupione wokół niego środowisko (w wielu kwestiach zresztą interesujące) są istotnym narzędziem zmiany opinii publicznej. Zmiany finansowanej zarówno ze środków zebranych w ramach crowdfundingu, jak i pozyskanych z zewnątrz. Skąd? Oddajmy głos Jażdżewskiemu, który kilka tygodni temu oznajmił sarkastycznie, iż „Liberté!” z dumą może oznajmić, że bierze kasę zarówno od Niemców (Fundacja im. Friedricha Naumanna), jak i od Open Society Institute”. Wśród sponsorów pisma Jażdżewskiego znajdujemy też Europejskie Forum Liberalne (EFL), którego przewodniczącym (a wcześniej wiceprzewodniczącym) jest niemiecki polityk FDP Jürgen Martens. Czy to te organizacje wyłożyły pieniądze na wykład Donalda

Tuska na Uniwersytecie Warszawskim? Pytany o to wprost Jażdżewski zaprzecza i zapewnia, że środki pochodziły od donatorów z Polski.

CO ZAMIAST KATOLICYZMU?

Na koniec trudno jeszcze nie zadać pytania: Co zamiast katolicyzmu i opartej na nim moralności proponuje Polakom środowisko „Liberté!”? Gdy w Polsat News pytanie o to zadał Jażdżewskiemu Bogdan Rymanowski, to wywołał tym niemal popłoch swojego rozmówcy. Ten najpierw chwilę się wahał, a potem zaczął opowiadać o Immanuelu Kancie i jego zasadzie: „Niebo gwiazdzone nade mną, prawo moralne we mnie”, która rzekomo miała być etyką bez Boga. Kłopot polega tylko na tym, że Kant był luteraninem, a jego etyka to zlaicyzowany luteranizm w wersji najbardziej purytańskiej. Akty homoseksualne uznawane w nim są za niegodne nawet zwierząt, a masturbacja potępiana. Dociskany przez prowadzącego wspominał jeszcze o egzystencjalizmie, ale tu nie padły żadne nazwiska. Złośliwie można więc zapytać, czy źródłem nowej, świeckiej moralności ma być Martin Heidegger, nazista, antysemita, człowiek, który zdradzał przyjaciół, ale podobnie jak Jażdżewski nie znosił Kościoła? Czy może Jean-Paul Sartre – stalinista, maoista i zwolennik otwartych małżeństw? Nie wiem, kto byłby dla redaktora lepszy, więc pytam.

Tak, wiem, że to złośliwość, ale pytanie to zadaję nie bez kozery. I Sartre, i Heidegger, obaj w młodości katolicy, także uważali katolicyzm za główne zagrożenie dla wolności, niezależności i nowego świata. I obaj wpadli w szpony świata, który był zdecydowanie gorszy niż to, co porzucili. Teraz ich następcy przekonują nas, że tylko zastąpienie strasznego, pedofilskiego katolicyzmu może nas wyzwolić, zapominają jednak, że wszystkie te propozycje zostały już przetestowane. A przy okazji budują świat, w którym jedyną grupą, którą można obrażać bezkarnie, stają się katolicy. To my stajemy się owym „innym”, wobec którego określać się mają nowocześni, postępowi, budujący nowy świat na pokolenia. To samo mówili zwolennicy i Heideggera, i Sartre’a. Nowy świat okazał się gułagiem, ale niczego to nie nauczyło tych, którzy przyszli po nich. Smutne to, ale w sumie – jak mawiał Eklezjastes – „Nic nowego pod słońcem”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019





Grzegorz Kucharczyk

W walce o nowy porządek zawsze sięgano po oskarżenia wobec Kościoła

Niemal sto lat temu Gilbert Chesterton zauważył, że „wielu ludzi jest jednocześnie pochłoniętych myślą o Kościele i uprzedzonych do niego. Dziwne to uczucie: obserwować tak wiele niewiedzy w parze z tak niewielką obojętnością. Ludzie uwielbiają mówić o Kościele i nie cierpią o nim słuchać, a już najbardziej nie cierpią zasięgać informacji na jego temat”.

Te słowa angielskiego pisarza przysły mi na myśl, gdy czytałem relacje o niedawnym wystąpieniu dr. Leszka Jażdżewskiego, redaktora pisma „Liberté!”, w charakterze „supportu” przed wystąpieniem Donalda Tuska na Uniwersytecie Warszawskim 3 maja. Najwyraźniej doktor-redaktor postanowił wystąpić w konkurencji „epatowanie bluźnierstwami”. Starał się, jak mógł. Ku uciesze okłaskującego go audytorium (a nie byli to gimnazjaliści na seansie „Kleru”) porównywał Kościół do „świni taplającej się w błocie”, a krzyż do „pałki służącej do zaganiania owieczek”.

Nudne to, bo nie wychodzi poza znany od dawna i ćwiczony na łamach „Nie”, „Faktów i Mitów” oraz – ostatnio coraz bardziej – „Gazety Wyborczej” szablon. Już dawno temu zauważył cytowany autor „Ortodoksji”: „w naszych czasach bluźnierstwa stały się już wyświechtane”, a „profanacja jest dziś więcej niż afektacją – jest konwencją”. Nowość wydarzenia na UW polegała na tym, że urbanopodobna, antykatolicka retoryka zagościła na „europejskim” wydarzeniu, na którym co rusz przemawiali sami „uśmiechnięci i fajni” ludzie, a na końcu „najfajniejszy” z nich wszystkich. Luz, światowy esprit, żadnych facetów „w spoconych koszulach”, a w środku tego salonu propagandowa agitka, którą od początku transformacji zachłannie karmił się na łamach „Nie” postkomunistyczny elektorat z resortowych bloków. Teraz ćwiczone niegdyś w IV Wydziale MSW warianty propagandowych operacji wymierzonych w Kościół głoszone są przez reprezentanta młodych, wykształconych z dużych miast.

Antykościelny schemat





Najwyraźniej tak ma wyglądać „drugie pokolenie Europejczyków” nad Wisłą, które trzy dekady po kontrolowanym „upadku komunizmu” w Polsce jest przygotowywane do przejęcia władzy w naszym kraju. Operacja jest przeprowadzana jednocześnie w paru miejscach. Wystąpienie dr. Jażdżewskiego miało przecież zademonstrować, że nowe kadry „fajnych i uśmiechniętych”, gotowych do bezwzględnego zaprowadzenia nad Wisłą postępu wedle norm WHO, UE, PE etc., obecne są nie tylko w szeregach Wiosny.

KANON PROPAGANDY

Z wypowiedzi redaktora „Liberté!” można wywnioskować, że łaknie on „strawy duchowej”, której deficyt inkryminuje on polskiemu Kościołowi. Słowem – człowiek uduchowiony, może nawet ukryty miłośnik klasycznej liturgii i tomistycznej metafizyki, tęskniący za Kościołem wojującym, odrzucający mizdrzenie się do świata wielu pasterzy Kościoła posoborowego. Cóż, tyle w tym prawdy, ile w twierdzeniu, że wszyscy piszący o Piusie XII jako o „papieżu Hitlera” szczerze tęsknią do czasów, gdy na głos biskupa Rzymu drżeli moiżni tego świata (taka bowiem logika kryje się za oskarżaniem tego papieża o „bierność” wobec niemieckiej zbrodni ludobójstwa na Żydach, bo w domyśle wystarczyło tylko jego słowo, a Niemcy ze wstydem pozamykaliby wszystkie swoje obozy zagłady).

Dzisiaj wiemy, że propagandowa operacja wymierzona w Piusa XII była profesjonalnym „montażem” spreparowanym przez specjalistów z KGB. Kilkanaście lat temu cały proceder dokładnie opisał funkcjonariusz rumuńskiej bezpieki I. Macepa. Jednak sposób atakowania Kościoła poprzez zarzucanie mu zaniedbania ewangelicznych cnót – a wszakże wedle redaktora „Liberté!” Kościół w Polsce „zapał się Chrystusa i Ewangelii” – jest stary jak antykatolicyzm zrodzony w epoce protestanckiej reformacji.

Opowieści o Kościele „uganiającym się za władzą i pieniędzmi” należały bowiem do kanonu protestanckiej propagandy wymierzonej w „papistów”. Nie mogło być dobrze – utrzymywali Luter, Kalwin, Zwingli et consortes – skoro na czele Kościoła stoi „antychryst”, „prawdziwa babilońska nierządnicą”. Nowość naszych czasów (a może miara kryzysu w Kościele) polega na tym, że raczej w obiegu jest taktyka, którą w skrócie można opisać: „żli są polscy biskupi i Radio Maryja, bo nie dorastają do papieża Franciszka”. Po-

wraca jednak motyw moralnego zepsucia duchowieństwa (koniecznie o skali powszechnej). Tak jak w czasach króla Anglii Henryka VIII, który ogłosiwszy się „głową Kościoła w Anglii”, zanim skonfiskował wielkie majątki ziemskie należące do klasztorów, wysłał tam specjalną komisję kierowaną przez swojego zausznika Thomasa Cromwella. Komisja znalazła – tak jak od niej oczekiwano – „wstrząsające dowody” rozpusty szerzącej się od lat za klasztorowymi murami. Całą Anglię zalały druki i ryciny przedstawiające „odkryte” przez komisję Cromwella w klasztornych piwnicach dziecięce szkielety i inne „dowody” seksualnego rozpasy zakonników i zakonnic. O wiele łatwiej odebrać majątki rozpuśnikom, a i nikomu nie przyjdzie do głowy oskarżać króla i jego urzędników o zwykłą grabież.

LIBERTÉ I GORZE

Wytrwałymi poszukiwaczami „strawy duchowej” w Kościele byli również oświeceniowi publicyści, dla niepoznaki zwani „filozofami”. Całe pisarstwo Woltera i jego naśladowców poświęcone było piętnowaniu duchowej i intelektualnej mizerności współczesnego im Kościoła, identyfikowanego przez nich jako ośrodek „ciemnoty i zabobonu”. Wysoko na propagandowej agendzie nieodmiennie widniała również „pogoń Kościoła za władzą i pieniędzmi”. Na tym opierała się bowiem rozpęta przez oświeceniowców ogólnoeuropejska antyjezuicka histeria, która ostatecznie doprowadziła w 1773 r. do kasaty Towarzystwa Jezusowego przez Stolicę Apostolską. Z lubością – wiele mówiąc o autorach tego typu „rewelacji” – oświeceniowi „filozofowie” rozpisywali się o seksualnych perwersjach rzekomo będących na porządku dziennym w setkach francuskich klasztorów. Bestsellerem na salonach była powieść Denisa Diderota „Zakonnica”, typowy przykład tego rodzaju „demaskatorskiej” literatury.

Kościół miał być bowiem otwarty na „światło rozumu”, a gdy nastąpiła już epoka rewolucji francuskiej, miał być na usługach republiki rozumianej jako „żarliwa wspólnota Francuzów” (Saint Just). W imię wolności pozbawiono Kościół już w 1789 r. jego majątków. W imię równości nakazano katolickim duchownym składać specjalną przysięgę rewolucyjnemu państwu (tzw. konstytucja cywilna kleru z 1790 r.). W imię braterstwa uczyniono z księży zwierzynę łowną w dobie otwartej akcji dechrystianizacyjnej (1793–1794), gdy

Leszek Jażdżewski między Donaldem Tuskiem i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

W całej Francji zakazano kultu chrześcijańskiego, a wielkie katedry zamieniano na „świątynie Rozumu”. Zamiast Kościoła, i tak przecież pozbawionego „strawy duchowej” oraz „goniącego za władzą i wpływami”, miało powstać coś lepszego – republika ucząca obywateli cnoty (Robespierre). A kto nie był zbyt pojętnym uczniem, temu wszystko raz a dobrze wytłumaczyła obywatelka gilotyna.

„USZLACHETNIANIE” PRZESZ KULTURKAMPF

Kolejne pokolenie ludzi bolejących nad deficytami wyższej „strawy duchowej” w Kościele i zatroskanych „pogonią księży za bogactwem” pojawiło się w Europie w drugiej połowie XIX w., przy okazji kolejnych odsłon wojen kulturowych (kulturkampfov). Wszyscy autorzy ukrywającej się pod tą nazwą polityki odgórnie narzucanej laicyzacji – czy to w Piemontcie, w Bismarckowskiej Rzeszy Niemieckiej, czy w III Republice Francuskiej – dostrzegali poważne deficyty w edukacyjnej działalności Kościoła (w tym także w formacji kleryków w seminariach duchownych) jako zupełnie nieodpowiedniej dla „wieku pary i żelaza”. Szkoły prowadzone przez Kościół nie dostarczały odpowiedniej „strawy duchowej” dla mknącej ku postępowi Europy.

Mało tego, liberalna prasa wspierająca kulturkampfovą politykę alarmowała, że cywilizacyjne zacofanie promowane przez Kościół zainteresowany jedynie sprawowaniem „despotycznej władzy” nad duszami wiernych przynosiło rezultat w postaci szerzenia się zagrożeń epidemiologicznych. O wybuch cholery na pruskim Śląsku w 1848 r. i parę lat później we włoskiej Genui liberalne elity w Berlinie i Turynie zgodnie obwiniały „tkwiące w ciemnocie” duchowieństwo. Epidemii należało więc zwalczać, doprowadzając do masowej kasaty klasztorów. Nie dość, że szerzą „zabobon i zacofanie” (dzisiaj się mówi: „brak strawy duchowej”), to jeszcze zagęszczają miejską zabudowę, doprowadzając do łatwiejszego przenoszenia się zarazków. To nie żart. Tak pisała włoska prasa liberalna w latach 50. XIX w. po genueńskiej epidemii cholery.

Laicyzatorzy nie tylko dbali o higienę ciała. Wyzuleni na dochowanie wierności „prawdziwemu” Chrystusowi i „prawdziwej” Ewangelii co rusz podejmowali walkę z odstępstwami Kościoła od tego szlachetnego powołania. W ten sposób uzasadniono zarówno w Prusach, jak

i we Francji masowe kasaty zakonów, usuwanie Kościoła ze szkolnictwa i próbe podporządkowania państwu seminaryjnej formacji kleryków (np. poprzez wprowadzenie obowiązkowego egzaminu państwowego, jak narzucono to od 1873 r. w państwie Hohenzollernów). Całość przedsięwzięcia sprzedawano jako politykę „wolnego Kościoła w wolnym państwie”. Liberté, liberté, Freiheit!

Ostatnią odsłoną europejskich kulturkampfov była rewolucja październikowa w Portugalii w 1910 r. Pucz wojskowy kierowany przez zrzeszonych w wolnomularskich lożach oficerów doprowadził do obalenia w tym kraju monarchii i podjęcia

O wybuch cholery na pruskim Śląsku w 1848 r. i potem w Genui liberalne elity obwiniały „tkwiące w ciemnocie” duchowieństwo

wysiłków na rzecz „uwolnienia” i „uszlachetnienia” Kościoła według pruskiej i francuskiej recepty. W momencie pierwszych objawień w Fatimie w maju 1917 r. nie było w Portugalii żadnego katolickiego biskupa. Już wcześniej zostali skazani na banicję za sprzeciw wobec zadekretowanego przez władze republikańskie w 1910 r. tzw. rozdziału Kościoła od państwa. Stygmatyzowanie Kościoła w wolnomularskiej prasie sprzyjającej tym represjom było podobne do wszystkich wcześniejszych kulturkampfov – „zacofany, żądny władzy Kościół”.

WOJUJĄCY BEZBOŻNICY

Krwawe prześladowania chrześcijan, które rozpoczęły się w Rosji po zwycięstwie bolszewików w tamtejszej rewolucji październikowej, także były uzasadniane koniecznością stworzenia „nowej, lepszej Cerkwi”. Prowadzona przez bolszewicki Związek Wojujących Bezbożników antychrześcijańska kampania propagandowa w latach 20. nie tylko wykorzystywała dotychczas stosowane przez wrogów Kościoła narracje propagandowe, lecz także wprowadziła nowy wątek – młodości łaknącej nauki i postępu, słowem – świeżej „strawy duchowej”, której kłody pod nogi starała się rzucać starość tkwiąca w okowach „ciemnoty”,

zazdrosna o swoje wpływy. Ta pierwsza była personifikowana przez komсомолców, ta druga – przez brodatych popów i słuchające ich starsze kobiety (prototyp „moherowych beretów”).

Z kolei wątek zachłanności na władzę i pieniądze oraz seksualnych perwersji katolickiego duchowieństwa był mocno eksploatowany w Niemczech hitlerowskich przez Goebbelsowską propagandę w 1937 r. Był to odwet narodowosocjalistycznych władz Rzeszy Niemieckiej za opublikowanie w tym samym roku przez papieża Piusa XI encykliki „Mit brennender Sorge”, która potępiła ideologię i ustrój niemieckiego państwa nazistowskiego. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki posypały się oskarżenia, a następnie procesy wytaczane katolickim księżom o „przestępstwa dewizowe” (tak kwalifikowano na przykład kolekty na cele misyjne Kościoła) oraz o „obrazę moralności” (tj. homoseksualizm). Po 1945 r., gdy archiwa ministerstwa propagandy Rzeszy nie kryły już tajemnic, okazało się, że wszystkie tego typu oskarżenia padły „na rozkaz”. W końcu to sam Hitler w gronie swoich współpracowników twierdził, że „Bismarck źle zabrał się za Kościół”. Nie zrozumiał, że najpierw trzeba „go odrzec z godności”, zwłaszcza w oczach młodego pokolenia.

KOŚCIÓŁ JAKO ZAWADA

Przeglądając się długiej historii działalności „uszlachetniaczy” Kościoła i widząc szczególne natężenie ich działalności w ostatnich latach nad Wisłą (dość wspomnieć zatroskanych moralną kondycją duchowieństwa twórców filmu „Kler”), warto przypomnieć sobie słowa A. Dugina z wywiadu udzielonego ponad 20 lat temu „Frondzie” o konieczności osłabiania polskiego katolicyzmu jako podstawowym wymogu rosyjskiej polityki w Polsce.

Warto również pamiętać, że Friedrich Naumann, którego imię nosi niemiecka fundacja dotująca pismo „Liberté!”, w swojej strategii Mitteleuropie nie tylko snuł projekty niemieckiej dominacji politycznej i gospodarczej w całej Europie Środkowej. Ostatecznym celem miało być bowiem stworzenie „nowego, środkowoeuropejskiego typu człowieka”, uformowanego przez „środkowoeuropejską kulturę”, wedle wzorców niemieckiej filozofii idealistycznej. Tutaj także Kościół jawił się jako przeszkoda. I niech tak pozostanie.



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER



PARTNER GALI





Z prof. Ryszardem Legutką, europosem PiS, przewodniczącym Grupy EKR w Parlamencie Europejskim rozmawia Piotr Semka

PIOTR SEMKA: „Amerykańscy ZMP-owcy nie dopuścili do mojego wykładu w USA” – mówił pan niedawno po powrocie zza Atlantyku. Skąd to porównanie?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Uważam je za jak najbardziej zasadne. Lewicowe organizacje studenckie w Middlebury College zorganizowały akcję, która zmusiła władze uczelni do odwołania mojego wykładu. Dokładnie tak samo działali ZMP-owscy hunwejbini w latach stalinizmu, kiedy zakłócili wykłady „burżuazyjnych profesorów”, jak np. Władysław Tatarkiewicz. Oni też krzyczeli, że nie będą słuchać nauczania o reakcyjnych filozofach, którzy nic nie mówili o walce klas. I wtedy w Polsce lat 50., tak jak teraz w USA, władze uczelni milczały zastraszone. Nikt nie reagował na blokowanie sal wykładowych. Wtedy ten strach rektorów można było od biedy zrozumieć lękiem przed bezpieczeństwem. Jednak bierność władz Middlebury College przed agresywną mniejszością narzucającą brak swobody słowa nie tłumaczy nic oprócz tchórzostwa. Smutne.

W końcu doszło do spotkania pana z częścią wykładowców i studentów, ale w zamkniętym pomieszczeniu na terenie uczelni, niejako konspiracyjnie. Przypomniły się dawne czasy?

Czy pytał pan amerykańskich gospodarzy o przyczyny tchórzostwa władz uczelni?

Dla moich amerykańskich kolegów akcja lewicowych studentów nie była niestety niczym zaskakującym. I tak dobrze, że nie ucierpiałem fizycznie. Dwa lata temu na tej samej uczelni inny gość – amerykański politolog Charles Murray – stał się najpierw ofiarą ataku na salę, w której wyładał, a gdy opuszczał campus, doszło do ataku lewicowej bojówki i szarpaniny. Murray nie ucierpiał, ale u pani profesor Allison Stanger zdiagnozowano wstrząśnienie mózgu i kontuzję obojczyka. Nikt z ówczesnych studentów-agresorów nie został wyrzucony przez władze uczelni.

Czyli oddolne, studenckie organizacje mogą odgrywać rolę cenzora nie gorzej niż policja. I skuteczniej, bo zawsze mogą się chronić za swoim społecznym statusem.

To już na wielu uczelniach się dzieje. Lewicowi studenci ze Student Government Association w wielu szkołach egzekwują wymóg, by władze uczelni sprawdziły zaproszenie każdego gościa, czy nie jest homofobem lub białym suprematystą. Faktycznie jest to badanie, czy dana osoba nie ma niewłaściwych poglądów. W drugą stronę to nie działa – każdy ekstremi-

W każdym kraju ma powstać biuro kontaktowe, które będzie monitorować naruszenia demokracji. W praktyce będzie to rozliczanie rządów z implementacji ideologii feminizmu, „praw reprodukcyjnych”, kart LGBT i walki z nacjonalizmem

Tak, trudno było uniknąć skojarzeń z nielegalnymi wykładami Towarzystwa Kursów Naukowych organizowanych potajemnie w latach PRL. Było dla mnie smutną satysfakcją, że to, co zdarzyło się w Middlebury College, było najlepszą ilustracją tego, co napisałem w swojej książce „The Demon in Democracy: Totalitarian Temptations in Free Societies”, czyli o wypieraniu wolności z systemu formalnie demokratycznego. Obecni na spotkaniu mówili – okoliczności, w jakich się spotykamy, są dokładnym potwierdzeniem pana ostrzeżeń.

sta lewicowy bez przeszkód wygłasza wykłady. Prawica jest w o wiele słabszej sytuacji, ale coś próbują robić. Niestety, rektorzy bardziej boją się lewaków.

W tym kontekście bardzo niepokojąco jawi się przegłosowana niedawno uchwała Parlamentu Europejskiego o finansowaniu przez Unię organizacji walczących z zagrożeniami dla demokracji.

To działa się już wcześniej. To, co nowego, to ilość pieniędzy – prawie 2 mld euro. W każdym kraju ma powstać biuro kontaktowe, które będzie monitorować naruszenia demokracji. W praktyce będzie to rozliczanie rządów z implementacji



FOT. JAKUB PODCZYK/FORUM

nigdy nie jest Zawsze



ideologii feminizmu, „praw reprodukcyjnych”, kart LGBT i walki z nacjonalizmem. Takie biura mają alarmować komisję, jeśli uznają, że coś jest nie tak.

Tak powstaje system kontroli ideologicznej w Unii?

Organizacje, które od lat są beneficjentami takich dotacji, są niemal wyłącznie lewicowe i progresywne. Zazwyczaj przedstawiają się jak NGO, czyli non-governmental organization. Skoro jednak w coraz większym stopniu są na utrzymaniu Komisji Europejskiej, czyli czegoś w rodzaju rządu unijnego, to faktycznie stają się „governmental organization”. Mogą być czymś w rodzaju nieformalnego ramienia politycznego Komisji Europejskiej. Jeśli jakiś rząd komisji się nie podoba – tak jak w Polsce – odpowiednie organizacje zajmą się próbą jego destabilizacji.

Tworzy się więc nowa kasta ludzi – funkcjonariuszy żyjących z wysokich dotacji unijnych, którzy pilnują politycznej poprawności. A w razie sporu to ich słucho się w Brukseli, a nie demokratycznie wybranego rządu.

Tak jak przed wojną była specjalna kategoria zawodowych rewolucjonistów z Kominternu tzw. funków – skrót od „funkcjonariusz etatowy”. Nie twierdę, że wszystkie NGO przeżywają taką metamorfozę, ale wielu jest już takich „nadzorców”. Ich lojalność jest skupiona na Brukseli. A jeśli lokalny rząd chce coś zmienić wbrew politycznej poprawności, to uruchamiany jest art. 7 i używana może być broń kar finansowych.

nych jest od udowodnienia, że firma spełnia standardy LGBT i równości płci. W rezultacie każdy z konformizmu czy z wyrachowania chce być „gay friendly”. Biznesmeni, którzy zechcą działać w biznesie bez łamania swego sumienia, będą na rynku w gorszej sytuacji niż ci, którzy zegną kark przed political correctness. Nikt nie chce wypaść z rynku zamówień.

Krótko przed ostatnimi wyborami w Hiszpanii Facebook usunął parę kont hiszpańskiej prawicy z powodu zastrzeżeń innych użytkowników do treści tam umieszczanych. Sprawa ma być zbada- na, ale w kluczowym momencie kampanii prawica dostała bolesny kopniak w kostkę.

Facebook dał się już wiele razy poznać z tej strony. I zawsze znajdzie się jakieś przewrotne tłumaczenie. Lewicowi studenci z Middlebury tłumaczyli, że nie pozwolili mi wystąpić na uczelni, bo przez moją obecność stali się obiektem gwałtu. Czyli to ja, a nie oni, byłam czynnikiem ograniczania czyjejś wolności. Na tej samej zasadzie można głosić, że zamykanie kont służy większej otwartości.

Kłania się Orwell z podwójnym nazewnictwem. Wojna to pokój, nienawiść to miłość, a niewiedza jest siłą?

Mechanizmy mające ukryć zawłaszczanie wolności są zawsze takie same.

Na ile najbliższe wybory do europarlamentu mogą zatrzymać te niepokojące tendencje unifikacji ideologicznej Unii Europejskiej? Jeśli nawet partie tożsamościowe, takie jak Fidesz czy PiS, uzyskają więcej niż cztery lata temu, to socjaliści

chce, przy akceptacji strachliwego EPP. Przyjdą nowi ludzie, z nową energią.

Niedawno doszło do spotkania Viktora Orbána z Matteo Salviniem z włoskiej Ligi. Niedługo potem premier Węgier oświadczył, że Fidesz nie poprze Manfreda Webera z Europejskiej Partii Ludowej na szefa Komisji Europejskiej. Czy to znaczy, że drogi Orbána i EPP się rozchodzą?

Myślę, że moment, kiedy Orbán odejdzie z EPP, jest raczej bliższy niż dalszy. Gdy premier Węgier był z wizytą w Warszawie, to deklarował, że jeśli Fidesz opuści chadeków, to jego droga będzie prowadziła raczej przez Warszawę. Oznaczać to może dołączenie do naszej Frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. W mojej opinii EKR to dla Orbána lepszy wybór niż Salvini, który jeszcze nie zbudował swojej grupy. Jednak to na razie tylko spekulacje. Poczekajmy, jak skończy się spór Orbána z EPP.

Dwanaście procent dla VOX w ostatnich wyborach do Kortezów w Hiszpanii to dużo czy mało?

To jest mało w stosunku do nadziei, które mieli przed wyborami nasi koledzy z Hiszpanii. Rozwój tej partii był bardzo dynamiczny w ciągu trzech miesięcy. Zaczynali całkiem niedawno od zera. Sondaże dawały więcej, ale być może taka partia musi nieco okrzepnąć, zakorzenić się. Zobaczymy, jak wypadną w eurowyborach.

Kolejny punkt Europy, gdzie ostatnio sukces uzyskała prawica tożsamościowa, to Holandia. Forum na rzecz Demokracji wygrało w senacie. To interesująca partia?

Tak. Thierry Baudet to młody akademik, politolog z pewnym już dorobkiem. Zaczynali jako partia antyunijna, ale dziś są już nastawieni na reformowanie Unii. To dla PiS cenny partner. Podpisałem z Thierryem Baudetem wspólną deklarację, w której opowiadamy, jak naszym zdaniem wspólnota powinna wyglądać. Myślę, że w eurowyborach powtórzą swój sukces.

Całkiem niespodziewanie może dojść do wyborów europejskich w Wielkiej Brytanii. Czyli wasi koledzy z Albionu na razie będą w EKR. Cieszy się pan?

Tak, wejść do parlamentu, choć zapewne w mniejszej liczbie niż poprzednio. Wskutek perturbacji z brexitem notowania konserwatystów się obniżyły. Nie będzie ich jak dotąd

Gołym okiem widać, że w Europie następuje otrzeźwienie i narasta fala sprzeciwu wobec federalizmu. **Krajobraz polityczny w Unii zmieni się po wyborach bardzo znacząco**

Kiedys analityk marksizmu Milovan Dilas wskazał na nomenklaturę partyjną, a nie robotników jako nową klasę rządzącą. Teraz część NGO staje się nadzorcą postępowej agendy zmian.

To nie są biedni obywatele społecznicy, ale ludzie, którzy żyją z takich instytucji. Sytuacja się pogarsza, gdyż z wolna punktem oparcia dla konserwatystów przestaje być prywatna inicjatywa. Odchodzi w przeszłość teza, że biznes jest wolny od polityki, a wielkie pieniądze nie mają barw ideologicznych.

Już teraz coraz więcej zamówień publicznych na Zachodzie uzależnio-

wraz z Europejską Partią Ludową i liberałowie z ALDE zawsze zdążą zbudować koalicję przeciw populistom. Coś jak Koalicja Europejska od Schetyny przez PSL do Cimoszewicza i Belki.

Użył pan słowa „zawsze”. Nic nie trwa „zawsze” i bez zmian. Ta absolutna dominacja wyblakłej ideowo chadecji i agresywnej lewicy powoli słabnie. Stan posiadania prawicy tożsamościowej jest z wyborów na wybory coraz większy. Nie wiemy jeszcze, jakie będą wyniki wyborów i jak wpłyną na zmianę stosunku sił, ale coś się zmieni. Nie będzie to już miejsce, gdzie lewica będzie mogła robić, co

17, ale może 10. Jednak nie zagrzeją tu miejsca na długo, bo moim zdaniem do brexitu dojdzie.

No to musi być pan rozdwojony. Z jednej strony, jak podejrzewam, szanuje pan prawo Brytyjczyków do odejścia, z drugiej strony to osłabienie frakcji EKR. A może pozostanie brytyjskich posłów w PE byłoby lepsze?

W polityce bardzo często jest się rozdwojonym. Jak było referendum, to uważałem, że lepiej, by Brytyjczycy zostali w UE. To było w interesie Polski. Skoro jednak decyzja na „nie” już zapadła, to jak Brytyjczycy się ugną, grupa kierująca Unią wpadnie w pychę i o jakichkolwiek reformach nie będzie już mowy. Timmermans czy Verhofstadt uznają, że każda próba wyjścia kończyć się musi klęską. „Od nas nie ma ucieczki”. Znam tę pychę aż za dobrze.

Czy śledził pan temat prowokacji medialnej wobec konserwatywnego myśliciela Rogera Scrutona, który był doradcą jednego z konserwatywnych ministrów w rządzie Theresy May? Lewicowy magazyn „New Statesman” zrobił ze Scrutonem wywiad i nagłośnił jego rzekomo skrajne wypowiedzi. Minister od torysów wpadł w panikę i zdymisjonował Scrutona. Po paru dniach okazało się, że była to mistyfikacja autora wywiadu, który bez cienia wstydu chwelił się, że ustrzelił konserwatywnego myśliciela. Jak pan to przyjął?

Wnioski są dwa. Po pierwsze, jak dalece lewa strona kierowana jest nienawiścią do konserwatyzmu i jak bardzo uważa, że wszelkie środki są w tej walce dozwolone. Nawet najbardziej chamskie i nieuczciwe. To, co zrobił „New Statesman”, to było gangsterstwo. Druga

Z jakimi nastrojami idzie pan na wybory? Co skłania pana do optymizmu, a do co pesymizmu?

Pesymizm budzi to, że po stronie obecnych sił rządzących Unią nie ma żadnej woli kompromisu. Język, którym się opisuje tych, którzy nie chcą brukselskiego superpaństwa, jest niebawale arogancki. Na jakiej podstawie Manfred Wehner ogłasza, że populiści nie zostaną dopuszczeni do żadnego ważnego stanowiska we władzach Parlamentu Europejskiego? I ten

Absolutna dominacja wyblakłej ideowo chadeckiej i agresywnej lewicy powoli słabnie. Stan posiadania prawicy tożsamościowej jest z wyborów na wybory coraz większy

refleksja to żenujące tchórzostwo konserwatywnego ministra. Tempo, w jakim przestraszony wrzawą zdymisjonował Scrutona, jest żalosne. Tym bardziej żalosne, że oni w zamian nic nie dostaną. Nie osłabi to ani jednej krytyki ze strony lewicy. Wszystko w polityce zaczyna się od cnoty odwagi i kończy się na braku odwagi.

ton: „barbarzyńcy”, „zagrożenie dla Europy”. To język brutalny, bo oni są brutalni. Jednak ta arogancja im samym zaszkodzi najbardziej. Optymizm wynika z tego, że gołym okiem widać, że w Europie następuje otrzeźwienie i narasta fala sprzeciwu wobec federalizmu. Krajobraz polityczny w Unii zmienia się po wyborach bardzo znacząco.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI

w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m.in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

**posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu**

- dwa badania lekarskie
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Kojnach Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

**Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
12.05 - 23.06 oraz 23.06 - 29.09.2019 r.**



**Klinika Uzdrawiskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II**
ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00



Rafał A. Ziemkiewicz

Wybory do Parlamentu Europejskiego tuż-tuż, zbyt blisko już, by cokolwiek zasadniczo mogło się zmienić

Doświadczenie uczy, że nawet największe „bomby” nie mają mocy rażenia, jeśli odpali się je w kampanii zbyt późno. Można więc kusić się już o podsumowanie.

Co prawda, wybory europejskie mają znaczenie raczej prestiżowe niż realne – ale właśnie takiego prestiżowego sukcesu potrzebowała „totalna opozycja” i o nim marzyła. Nadchodzące wybory miały być, po remisowych wyborach samorządowych, punktem zwrotnym, Schetynowym Stalingradem. Aby osiągnąć symboliczne zwycięstwo nad PiS, PO z góry ustąpiła z możliwych zysków realnych, oddając nieproporcjonalnie wiele „biorących” miejsc na listach koalicjantom. Na mocy tego układu, nawet gdyby Koalicja Europejska wygrała nadchodzące wybory, PO i tak będzie miała mniej europarlamentarzystów niż obecnie.

Dla osiągnięcia symbolicznej przewagi nad PiS sprzeniewierzyła się też PO, a także jej media, obowiązującej w UE doktrynie, na mocy której „polityka europejska” jest ważniejsza od krajowej i europarlamentarzyści reprezentują nie swoje kraje ani krajowe partie, ale ponadnarodowe europarlamentarne frakcje. Porozumienie nie objęło bowiem wcale zgody koalicjantów na przystąpienie do chadecji, do której tradycyjnie należy PO – politycy SLD zapowiadają, że będą europosłami socjaldemokracji, Nowoczesnej – liberałów, a gdyby udało się wziąć mandat przedstawicielowi Zielonych, to koalicja jednolita tylko jako krajowy „antypis” w Brukseli podzieli się pomiędzy cztery frakcje. Lista Koalicji Europejskiej jest więc politycznym kuriozum, jakiego jeszcze w Unii nie widziano.

Aby sukces był łatwiejszy, Grzegorz Schetyna wyznaczył cel dość skromny: Koalicja Europejska musi zdobyć „przynajmniej o jeden mandat więcej” od PiS. Uczciwie mówiąc, sukcesem projektu Koalicja Europejska byłoby dopiero zdobycie ponad 28 mandatów (bo tyle



PO między przegraną a klęską

wzięły tworzące dziś koalicję partie w poprzednich wyborach) i zdobycie ponad 50 proc. głosów (bo tyle, sumując arytmetycznie, wówczas miały). Nawet jednak zadanie wyznaczone Koalicji przez Schetynę wydaje się dziś zupełnie nieosiągalne.

Trudno nie zapytać: Co poszło nie tak? Trudno nie odpowiedzieć krótko: wszystko.

Zaczynając od spraw podstawowych: idea „połączyć wszystkie siły wrogie PiS” (w języku propagandy opozycji: „demokratyczne”) wynika z popularnej w antypisie fantasmagorii, jakoby zdecy-

dowana większość społeczeństwa była wroga PiS, a jego władza opierała się na wąskiej grupie zwolenników, instytucjonalnej przemocy i propagandzie mediów państwowych. Jest to jeden z objawów „urojenia wyższościowego” postmagdalenkowych elit III RP, podobnie jak np. przekonanie, iż jedynym motywem działania Jarosława Kaczyńskiego są jego kompleksy, nienawiść do ludzi i chęć szkodenia wszystkim na wszystkie sposoby, plus ewentualnie „żądza władzy nad wszystkim”, które łagodzi „bóle duszne” poobijanej michnikowszczyzny, ale czyni ją organicznie niezdolną do

politycznej analizy i zrozumienia postępowania przeciwnika oraz przyczyn jego zwycięstwa.

FAŁSZYWA NADZIEJA

Sondaż, który opublikowała niedawno „Polityka”, fantasmagorię tę rozwiewa bezlitośnie: w Polsce nie ma wcale nastrojów rewolucyjnych, większość jeśli nawet nie popiera PiS, to nie widzi w jego rządach niczego horrendalnego, żadnych „milionów na ulicach”, na które od trzech lat czeka opozycja, spodziewać się nie ma co. Takie badanie należało przeprowadzić rok temu, zamiast wierzyć, że wystarczy tylko połączyć różne antypisowskie szyldy, a reszta przyjdzie sama.

Z fałszywej wiary, że wszyscy, którzy nie chcą głosować na PiS, zagłosują na zjednoczony antypis, płynęła fałszywa nadzieja, że po wchłonięciu Nowoczesnej PO nie będzie już miała żadnej konkurencji. Tymczasem jak przysłowiowy diabeł z pudełka wyskoczyła na jej miejsce partia Roberta Biedronia. Ciekawe, czy do strategów opozycji dotarło, że nawet gdyby i ona dołączyła do „zjednoczenia” – to pojawi się coś nowego i te kilka procent elektoratu znowu „ucieknie”. Po prostu pewna część elektoratu niepisowskiego nie chce, „żeby znowu było jak było”. Partia Schetyny swego czasu zaniedbała elementarną higienę demokracji, nie dokonała po utracie władzy bodaj symbolicznego rozliczenia i uderzenia się w piersi – i teraz za to płaci. Płaci więcej, niż się wydaje, bo samym swym istnieniem partia Biedronia zmusiła Koalicję Europejską do walki z nim o elektorat lewicowy, co z góry odsunęło ją od centrum, które o wyniku wyborów zadecyduje.

ŚLEPE ZAUŁKI I PUŁAPKI

Last but not least, oparcie całych wyborów na osi PiS–antypis, a więc na polityce krajowej, musiało sprawić, że w wyborach nominalnie europejskich polityka europejska zeszła na plan dalszy. A to ona akurat byłaby dla opozycji wygodniejszym polem starcia. W polityce krajowej bowiem PiS wygrywa bez trudu swoją „wrażliwością socjalną”, której ekspozowanie wpędza PO w ślepe zaułki. Jeśli zwraca się ku swojemu naturalnemu, raczej liberalnemu elektoratowi, z krytyką „rozdawnictwa”, to wzmacnia narrację PiS, jeśli próbuje go w obietnicach przelicytować – to odbiera wiarygodność swemu dyskursowi libe-

ralnemu, a wobec wspomnianego braku rozliczenia z ośmioleciem swych rządów i tak jest skutecznie gaszona argumentem: „Mogliście to wszystko zrobić, kiedy sami rządziście. I co?”.

W przekonaniu opozycji głównym polem walki z PiS nie miały być jednak w tych wyborach sprawy bytowe, ale zniszczenie jego wizerunku jako partii uczciwej. Prawdziwą kolubryną, gruchoczącą mury PiS-owskiej fortecy, miała być afera Srebrnej. Ktokolwiek stał za Geraldem Birgfellnerem (choć nie można też wykluczyć, że działał on sam, w nadziei zwykłego wyłudzenia), usiłował schwytać Kaczyńskiego w pułapkę, która mogła być bardzo skuteczna.

Mało kto zadał kluczowe dla tej prawie już zapomnianej sprawy pytanie: Co chciał nagrać Birgfellner, udając się z ukrytym magnetonem na spotkanie z prezesem PiS? Logika podpowiada, że coś w stylu: „No cóż, kuzynie, zaniedbałeś formalności i wypłacenie ci pieniędzy za pracę, którą samorzutnie wykonałeś, oznacza złamanie prawa – ale jakoś je obejdziemy”. Oznaczałoby to nagłówki: „Kaczyński wypłaca na lewo pieniądze rodzinie” i, co ważniejsze, byłoby deliktem umożliwiającym prezydentowi Warszawy, jako organowi nadzorującemu fundację Lecha Kaczyńskiego, wprowadzenie na Srebrną zarządu komisarycznego. Nawet gdyby niczego on tam nie znalazł, sama wiedza o wspomaganiu przez PiS wspierających go mediów dałaby asumpt do ogłuszającej kampanii medialnej – mówiąc krótko, na pół roku przed wyborami PiS straciłby istotną część swego zaplecza finansowego, a PO zyskałaby magazyn „haków”.

Trudno powiedzieć, czy odpowiedź Kaczyńskiego (niech Birgfellner założy sprawę w sądzie, ja sam zeznam, że pieniądze mu się należą, i wyrok będzie formalną podstawą do ich wypłacenia) wynikała z przejrzenia tej gry czy ze zwykłej uczciwości, która w polityce i biznesie uchodzi za głupotę, więc jako taka mogła nie zostać wzięta w planach opozycji pod uwagę. W każdym razie pułapka się nie zatrzasnęła, a próby zrobienia z Kaczyńskiego „prezesa dewelopera” i chytrego bogacza na podstawie takich „dowodów” jak potwierdzenie, że Birgfellner podjął z własnego konta pieniądze, jakoby dla Kaczyńskiego, były zbyt groteskowe, by cokolwiek dać.

Skoro zaś nie wypaliła główna kolubryna, to niewiele dały i pomniejsze

armaty – sprawa KNF i stanowiące jej swoisty „follow up” uderzenie w NBP, gdzie spośród wielu możliwych celów nie przypadkiem wybrano dwie blondynki, z pełną świadomością wszystkich oblesno-seksistowskich możliwości, jakie da to opozycyjnemu aparatowi propagandowemu. Podobnie jak w kwestii obietnic socjalnych, nadzieje opozycji udaremnił fakt, że z oskarżeniami wobec PiS występowały osoby takie jak Leszek Czarnecki czy Roman Giertych, czyli – delikatnie mówiąc – niebudzące w wyborcach zaufania.

Drugim obok Birgfellnera sprawcą wielkiego zawodu okazał się Sławomir Broniarz. Wydawało się, że plan użycia strajku nauczycieli do zdestabilizowania sytuacji ma wszelkie plany powodzenia. Środowisko było bardzo sfrustrowane, zdeterminowane, a już do furii doprowadziła je zapowiedź „trzynastych emerytur” i prosta propagandowa manipulacja, sugerująca, że rząd woli dawać pieniądze na krowy i świnię, choć mógłby dać je nauczycielom. Nadzieja opozycji, że strajk nauczycieli zachęci inne grupy zawodowe do próby wyrwania podwyżek, dopóty, dopóki władza jest ustepliwa przed wyborami, też wydawała się niebezpieczna. A jednak... Strajkujący postawili za duże, ewidentnie „zaporowe” żądania i zdyskredytowali się sami, uderzając w uczniów – ostatecznie akcja nie tylko nie zapoczątkowała wymarzonych szerokich protestów, uderzyła rykoszetem w nauczycieli i wierne opozycji ZNP, lecz także, przez swój „klasowy” charakter, przyczyniła się do mobilizacji prowincjonalnego i wiejskiego elektoratu – co było ostatnią rzeczą, na której opozycji powinno zależeć.

Miało to wyglądać mniej więcej tak: zdyskredytowany PiS, afera za aferą, chaos, strajki, sankcje i pomruki Unii Europejskiej (zapowiadane potępienie przez TSUE tuż przed wyborami Polski i Węgier za odmowę przyjęcia imigrantów wydaje się dla PiS dodatkowym bonusem) – i wtedy pojawia się z przesłaniem nadziei Donald Tusk...

Wszystko poszło nie tak i na ostatniej prostej opozycji nie pozostało nic poza powtarzaniem od dawna nieskutecznych frazesów o „gwałceniu konstytucji”, „odbieraniu wolności” i „średniowieczu. Nie walczy już o zwycięstwo. Jedynie, o co jeszcze może się starać, to żeby bliskie już wybory nie okazały się klęską, tylko zwyczajną przegraną.

Preludium do jesieni



Kamila Baranowska

W kampanii europejskiej PiS postawił na wielką mobilizację prowincji i grę tematami spełniającymi oczekiwania większości wyborców

Kampania do Parlamentu Europejskiego wychodzi na ostatnią prostopadłą. Wybory już 26 maja. Dla PiS to jedna z trudniejszych kampanii. Stawka jest wysoka. W partii rządzącej istnieje poważna obawa, że przegrana – choćby o włos – z opozycją może stać się punktem zwrotnym i wpłynąć na jesienne wybory do parlamentu krajowego. Dzisiaj sondaże są dla Zjednoczonej Prawicy raczej optymistyczne, pokazują, że ma stabilną przewagę, jednak kampania wyborcza rządzi się swoimi prawami i czasem jedno wydarzenie może całkiem odmienić los wyborów. Politycy Zjednoczonej Prawicy robią dziś wszystko, aby wybory europejskie nie stały się takim punktem zwrotnym.

WIELKA MOBILIZACJA

Najważniejsza sprawa dla obozu rządzącego to wielka mobilizacja wyborców. Wiadomo, że o wyniku wyborów do Parlamentu Europejskiego przesądzi frekwencja. Innymi słowy – wygra ten, kto nakłoni większą liczbę swoich wyborców do głosowania 26 maja. PiS od początku wiedział, że nie będzie łatwo, bo jeśli chodzi o wybory europejskie, elektorat Platformy jest dużo bardziej zdyscyplinowany niż wyborcy PiS. W eurowyborach dużo częściej głosują mieszkańcy dużych miast niż mniejszych miasteczek i wsi. O ile więc klęskę w dużych miastach w wyborach samorządowych Zjednoczona Prawica zrekompensowała sobie dobrymi wynikami w sejmikach i jeszcze lepszymi w gminach i powiatach, o tyle w najbliższych wyborach o taką rekompensatę może być trudno. I na ten problem miała w pierwszej kolejności odpowiedzieć kampania PiS.

Temu ma służyć mocna kampania w terenie. Zaangażowani w nią są nie tylko sami kandydaci, lecz także premier Mateusz Morawiecki i prezes PiS Jarosław Kaczyński. Cotygodniowe konwencje regionalne z udziałem najważniej-

szych rządowych polityków, okazjonalne przecinanie wstęg i inne lokalne uroczystości to dobre okazje do rozmów o tym, jak ważny jest udział w wyborach.

– Te wybory to szansa na to, że będzie inaczej nie tylko w Polsce, ale całej Unii Europejskiej. Apeluję o to, aby wziąć w nich udział – mówił Jarosław Kaczyński podczas ostatniej konwencji w Lublinie, dodając, że wygrana opozycji będzie zwiastować „niedobre rzeczy w naszym kraju”.

Apele o udział w wyborach padają za każdym razem. – Proszę i was tutaj obecnych, ale także poprzez was, tych, których znacie, wasze rodziny, sąsiadów, osoby, z którymi pracujecie, koleżanki, kolegów, znajomych, żeby namawiać do udziału w wyborach. To są bardzo ważne wybory i nie ma co dawać nadziei tym, którzy chcą Polskę cofnąć, którzy chcą, żeby było, jak było – tak prezes PiS apelował podczas spotkania wyborczego w Białej Podlaskiej.

Podział ról podczas tego typu wystąpień jest dobrze rozpisany. Kaczyński apeluje do zdeklarowanych wyborców PiS, odwołując się do emocji i tłumacząc, jak ważne z perspektywy jesiennych wyborów są wybory majowe, i przedstawia poparcie dla konkretnych kandydatów z okręgu. Premier

Morawiecki z kolei mówi o tym, co udało się rządowi zrobić i jakie ma dalsze plany wobec danego regionu, a także odpowiada na ataki opozycji.

Tak było choćby ostatnio w Pułtusku. – Nasi poprzednicy zmarnowali tak około dwóch budżetów, patrząc na lata 2014 i 2015, to było tak ok. 290 mld zł – jak policzymy lukę w VAT, lukę w CIT i OFE, pierwszą transzę, którą oni skonsumowali, bo nie potrafili zarządzać finansami całego państwa – wytykał Platformie Obywatelskiej szef rządu. Odniósł się też do zapowiedzi Grzegorza Schetyny, który obiecywał, że Koalicja Obywatelska wynegocjuje dla Polski o 100 mld więcej z unijnego budżetu. – Nasi konkurenci polityczni powiedzieli coś o 100 mld. Więc najpierw powiem, że ich główny ekonomista dwa lata temu mówił, że w 2018 r. zabraknie w budżecie 100 mld zł, i pomylił się o 100 mld. Takich mają ekonomistów – kpił.

CISZEJ WEWNĄTRZ PARTII

– Ten objazd prezesa i premiera po kraju rzeczywiście sprawia, że jest duża mobilizacja, nie tylko wśród wyborców, lecz także wśród działaczy, którzy zwykle niespecjalnie mieli ochotę angażować się

w wybory europejskie. Teraz udało nam się sklecić wybory majowe z wyborami parlamentarnymi i działacze są bardzo zmobilizowani, bo już wiedzą, że to walka o wysoką stawkę – opowiada nam polityk związany z PiS.

Inny z naszych rozmówców przypomina, że kontakt bezpośredni zawsze był mocną stroną PiS. – Pierwszy raz PiS wyprzedził Platformę w sondażach jesienią 2013 r. po tym, jak objechaliśmy wszystkie powiaty. To był ten realny i namacalny efekt. Potem była kampania 2015, która też w dużej mierze opierała się na spotkaniach z Polakami w terenie. Teraz kanałów komunikacji z obywatelami mamy więcej, ale ten bezpośredni kontakt jest wciąż bardzo ważny – przekonuje.

Da się też zauważyć, że kampania wyborcza wymusiła na politykach PiS wyciszenie wewnętrznych sporów. Mateusz Morawiecki i Beata Szydło razem jeżdżą po okręgach i przekonują wyborców – chwilowo zakopali topór wojenny. Stronnicy Morawieckiego przekonują też, że premier bardzo dba o to, by wspierać równo wszystkich kandydatów startujących z biorących miejsc tak, by nikt nie mógł mu zarzucić, że ktoś dostał

REKLAMA

**WŁĄCZAM
JEDYNKE
I ZACZYNAM DZIEŃ**

... od Porannej Gimnastyki.

JEDYNKA TO JEST RADIO

Jedynka
POLSKIE RADIO

■ jego wsparcie, a ktoś nie ze względu na jakieś zaszłości. Kampania wyborcza to czas, kiedy nawet do najbardziej skłóconych i rywalizujących polityków zaczyna docierać, że grają do jednej bramki i od wspólnego sukcesu zależy także ich indywidualna przyszłość polityczna. Pytanie, czy wszyscy będą w stanie utrzymać ambicje i emocje na wodzy przez tak długi okres, aż do jesieni.

EURO, JEDZENIE I LGBT

Tematy, które PiS próbował narzucać w tej kampanii wyborczej, były – jak twierdzą politycy PiS, w tym ci związani ze sztabem – precyzyjnie przemyślane. Kwestie takie jak wprowadzenie euro, gorsza jakość jedzenia trafiającego na rynek Europy Środkowej, wreszcie sprawa LGBT i edukacji seksualnej w szkołach i ACTA2 – to tematy, co do których sztab PiS przeprowadził szczegółowe badania. Wychodziło z nich, że 70–80 proc. wyborców ma w tych sprawach takie samo zdanie, jak prezentuje PiS. Dlatego PiS wrzucał te tematy do debaty publicznej, niekiedy tworząc wrażenie, że wyciąga je z kapelusza.

– Nie jest tak, że budziliśmy się rano i postanawialiśmy, że dzisiaj uderzymy wprowadzeniem euro albo jakością jedzenia. To wszystko był efekt badań i rozpisanego planu kampanii, który jest realizowany – wskazuje nam jeden ze sztabowców.

I dodaje, że te wrzutki miały jeszcze jeden cel – pokazanie rozbieżności wewnątrz samej Koalicji Europejskiej. W sprawie wprowadzenia euro co innego mówił PSL, a co innego Nowoczesna i Grzegorz Schetyna, który został zmuszony do zadeklarowania swojego stanowiska w tej sprawie. W sprawie ACTA2 wyciągano, że Platforma co innego mówiła, a inaczej głosiła w Parlamencie Europejskim.

W partii pojawiają się jednak także głosy krytyczne, jeśli chodzi o sposób rozgrywania wymienionych tematów. – Sam dobór tematów był dobry, bo wprowadzenie euro wbrew temu, co sądzą komentatorzy w Warszawie, naprawdę rusza wyborców, działa na wyobraźnię i to jest coś, co może ich zmobilizować do pójścia do wyborów. Nie może być jednak tak, że temat zostaje rzucony na jednej konwencji i koniec. Powinno być tak jak w 2015 r., czyli drażnienie tego tematu, tak aby żył przynajmniej kilka, kilkanaście dni: ogrywanie go spotami, memami, gifami i nakaz, aby każdy polityk, który idzie do mediów, wrzucał ten temat do rozmowy, nawet jeśli ta dotyczy czego

innego. Tego mi brakuje – narzeka jeden z polityków PiS, który z bliska obserwował obie kampanie z 2015 r.

Plan planem, ale duża część kampanii do Parlamentu Europejskiego opierała się na reakcji na wydarzenia bieżące, na które trzeba było reagować, jak choćby strajk nauczycieli, który był dla rządu politycznie niebezpieczny. Z perspektywy czasu rządzący uważają jednak, że udało im się wyjść z tego cało i zminimalizować straty. Przeprowadzenie egzaminów gimnazjalnych i egzaminów ósmoklasistów mimo strajku, a także niedopuszczenie do zablokowania matur sprawiło, że w PiS wszyscy odetchnęli z ulgą. Kropką nad i był okrągły stół w sprawie edukacji, który – jak twierdzą rządowi politycy – spełnił swoje wizerunkowe zadanie. A chodziło o pokazanie, że rządowi zależy na zmianach systemowych w edukacji i nie uchyla się od rozmów na ten temat.

TUSK NIEGRÓŻNY

Chociaż strajk nauczycieli wydawał się największym politycznie wyzwaniem, z którym musiał się zmierzyć obóz rządzący w czasie kampanii, to z naszych rozmów z politykami PiS wynika, że dużo bardziej obawiano się zupełnie czego innego. Mianowicie przypadającej na czas kampanii 15. rocznicy wejścia do Unii Europejskiej, w tym także zapowiadanego na 3 maja wielkiego marszu z udziałem Donalda Tuska, który ostatecznie się nie odbył, a aktywność Tuska sprowadziła się do wystąpienia na Uniwersytecie Warszawskim.

Odpowiedzią rządu na te obawy był zorganizowany 1 maja na Zamku Królewskim szczyt „Together for Europe”, w którym udział wzięło 11 przedstawicieli krajów naszego regionu, w tym ośmiu premierów. Premier Morawiecki od wielu miesięcy zabiegał o to, by zebrać takie grono właśnie 1 maja w Warszawie. Chodziło o to, by zawczasu przeciwdziałać ewentualnym pomysłom opozycji, by w ten dzień grać kartą polexitu. Okazało się jednak, że obawy PiS związane z rocznicą były niepotrzebne, jako że opozycja niespecjalnie wykorzystwała akurat tę okazję do uderzenia w rząd.

Teraz politycy PiS zastanawiają się nad tym, jaki wpływ na kampanię będą miały sprawy ostatnich dni – agresywne antyklerykalne wystąpienie Leszka Jażdżewskiego, który przemawiał 3 maja na Uniwersytecie Warszawskim tuż przed Donaldem Tuskiem, i sprawa zatrzymania

działaczki Elżbiety Podleśnej, która dorysowała Matce Boskiej Częstochowskiej tęcza aureolę i takie obrazki rozklejała na śmietnikach i toaletach w Płocku. I nie mają na to jednoznacznej odpowiedzi.

W 2015 r. z badań wynikało, że PiS szkodzią wszelkie tematy światopoglądowe. Andrzej Duda jak ognia unikał deklaracji np. w sprawie finansowania in vitro, kiedy sztab Bronisława Komorowskiego usiłował go wciągnąć w tę dyskusję. Dzisiaj jednak, patrząc na reakcję samej Platformy i sympatyków szeroko rozumianej opozycji, którzy odcinają się od Jażdżewskiego i jego słów, politycy PiS są optymistyczni. Uważają, że antyklerykalne tyrady bardziej zaszkodzą Schetynie, pozycjonując PiS w roli obrońcy tradycyjnych wartości, które nadal pozostają bliskie dużej części Polaków. Żywa jest też w PiS teoria spiskowa mówiąca, że wystąpienie Jażdżewskiego było skonsultowane z Tuskiem i jego celem było uderzenie w Schetynę, by popsuć mu nieco szyki. Bo zbyt mocny Schetyna i zbyt dobry wynik koalicji w wyborach mogą pokrzyżować Tusкови plany powrotu do polskiej polityki.

Kiedy w rozmowach z ważnymi politykami obozu rządzącego pytamy o to, jak widzą obecną kampanię w porównaniu ze zwycięskimi kampaniami z roku 2015, słyszymy, że ta kampania różni się zasadniczo. – Są kampanie, które są politycznym przełomem, i czuć, że wieje wiatr zmian. Tak było w 2005 r. po rządach SLD, tak było w 2007 r., gdy do lokali wyborczych ustawiały się kolejki, i tak było w 2015 r., kiedy panowało ogólne zmęczenie Platformą. Wtedy czuło się ten kampanijny kocioł – uważa jeden z naszych rozmówców. Obecna kampania, jego zdaniem, bardziej przypomina tę z roku 2011. – Wtedy nawet jeśli stanęlibyśmy na głowie, nie było szansy, żeby wskoczyć na falę, która niosła Platformę. I teraz też wydaje się, że nie ma w społeczeństwie takich nastrojów, które wskazywałyby na jakiś polityczny przełom. Nie czuć takiej atmosfery. Chociaż oczywiście do jesieni wszystko jeszcze może się zmienić – dodaje.

Rzeczywiście nastroje społeczne, jak wynika z badań choćby CBOS, są ogólnie dobre. Co też z jednej strony polityków PiS cieszy, a z drugiej martwi. Bo jak są dobre nastroje, to ludzie rzadziej się politycznie angażują. I trudniej jest ich zmobilizować do pójścia do wyborów. A to już – z punktu widzenia PiS – niedobrze.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY



Rola tresera



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER



Łukasz Warzecha

Tusk najlepiej sprawdza się dziś w roli tego, który trzaśnie biczem i zadrasnie a to Kaczyńskiego, a to Schetynę. Sam na arenę nie wchodzi

Donald Tusk ostentacyjnie pomijający stojącego dokładnie na wprost niego Grzegorza Schetynę po swoim wykładzie na Uniwersytecie Warszawskim – ta scena przewinęła się przez wiele serwisów informacyjnych. Zabawa w egzegezys różnych działań byłego premiera zaczyna przypominać zachodnią kremlinologię z lat 80., ale ten epizod każe postawić całkiem poważnie pytanie o racjonalność polityczną Tuska i jego dalsze plany.

Zatrzymajmy się na moment przy tej scenie. Tuska niemal wszyscy uważają za polityka na wskroś racjonalnego w sferze technologii politycznej. Co zatem chciał tym zachowaniem osiągnąć? Jak można by je wytłumaczyć z prakseologicznego punktu widzenia?

Przede wszystkim było to zagra- nie czytelne jedynie dla koneserów.

Owszem, zostało skwapliwie wykorzystane przez prorządowe media, więc w tym sensie Tusk strzelił do własnej bramki, wzmacniając narrację o niezgodzie w obozie szeroko pojętej opozycji i o tym, że jej patron, oczekiwany niczym zbawca, nie ma sympatii do lidera Platformy. Tylko czy to cokolwiek zmienia dla typowego odbiorcy „Wiadomości”? Nie. Zostanie potraktowane w kategoriach humoreski.

Czy miał to być zatem sygnał braku zaufania i sympatii do Schetyny, ale wysłany do swoich, do uczestników wewnętrznej rozgrywki? Wszyscy przecież tam wiedzą, jakie są relacje między przewodniczącym PO a przewodniczącym Rady Europejskiej. Nie są do tego potrzebne żadne tego typu demonstracje. W oczach widzów bardziej oddalonych od centrum wydarzeń mogą zaś tworzyć obraz chaosu, nieporozumień, gry ambicji zamiast jedności wobec PiS-owskiego walca.

Czy chodziło o to, żeby skonfundować samego Schetynę albo wręcz publicznie go upokorzyć? Może. Ale po co? Dlaczego wytrawny gracz, jakim jest Tusk, miałby pracować tak wytrwale na rzecz wywołania w swoim przymusowym partnerze poczucia, że przy pierwszej okazji trzeba Tusкови wbić nóż w plecy? Czy Schetyna mówiłby kilka dni później przed komi-

sją do spraw VAT to samo o roli Tuska, gdyby nie scena na UW?

PUSZCZAJĄCE EMOCJE?

Prawdę mówiąc, ten drobny gest daje się w pełni wytłumaczyć jedynie w kategoriach czystej emocji. Ot, walka dwóch samców, konkurujących o dominację w stadzie. Jeden fetowany, drugi w tłumie, można go więc bez problemu kopnąć, a on nie ma się jak odwinąć – akurat w tym momencie. Bo potem przecież okazji nie zabraknie. Może Tusk był zwyczajnie zirytowany, widząc – bo przecież musiał to rozumieć od razu – że jego pieczołowicie prze-myślany, erudycyjny wykład zostanie przyćmiony aroganckim wystąpieniem Leszka Jażdżewskiego? A w takim razie jego złość skupiła się na najbardziej znienawidzonej osobie, rywalu i zarazem sprzymierzeńcu z musu.

Gdyby tak było, znaczyłoby to, że Tusk częściowo traci zdolność zimnego rozumowania. Że w sytuacji dla siebie niepewnej, a może nawet niekomfortowej jego zimna kalkulacja zmienia się w czysto ludzkie emocje.

Zgoda, to tylko epizod i anegdota, jakkolwiek znacząca. Każe jednak postawić pytanie, czego Tusk właściwie chce, na co liczy i jakie wyznacza sobie warunki brzegowe dla poszczególnych wariantów dzia-

łania. A tych ma wiele – na tyle dużo, że wpadł w pułapkę obfitości. Nie wiem, czy Donald Tusk jest wielbicielem Aleksandra Fredry, ale może warto przypomnieć mu wiersz o osiołku, któremu w żłoby dano.

**Osiołkowi w żłoby dano
W jeden owies, w drugi siano.
Uchem strzyże, głową kręci,
I to pachnie, i to nęci;
Od któregoż teraz zacznie,
Aby sobie podjeść smacznie?
Trudny wybór, trudna zgoda:
Chwyci siano, owsa szkoda,
Chwyci owies, żal mu siana.
I tak stoi aż do rana,
A od rana do wieczora;
Aż nareszcie przyszła pora,
Że osiłka pośród jada
Z głodu padła.**

Tusk jest jednym z niewielu polskich polityków, którzy mogą wybierać między wieloma drogami, z których na pozór wszystkie są atrakcyjne. Tusk kończy swoją kadencję w Radzie Europejskiej pod koniec tego roku – idealnie, żeby wystartować w wyborach prezydenckich w roku 2020. Kusi go bez wątpienia wariant kontynuacji. Po pięciu latach na czele organu zarządzającego Unią Europejską startuje z dobrej pozycji do niemal dowolnej wygodnej roli. Czy pierwszoplanowej, trudno powiedzieć. Był jeden przypadek – Javier Solana – zmiany jednego wysokiego stołka, sekretarza generalnego NATO, na drugi – wysokiego przedstawiciela UE do spraw bezpieczeństwa i polityki zagranicznej (stanowisko istniejące przed wejściem w życie traktatu lizbońskiego; dziś podobne zajmuje Federica Mogherini). Czy jednak byłoby to możliwe w przypadku Polaka, nawet będącego w dobrych relacjach z najsilniejszym państwem UE, czyli Niemcami, ale też obciążonego jednak brexitem – nie wiadomo. Nawet gdyby miało to być stanowisko z drugiego rzędu, wciąż byłoby atrakcyjne dla Tuska jako człowieka, choć może niekoniecznie dla Tuska jako ambitnego polityka.

Trzeba jednak pamiętać, że w Tusku zawsze walczyły ze sobą te dwie cechy: jego ambicja i jego wygodnictwo. Ta druga strona jego natury została z pewnością mocno dopieszczona w ciągu ostatnich ponad czterech lat. Tusk jest już prywatnie w takiej sytuacji, że nic nie musi – nie musi się też specjalnie starać. Może spędzić resztę życia na dawaniu wykładów, kierowaniu jakąś mniej istotną instytucją czy doradzaniu tej czy innej wielkiej korporacji i jeżdżeniu między

Sopotem, Brukselą, Toskanią czy gdzie tam jeszcze mu się spodoba.

Natomiast drogi prowadzące do powrotu Tuska do polskiej polityki są najeżone niebezpieczeństwami. Największym z nich jest ewentualna porażka. Jeden z niewielu momentów widocznej nieracjonalności i emocjonalności Tuska przypadł na wieczór wyborczy w 2005 r., gdy lider PO przegrał wybory prezydenckie z Lechem Kaczyńskim. O tej traumie wiedzą wszyscy, którzy go znają. Tusk nie zamierza tego powtarzać. Ma za sobą niemal dwie kadencje na stanowisku premiera, wielokrotnie pogńębienie wyborcze Jarosława Kaczyńskiego – bo przecież przegrana w 2015 roku nie poszła już na jego konto – i prestiżową funkcję w UE. Pasma sukcesów. Komentatorzy powtarzają – nie bez racji – że Tusk wróci, jeśli będzie mieć pewność wygranej. Jednak przecież pewności wygranej nie ma się nigdy.

Na dodatek Tusk musi się czuć trochę jak zawodnik, w którego swoje nadzieje i emocje zainwestowali wszyscy kibice, a to bardzo stresująca sytuacja. Jego sukces okazuje się jego przekleństwem. Opozycja może się podgryzać, kłócić, walki buldogów pod dywanem mogą się toczyć w najlepsze, ale Tusk dla większości pozostaje autorytetem najwyższym.

Jeszcze bardziej magicznie jest traktowany przez twardych kibiców opozycji. Oczekuje się od niego, że gdy już postanowi powrócić, PiS przewróci się od samego jego wilczego spojrzenia. Inna sprawa, że Tusku dał z pewnością do myślenia niedawny sondaż dla „Rzeczpospolitej”, z którego wynikało, że więcej osób (44 proc.) nie chce jego powrotu do kraju, niż go sobie życzy (34 proc.). Ta jedna trzecia to wciąż duży elektorat, zapewne w większości wpatrzony w byłego premiera jak w obraz. To jednak zbyt mało, żeby wygrać wybory prezydenckie.

PREZYDENTURA?

Tusk nie jest dzisiaj w stanie zbudować własnej pełnowymiarowej formacji, działając z daleka. Byłoby to zresztą całkowicie irracjonalne, wzięwszy pod uwagę, że Schetyna odniósł jednak relatywny sukces jako jednoczyciel sporej części opozycji. Dlatego prawdopodobnym rozwiązaniem wydaje się udział Tuska w jesiennych wyborach na pół gwizdka. Krąży w ostatnim czasie wariant stworzenia przez niego pod egidą Ruchu 4 Czerw-

ca listy do Senatu. Byłoby to ciekawe ominięcie Koalicji Europejskiej, lecz przecież nie bezproblemowe. W końcu KE musiałaby się posunąć – nie sposób sobie wyobrazić konfliktu pomiędzy kandydatami KE a Tuska do Senatu, byłoby to niszczące – a po wyborach, gdyby władza w Sejmie pozostała przy PiS, czy to samodzielnie czy w koalicji, mogłoby się okazać, że to Tusk, a nie Schetyna trzyma klucz do sabotowania rządów partii Kaczyńskiego. Dlatego Schetyna, traktowany publicznie z butą, miałby się z tym godzić?

Niektórzy – także w PO – mogą mieć nadzieję, że w razie porażki Schetyny w wyborach parlamentarnych (co dziś wydaje się bardzo możliwe) Tusk pojawi się na scenie na zasadzie deus ex machina i wyprowadzi opozycję na prostą. Czy to jednak rola, o jakiej Tusk marzy? To oznaczałoby mnóstwo pracy, użerania się w partyjnych wojenkach, a w razie wygranej – przejścia kraju ze wszystkimi obciążeniami finansowymi, stworzonymi przez PiS. Tusk musi świetnie wiedzieć, że w dłuższym okresie poziom sztywnych wydatków jest nie do utrzymania, a zarazem ich obcięcie oznaczałoby natychmiastowy zjazd sondażowy dla dowolnej partii rządzącej.

Pod względem temperamentu i pozycji Tusku faktycznie najbardziej mogłaby odpowiadać rola prezydenta, ale Andrzej Duda wydaje się mimo wszystko w miarę dobrze okopanym przeciwnikiem, a Tusk z całą pewnością nie ryzykowałby powtórzenia porażki sprzed 14 lat, tym razem z byłym ministrem Lecha Kaczyńskiego.

Zatem – co dalej? Można odnieść wrażenie, że Tusk spełnia się idealnie w roli tresera, który od czasu do czasu trzaśnie biczem. A to zdraśnię Schetynę, a to Kaczyńskiego, pobudzi publikę do klaskania, a nawet do skoków i śpiewów, ale to wszystko. Sam nie wdrapie się na batutę, żeby wykonywać akrobacje, ani nie wsiądzie na motocykl, żeby pojeździć w becze strachu. W każdym razie – jeszcze nie teraz.

Tusk nadal jest względnie młody. Wciąż może poczekać, ale nie bez końca. W 2025 r., gdy Andrzej Duda skończy swoją ewentualną drugą kadencję, Tusk będzie miał 68 lat. Powoli nadchodzi moment, kiedy były premier będzie musiał wybrać drogę, na której już pozostanie. Chyba że skończy jak bohater wiersza Fredry.



Wojciech Wybranowski

Włodzimierz Cimoszewicz, kierując samochodem bez ważnego przeglądu technicznego, potrącił przemieszczającą się po pasach 70-latkę. Jego zachowanie po wypadku budzi wiele wątpliwości

Włodzimierz Cimoszewicz, były działacz PZPR i premier rządu SLD w latach 1996–1997, obecnie kandydujący w Warszawie z listy Koalicji Europejskiej do Parlamentu Europejskiego, w ubiegłą sobotę prowadził volkswagena passata, jadąc przez Hajnówkę. Na przejściu dla pieszych uderzył w 70-letnią rowerzystkę. Kobieta została ranna, ma m.in. złamaną kość prawego podudzia.

To wszystko, co na pewno można napisać dziś o wypadku z udziałem byłego premiera. Bo szybko okazało się, że wersja lidera opozycyjnej listy wyborczej w stolicy różni się od podawanej przez poszkodowaną i ustaleń śledczych. Postępowanie w sprawie prowadzi Prokuratura Okręgowa w Białymstoku.

WERSJA POLITYKA

Tuż po ujawnieniu przez media informacji o wypadku Włodzimierz Cimoszewicz wydał oświadczenie. Wyraził ubolewanie. Tłumaczył jednocześnie, że na jego samopoczucie jako kierowcy mogła wpłynąć informacja, którą otrzymał dwa dni wcześniej – o wykryciu u niego choroby nowotworowej. „Na szczęście dzięki mojej niewielkiej prędkości, około 30 km/godz., poszkodowana pani odniosła niegroźne obrażenia. [...] Pewnym usprawiedliwieniem był fakt jazdy pod słońce” – napisał były premier.

Dlaczego Cimoszewicz nie zdążył zająć? Nie wiadomo. Część mediów, m.in. RMF i „Gazeta Wyborcza”, opierając się na słowach samego polityka, spekuluje, że kobieta miała wjechać rowerem na przejście dla pieszych. Ale dotychczasowe ustalenia policji na razie tego nie potwierdzają.

Były premier twierdzi też, że udzielił kobiecie pierwszej pomocy, a następnie trafiła ona do szpitala. „Super Express” ujawnił, że to znajomy Cimoszewicza

zabrał poszkodowaną do szpitala. A były premier odjechał z miejsca wypadku.

O zdarzeniu nie zawiadomiono też policji, zrobili to dopiero lekarze ze szpitala, do którego trafiła kobieta. – Rzeczywiście, policja nie była wzywana na miejsce wypadku tuż po jego zdarzeniu – potwierdza prokurator Łukasz Janyst, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Białymstoku.

To dlatego oględzin pojazdu i badania na zawartość alkoholu w organizmie

Żeby go zarejestrować, musiałem poddać go badaniom technicznym. Nie sprawdziłem tej pieczętki, byłem przekonany, że powinienem się tam zjawić w lipcu. Okazało się, że ten termin już minął – przekonywał Włodzimierz Cimoszewicz w programie „Polityka na ostro” w Polsat News.

Polityk i poszkodowana w wypadku kobieta zostali przesłuchani przez śledczych w charakterze świadków. Według nieoficjalnych informacji starszka miała



Cimoszewicza dokonano dopiero kilka godzin po wypadku. Badanie wskazało, że był trzeźwy.

ZAPOMNIANE BADANIA

Wyszło też na jaw, że Cimoszewicz poruszał się pojazdem, który nie miał ważnych badań technicznych. – Kupiłem ten samochód w lipcu ubiegłego roku.

zaprzeczyć, jakoby wjechała na pasy rowerem. Miała informować śledczych, że wbrew temu, co mówił Cimoszewicz, weszła na przejście, prowadząc rower. Kobieta ponoć nie chciała jednocześnie wskazywać na winę polityka.

– Prowadzone są czynności zmierzające do ustalenia przebiegu zdarzenia. W ich trakcie zbadane przez biegłego

zostaną oba pojazdy, co pomoże w wyjaśnieniu wszystkich okoliczności. W całej sprawie pojawia się problem oddalenia się z miejsca wypadku i niepoinformowania o nim funkcjonariuszy, aczkolwiek na tym etapie mogą też powiedzieć, że ranna w nim kobieta sama prosiła, by pogotowia nie wzywać – mówi nam nasze źródło w organach ścigania.

Według „Super Expressu” śledczy nie wykluczają postawienia byłemu premierowi zarzutu oddalenia się z miejsca



FOT. KRZYSZTOF ŻULIŃSKI/PERUNA

wypadku. – Premier udzielił rowerzystce pomocy, zachował się jak trzeba w takiej sytuacji. To może być przykład, jak się zachować, kiedy coś takiego się wydarzy – bronił go w rozmowie z TVP Włodzimierz Czarzasty, lider SLD.

Tygodnikowi „Do Rzeczy” nie udało się porozmawiać z byłym premierem. Dziennikarzom, którzy uzyskali jego

komentarz, chętniej opowiadał o swojej chorobie niż wypadku samochodowym. Zadeklarował, że z wyścigu wyborczego nie zamierza zrezygnować.

Cimoszewicz może liczyć na wsparcie swoich niedawnych kolegów z SLD. Wśród polityków Koalicji Europejskiej też nie słychać głosów, że powinien zrezygnować ze startu w wyborach do PE, choć przyznają nieoficjalnie, iż całe zdarzenie może mu w kampanii zaszkodzić.

– Za mało wiadomo dziś o tej sprawie, a informacje prasowe, które do nas docierają, nie wskazują, by zachował się on niewłaściwie. Udzielił poszkodowanej kobiecie pełnego wsparcia. Nagonka, którą urządza na niego część mediów, zwłaszcza prawicowych, to już element kampanii wyborczej – mówi nam jeden z działaczy warszawskiej Platformy Obywatelskiej.

Jego kolega z koalicyjnej Nowoczesnej w nieoficjalnej rozmowie mówi już znacznie ostrożniej i przyznaje, że prokuratorskie śledztwo może Cimoszewiczowi zaszkodzić w osiągnięciu dobrego wyniku wyborczego. – Ale jego wycofanie się w takim momencie, na dwa tygodnie przed wyborami, rozbiłoby całą kampanię. Powinien startować, a po wyborach być do dyspozycji prokuratury i ponieść, jeśli będzie taka konieczność, ewentualne konsekwencje – mówi polityk.

DEZUBEKIZACJA I LEŚNICZÓWKA

Wypadek w Hajnówce to niejedyna kontrowersyjna sytuacja z udziałem byłego premiera. Niedawno uczestnicząc w debacie, obok Władysława Bartoszewskiego z PSL oraz Andrzeja Rozenka, poskarżył się na działanie ustawy dezubekizacyjnej, która miała dotknąć też jego rodzinę (ojciec Cimoszewicza, Marian, był oficerem zbrodniczej peerelowskiej Informacji Wojskowej, współpracującej z NKWD, zaangażowanym w zwalczanie „reakcji”). – Skarżąc się na ustawę dezubekizacyjną, Włodzimierz Cimoszewicz przekroczył granicę bezczelności – skomentował warszawski radny PiS Sebastian Kaleta.

Nieco wcześniej media obiegiło zdjęcie przedstawiające, jak określała to „Gazeta Polska” – zdewastowane, wnętrza leśniczówki w Puszczy Białowieskiej, którą polityk dzierżawił. Z inicjatywy leśników umowę zerwano przed terminem.

Włodzimierz Cimoszewicz w okresie PRL był działaczem Związku Młodzie-

ży Socjalistycznej, a także, od 1971 r., członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (aż do momentu jej rozwiązania). W III RP pełnił m.in. funkcję wicepremiera (1993–1995) oraz ministra sprawiedliwości, w latach 1996–1997 stał na czele rządu SLD. W okresie jego rządów wybuchła afera zwana aferą LSO albo też aferą fabryki osocza. Chodziło o nigdy niezrealizowaną budowę Laboratorium Frakcjonowania Osocza w Mielcu, której inwestorami byli ludzie blisko kojarzeni z decydentami ówczesnego SLD. Inwestycja otrzymała z konsorcjum banków kredyt na blisko 34 mln dolarów poręczony przez rząd Cimoszewicza. Jak szacowały media, na inwestycji Skarb Państwa mógł stracić nawet 61 mln zł.

Wyborcom Cimoszewicz kojarzy się może jednak przede wszystkim ze słowami wypowiedzianymi podczas wielkiej powodzi, która zalała Polskę w 1997 r. W jej trakcie zginęło kilkadziesiąt osób, a straty – państwa i osób prywatnych – sięgnęły miliardów złotych. Odwiedzając powodziowe tereny, zalane wsie, rozmawiając z rolnikami, którzy stracili dorobek życia, Cimoszewicz rzucił wówczas: – To jest kolejny przypadek, kiedy potwierdza się, że trzeba być przezornym i trzeba się ubezpieczać, a ta prawda jest ciągle mało powszechna.

Wypowiedź zestawiana z dramatem powodzią wywołała medialną burzę i mogła przyczynić się do wyborczej porażki SLD w jesiennych wyborach 1997 r.

W 2005 r., mimo wcześniejszej deklaracji o niestartowaniu w wyborach prezydenckich, Cimoszewicz włączył się niespodziewanie w kampanię wyborczą jako kandydat niezależny z poparciem SLD. Później wybuchła „prowokacja Jaruckiej”, która zmusiła go do wycofania się z walki o urząd prezydencki. Dzisiaj już wiadomo, że oskarżenia, którymi wówczas szermowała Anna Jarucka, była asystentka Cimoszewicza – o nielegalnych zmianach w oświadczeniu majątkowym byłego premiera – były polityczną prowokacją. Sama Jarucka została skazana za składanie fałszywych zeznań na 1,5 roku więzienia.

W 2009 r. Cimoszewicz startował w wyborach na sekretarza generalnego Rady Europy, ale przegrał rywalizację z Thorbjørnem Jaglandem. W latach 2011–2015 zasiadał w Senacie RP.



Piotr Gociek

W najnowszej ekranizacji słynnej powieści wszystko jest niemal perfekcyjne, brak jednak głębi prozy Josepha Hellera i szaleństwa, które ją przenika

Istnieją przedsięwzięcia niemożliwe do przeprowadzenia z sukcesem, co nie znaczy, że nie istnieją ludzie, którzy się na nie porywają. I nie oznacza także, że nie warto przyglądać się efektom ich skazanych na klęskę prób. Taką próbą jest przenoszenie na ekran powieści „Paragraf 22” Josepha Hellera, książki, której siła tkwi nie tylko w tym, co zapisane, lecz także w czymś nieuchwytnym, co kryje się między linijkami, co działa jedynie w przestrzeni między odczytanymi zdaniami a umysłem czytelnika. Jakże wiele pozycji z klasyki literatury XX w. to tego rodzaju dokonania! Niefilmowalny jest Franz Kafka, z trudem – Mario Vargas Llosa, tak samo jak Milan Kundera. Jedynym przyzwoitym filmem wedle prozy Kurta Vonneguta jr. jest „Matka noc”, tylko dlatego, że to najbardziej realistyczna (prócz debiutanckiej „Pianoli”) powieść w dorobku pisarza.

Tyle tylko że szukając sposobu na oddanie szaleństwa wieku XX, wielcy pisarze nie szukali realizmu (nie mówię tu o tych, których celem było danie świadectwa, jak Aleksander Sołżenicyn czy częściowo nasz Gustaw Herling-Grudziński). Stanisław Lem swoje zmagania z traumą wieku totalitaryzmów i zagłady rozpoczął od realistycznego tryptyku powieściowego „Czas nieutracony”, ale właściwą strunę poruszył dopiero wtedy, gdy uciekł z jednej strony w esej, a z drugiej w groteskę. Im bardziej przerażające rzeczy opisywał, tym robił to z bardziej wisielczym humorem.

Nie bez powodu dzieje literatury i teatru minionego stulecia to dzieje absurdu, ironii, antyrealizmu magicznego, czasem wręcz bolesnej farsy. Słynny „Paragraf 22” Hellera stoi właśnie na tej półce. Wszystko w tej książce jest nieco szalone, z wyjątkiem języka, którym posługuje się autor – precyzyjnego, cyzelowanego przez długie lata pracy nad powieścią (trwało to dekadę).



Paragraf na wiek XX

George Clooney (w środku) nie tylko reżyseruje serial, lecz także gra w nim jedną z ról

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



W najnowszej ekranizacji „Paragrafu 22” wszystko jest niemal perfekcyjne, brak tylko jednej rzeczy – głębi i tego elementu szaleństwa, który przenika na wskroś prozę Hellera. Mówimy o sześciuodcinkowej produkcji amerykańskiego serwisu streamingowego Hulu (znanego m.in. z serialu „Opowieść podręcznej” czy „Castle Rock” oraz „11/22/63” według Kinga). Jedną z głównych sił sprawczych stojących za tym przedsięwzięciem jest George Clooney, który nie tylko wyprodukował całość, lecz także wyreżyserował dwa odcinki i sam obsadził siebie w roli

gen. Scheisskopfa. W Polsce miniseria zadebiutuje na kanale HBO 17 maja.

INNE PODEJŚCIA

Dla porządku wspomnę, że to czwarta ekranizacja słynnej powieści. Z dotychczasowych trzech dwie były telewizyjne. Jeśli wierzyć serwisowi IMDb, jedną zrobili Finowie (w roku 1970), był też amerykański pilot niezrealizowanej ostatecznie serii telewizyjnej (w roku 1973, z Richardem Dreyfussem w roli Yossariana). Nie oglądałem, więc się nie wypowiadam, podobnie jak wielu polskich widzów znam za to dobrze wersję kinową, czyli film

Mike’a Nicholasa (1970) z Alanem Arkinem, Anthonyem Perkinsem, Jonem Voightem i genialnym epizodem Orsona Wellesa w roli gen. Dreedle’a.

„Podczas projekcji filmu matka kilka razy brała mnie za rękę i ścisnęła” – wspominała pierwszy pokaz u Mike’a Nicholasa córka Hellera, Erica. Jej relację znajdziemy w wydanej także w Polsce książce o pisarzu „Tu spał Yossarian”. „Kiedy zapalono światła, ojciec usiadł z Nicholsem i odbył z nim krótką rozmowę. Wyglądał na zadowolonego: pacjent będzie żył. Podczas jazdy taksówką do domu tata zaczął płakać. Był tak wzruszony, że przez pomyłkę włożył do ust dwie wykałaczki naraz”.

Film z 1970 r. był umiarkowanym sukcesem. Nie była to katastrofa artystyczna ani finansowa (wpływy 12,5 mln dol. z biletów to jak na owe czasy niezły rezultat), ale recenzenci byli mocno podzieleni. Oglądany po latach pozostaje w pamięci dzięki znakomitej obsadzie, wybijają się pojedyncze postacie i epizody. Nawet wyższa połowa duetu Simon & Garfunkel (czyli Art Garfunkel) sprawdziła się w roli kapitana Nately.

Główny problem z tą ekranizacją „Paragrafu 22” świetnie zdefiniował amerykański krytyk Roger Ebert, wskazując, że po pierwsze Mike Nichols nakręcił nie tyle ekranizację, ile film pasożytnyjący na książce – wszystkie padające z ekranu błyskotliwe wymiany zdań były w pełni zrozumiałe tylko dla tych, którzy i tak znali wcześniej powieść. Jako opowieść filmowa, jako oddzielny byt film się nie bronił, po prostu nie istniał. Drugi problem polegał na tym, że jak wskazuje Ebert, Nichols nakręcił kolejny film wojenny, ostatnią rzecz, jaką powinien zrobić z „Paragrafem 22”. Modne w owym czasie (czasy kontrkultury) wystąpienie z przesłaniem antywojennym nie miało sensu, ponieważ „Nichols nie zauważył, że dla Hellera II wojna światowa była symbolem znacznie poważniejszej choroby: życia” – zauważał Ebert.

Serial „Paragraf 22” na pewno w jednej kwestii góruje nad dziełem z 1970 r. – ma o wiele lepszego Yossariana. Alan Arkin, skądinąd bardzo dobry aktor, robił co mógł, ale moim zdaniem do roli głównego bohatera nadawał się średnio, bo był zbyt dojrzały, jeśli zaś chodzi o kwestie warsztatowe – zbyt poważny. W serialu dostajemy za to Christopha Abbotta, aktora, który w ciągu minionej dekady stworzył trochę ciekawych

■ kreacji, z występem w filmie „James White” na czele (szersza publiczność zna go z serialu HBO „Dziewczyny”). Abbott okazuje się aktorem wytrawnym, a jego Yossarian jest bardziej wiarygodny od tego w wykonaniu Alana Arkina. Bardziej bezbronny, bardziej niewinny, bardziej zdziwiony i jednocześnie mocniej zdruzgotany.

Obydwie produkcje różni podejście do chaotycznej chronologii powieści Hellera. Buck Henry, autor scenariusza z roku 1970 (wcześniej dla Nicholasa napisał „Absolwenta”), podobnie jak Heller mieszał kolejność wydarzeń. Autorzy nowej wersji telewizyjnej (przy scenariuszu pracowali Luke Davies, autor „Lion. Droga do domu”, oraz David Michôd, autor „Królestwa zwierząt”) uporządkowali fabułę i opowiedzieli ją linearnie. Zabieg całkowicie zrozumiały w przypadku produkcji odcinkowej, dający także widzowi więcej czasu na emocjonalne zainwestowanie w bohaterów.

Pół wieku, które upłynęło między jedną a drugą wersją, to oczywiście także dystans całej epoki, jeśli chodzi o kwestie produkcyjne. Nichols miał na planie ponad 40 prawdziwych bombowców (wszystkie na chodzie), więc scena startu maszyn chłopaków z bazy na wyspie Pianosa do dziś robi mocne wrażenie. Twórcy serialu zdołali zdobyć zaledwie dwa samoloty i dołożyli efekty generowane komputerowo.

TO NIE JEST OPowieść O WOJNIE

Wspominam o tym z kronikarskiego obowiązku, bo przecież nie bombowce są w powieści Hellera najważniejsze. To jedno z tych dzieł, które wyjątkowo niełatwo poddają się streszczaniu. Zatem: rzecz opowiada o losach amerykańskiego lotnika Yossariana, który odsłużył już swoje (wyłatał odpowiednią liczbę misji bojowych, czyli bombardowań okupowanej przez Niemców Europy), ale nie może wrócić do domu, bo jego przełożony nieustannie podnosi limit misji, po przekroczeniu którego jego podwładni mogą zostać zastąpieni przez świeżych rekrutów.

Yossarian rozważa udawanie szalonego, by wymknąć się z frontu (i ramion nadchodzącej niechybnie śmierci). I tu wpada w pułapkę tytułowego „paragrafu 22”, który stanowi, że człowiek, który chce się zwolnić z działań bojowych, nie jest prawdziwym wariatem. Zatem Yossarian „byłby wariatem, gdyby chciał dalej latać, i byłby normalny, gdyby nie chciał, ale będąc normalny, musiałby latać. Skoro latał,

był wariatem i mógł nie latać; ale gdyby nie chciał latać, byłby normalny i musiałby latać”.

Od razu widać, że nie jesteśmy w krainie wojennych powieści realistycznych, nad powyższym zdaniem, podobnie jak nad całą powieścią Hellera, unosi się duch Kafki czy francuskich surrealistów. Jedną z moich ulubionych wymian zdań w książce brzmi: „Popełnił ksiądz bardzo poważne przestępstwo – powiedział major. – Jakie przestępstwo? – Jeszcze nie wiemy – powiedział pułkownik. – Ale dowiemy się. I jesteśmy pewni, że to coś bardzo poważnego”.

W dodatku sam autor odrealnił swą ni-by-wojenną historię anachronizmami (np. o jednym z bohaterów czytamy, że „awansował go komputer, który pod względem pocucia humoru dorównywał prawie ojcu Majora Majora” – skąd armijne komputery w latach 40. XX w.?). Jednostka, w której służył podczas wojny Heller, była prawdziwa (powstała o niej nawet książka „The True Story of Catch 22: The Real Men and Missions of Joseph Heller’s 340th Bomb Group in World War II”), trauma wojenna Hellera była prawdziwa, ale „Paragraf 22” nie jest książką o wojnie – jest książką o ludzkim losie. To, że była odczytywana jedynie jako satyra antywojenna czy antykapitalistyczna tyrada (wątek czarnorynkowego konsorcjum handlowego stworzonego przez Milo), zubaża ją niesłychanie.

Nowa serialowa ekranizacja „Paragrafu 22” dotknęta jest tym właśnie grzechem. Kiedy usłyszałem padające z ekranu zdanie: „To jest wojna. Wojna koncentruje władzę w rękach tych, którzy najchętniej jej nadużywają”, aż się wzdrzygnąłem. Takiej prostackiej konstatacji nie znajdziemy nigdzie w powieści, Heller nigdy w życiu nie napisałby takiego tekstu, bardziej pasującego do tyrady lewackiego aktywisty niż do jego szalonej, a mimo to napisanej z zimną logiką książki. Wojna nie jest zła dlatego, że prowadzą ją źli ludzie, ale dlatego, że jest jedną z emanacji życia w ogóle – najbardziej krwawą, brutalną i efektowną (jakkolwiek dziwnie by to brzmiało).

Największą zaletą pięknie zrealizowanej i ładnie zagranej nowej wersji „Paragrafu 22” jest więc dla mnie nie to, że George Clooney miał okazję do wyhodowania zabójczego wąsika,

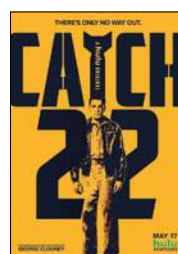
i nie to, że przypomina nam o świecie pełnym biurokratów, tyranów i zwykłych idiotów. Ale to, że dzięki niej raz jeszcze po latach sięgnąłem po literacki oryginał. To niezwykle doświadczenie – znów zanurzyć się w dziwny świat wykreowany przez Hellera. Kolejna korzyść to to, że wywołała spór, którego częścią niech będzie i ten tekst – o to, jak odczytywać klasykę oraz jak wiek XX przefiltrowany został przez wybitnych pisarzy.

GDZIEŚ ULECIAŁ DUCH HELLERA

Gdyby Joseph Heller chciał napisać książkę przeciw generałom i wojnie, nie podarowałaby nam pięknej sceny pod koniec „Paragrafu 22”, w której pogrążony w ponurych rozważaniach Yossarian ma pretensje do świata, „który nigdy jeszcze nie zapewnił dość ciepła, żywności i sprawiedliwości swoim mieszkańcom, poza garstką ludzi przemysłowych i pozbawionych skrupułów. Co za cholerny świat!”. I dalej: „Ile serc jest złamanych? Ile samobójstw zdarzy się tej właśnie nocy, ilu ludzi zwariuje? Ile karaluchów i kamieniczników będzie tryumfować? Ilu zwycięzców przegrywa, ile sukcesów jest klęskami, ilu bogaczy biedakami? Ilu cwaniaków jest głupcami? Ile szczęśliwych zakończeń jest nieszczęśliwymi zakończeniami? Ilu prawych ludzi jest kłamcami, ilu odważnych tchórzami, ilu wiernych zdrajcami, ilu świętych było grzesznikami, ilu ludzi obdarzonych zaufaniem zaprzedało duszę szubrawcom za parę groszy, ilu w ogóle nigdy nie miało duszy? Ile prostych dróg jest krętymi ścieżkami?”.

Wybaczenie przydługich cytów na zakończenie, ale bez sięgnięcia do prozy Hellera objaśnienie kłopotów z jego filmowymi i serialowymi interpretatorami nie miałoby sensu. Materia, z której utkał swój okrutny sen amerykański pisarz, jest w serialu „Paragraf 22” obecna: przycięta, uładowana, ułożona na potrzeby odcinkowej narracji. Są żołnierze, bombowce, Niemcy, Włosi, księża, prostytutki, lekarze, pacjenci, cynicy i szaleńcy. Ale duch prozy Hellera nie unosi się nad wodami Morza Śródziemnego, obmywającego brzegi wyspy Pianosa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
„PARAGRAF 22”
 („CATCH-22”)
USA 2019

wyst. Christopher
Abbott, Kyle
Chandler, George
Clooney, Hugh Laurie

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

MAREK KOZAK

„ZAMKI, PAŁACE, DWORY W POLSCE”

WOJCIECH ROSZKOWSKI

„ROZTRZASKANE LUSTRO.

UPADEK CYWILIZACJI ZACHODNIEJ”

~~698~~ zł



249,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
449** zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



W filmie „Tolkien” przyszłego twórcę „Władcy Pierścieni” gra Nicholas Hoult FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Droga do Śródziemia



Łukasz Czarnecki

J.R.R. Tolkien, który stworzył fantastyczny świat „Władcy Pierścieni”, sam był postacią niezwykle barwną. 17 maja do polskich kin trafi film „Tolkien” o historii życia jednego z najwybitniejszych pisarzy XX w.

John Ronald Reuel Tolkien przeszedł na świat jako syn urzędnika bankowego Arthura Tolkiena i jego żony – Mabel. Mieszkali wówczas w Bloemfontein w Wolnym Państwie Oranii w Afryce Południowej. Pochodzący ze zubożałej rodziny ojciec przyszłego pisarza wyjechał tam skuszony posadą w brytyjskim banku Afryki. Był to okres gwałtownego rozwoju Oranii, spowodowanego eksploatacją bogactw naturalnych (zwłaszcza diamentów), których złoża znajdowały się w tej burskiej republice. Żądza położeń ręki na tych zasobach miała ostatecznie doprowadzić

do krwawej wojny między Brytyjczykami a Burami.

Mabel bardzo kochała swego męża, ale nie cierpiała miasta, w którym przyszło im żyć. Lata były tu upalne, zimy lodowate, jedynej rozrywki dostarczał miejscowy kort tenisowy, a warunki mieszkaniowe trudno określić innym mianem niż fatalne. Jakby nie dość było problemów, wokół roilo się od dokuczliwych egzotycznych insektów. Wszelkie muchy stanowiły najmniejszy problem – pewnego dnia, gdy mały John Ronald Reuel bawił się w ogródku, ukąsiła go jadowita tarantula. To, że życiowa historia twórcy „Władcy Pierścieni” nie zakończyła się już w trakcie prologu, młody Tolkien zawdzięczał niani, która wyssała jad z rany. Mając ostatecznie dość trudnych warunków życia, Mabel, wzięwszy ze sobą Johna i jego młodszego brata – Hilarego, wróciła do swojej osiadłej w angielskim Birmingham rodziny. Wkrótce z Afryki przyszła do niej druzgocząca wiadomość o śmierci męża.

GANDALF W KOLORATCE

Warunki bytowe wdowy i jej dzieci uległy znaczącemu pogorszeniu, od tej pory utrzymywać się mieli z niewielkiej dywidendy wypłacanej przez fundusz, w który zainwestował swe oszczędności zmarły

Arthur. Prawdziwy kryzys nastąpił w roku 1899, kiedy szukająca pocieszenia w religii Mabel przeszła na katolicyzm. Jej zaciekle protestancka rodzina uznała tę decyzję za skandal i wyrzekała się jej. Płynący dotąd od rodziców Mabel i tak skromny strumyk pieniędzy wysychł całkowicie.

Tolkienowie przenosili się do domów o coraz niższym standardzie, jednak matka Johna i Hilarego nie zaniedbywała edukacji chłopców. Dzięki naciskowi kładzionemu na wykształcenie przyszły autor „Władcy Pierścieni” został przyjęty do prestiżowej Szkoły Króla Edwarda i uzyskał stypendium. W tym czasie w życiu rodziny Tolkienów pojawił się Francis Morgan, ksiądz z oratorium w Birmingham. Ojciec Francis stał się duchowym mentorem neofitki Mabel, a w życiu jej synów wypełnił próżnię po zmarłym ojcu. Często odwiedzał zaprzyjaźnioną rodzinę, a w pamięć Tolkiena dobrze zapadły jego tubalny śmiech i zwyczaj palenia długiej fajki z drzewa wiśniowego. Jest więcej niż prawdopodobne, że gdy po latach pisarz tworzył postać Gandalfa, przypisał czarodziejowi charakterystyczne cechy duchownego.

Nacechowane ubóstwem, lecz szczęśliwe dzieciństwo braci Tolkienów skończyło się w listopadzie 1904 r., gdy zmarła ich chorująca na cukrzycę matka. John Ronald

Reuel do końca życia obwinał o ową śmierć rodzinę Mabel, uważając, że to zgryzota wywołana odręceniem przez najbliższych wpędziła ją do grobu. Zgon ukochanej matki tylko utwierdził Tolkiena w pragnieniu wytrwania przy katolicyzmie, a obraz zmarłej już na zawsze połączył się w jego podświadomości z wyznawaną religią, sprawiając, że Mabel urosła w jego sercu do rangi męczennicy za wiarę.

Opiekunem osieroconych chłopców został o. Francis. Z powierzonego mu zadania wywiązywał się najlepiej, jak mógł. Widząc błyskotliwą inteligencję i zdolności językowe młodego Johna, robił wszystko, by zapewnić podopiecznemu jak najlepszą edukację. Zorganizował też braciom mieszkanie w domu kupca winnego Faulknera i jego żony. Nastoletni Tolkienowie zamieszkali zatem w dużym, wygodnym budynku. Nie byli tu jedynymi sublokatorami, rodzina Faulknerów wynajmowała kilka pokoi. Jeden z nich położony bezpośrednio pod lokum chłopców miał mieć niebagatelny wpływ na dalszy los młodego Tolkiena, a właściwie nie tyle samo pomieszczenie, ile jego lokatorka – pochodząca z nieprawego łóża sierota Edith Bratt. Chociaż dziewczyna była starsza od Johna o trzy lata, pomiędzy dwojgiem młodych zrodziła się głęboka więź, która ostatecznie przemieniła się w miłość.

A IMIĘ JEJ EDITH

Para spotykała się w okolicznych herbaciarniach i chodziła na długie spacery. Na drodze do ich szczęścia rychło zaczęły piętrzyć się jednak trudności. Gdy o. Francis dowiedział się, że jego podopieczny jest zakochany, uznał, że miłość może odciągnąć młodego Tolkiena od nauki. Zagroził, że jeśli John natychmiast nie zerwie relacji z Edith, to on przestanie wspierać braci Tolkienów. Bracia Tolkienowie musieli opuścić dom Faulknerów. Wkrótce z Birmingham wyjechała też Edith.

Ostatecznie o. Francis zgodził się na kompromis. Młody Tolkien dostał zakaz kontaktowania się z ukochaną aż do osiągnięcia pełnoletniości. Jeśli uczucie do Edith przetrwałoby te trzy dzielące Johna od 21. urodzin lata, to jego opiekun był gotów dać błogosławieństwo związkowi. Przybyty John przystał na to ultimatum, rozłąka z umiłowaną kosztowała go jednak tak wiele nerwów, że pogrążył w depresji obłą egzamin wstępny na studia. Do wymarzonego Oksfordu dostał się dopiero rok później, za drugim podejściem. Nawiał nauki i liczne inne zajęcia charakterystyczne

ne dla studentów tego okresu (gra w rugby, zawody wioślarskie i upijanie się) złagodziły ból serca, kiedy zaś nadeszły upragnione 21. urodziny, John czym prędzej wysłał list do ukochanej. Odpowiedź, jaką dostał, zdruzgotała go – Edith była już zaręczona!

Przeżony Tolkien wsiadł do pociągu i pojechał na spotkanie z kobietą, z którą planował spędzić życie. Przekonał ją do porzucenia narzeczonego i związania się z nim. Edith, która do tej pory nie wierzyła, że chłopięce uczucie Johna przetrwało próbę czasu, widząc jego żarliwą miłość, zdecydowała się nie zważać na towarzyski skandal, jakim było zerwanie zaręczyn, i oddać swą rękę Tolkienowi. 22 marca 1916 r. młodzi wzięli ślub.

Burzliwa historia związku z Edith zasiała w wyobraźni Tolkiena ziarno, z którego wykiełkowała opowieść o miłości śmiertelnego człowieka Berena do pięknej elfki Luthien.

Młodemu małżeństwu nie dane było długo cieszyć się sobą. Wkrótce po ślubie Europa pogrążyła się w mrokach I wojny światowej, a wojsko upomniało się o Tolkiena, który latem 1916 r. trafił do okopów we Francji. W trakcie swej służby Tolkien walczył pod Sommą i cudem wyszedł z tego cało. Prawdopodobnie nie dotrwałby do końca wojny, gdyby nie przewrotny uśmiech losu – jesienią 1916 r. nasz bohater zapadł na gorączkę okopową i odesłano go na leczenie do Anglii. Choroba miała w jego przypadku ciężki przebieg i trzymała go w swych kleszczach przez następne dwa lata – za każdym razem, gdy wydawało się, że młody John jest już zdrowy, infekcja wracała i znów przykuwała go do łóżka na kilka tygodni. Tym sposobem John, kursując między kolejnymi angielskimi szpitalami, dotrwał do końca wojny.

Wojenne doświadczenie odcisnęło trwałe piętno na psychice Tolkiena. Chociaż jego udział w walkach był relatywnie krótki, to bezrozumne okrucieństwo wojny, apokaliptyczne widoki spod Sommy i utrata przyjaciół głęboko wstrząsnęły pisarzem. Wiele lat później, pisząc „Władcę Pierścieni”, przełaził swoje wspomnienia na papier, tworząc szokującą wizję wiodących do Mordoru Martwych Bagien, w których mętnej wodzie leżą pospołu trupy ludzi, elfów i orków poległych w dawnej bitwie między siłami światła i ciemności.

PROFESOR TOLKIEN

Po zakończeniu działań wojennych John dokończył swą edukację i zatrudnił

się przy pracy nad „Nowym słownikiem angielskim”, równocześnie udzielając prywatnych lekcji. W roku 1920 postawił pierwszy krok na drodze kariery akademickiej, zatrudniając się jako wykładowca języka angielskiego na uniwersytecie w Leeds. Cztery lata później uzyskał tytuł profesorski, a w roku 1925 przeniósł się do Oksfordu, z którym związany pozostać miał do końca życia.

Profesor Tolkien szybko zaskarbił sobie przyjaźń swoich studentów. Po prawdziwie żacy uznawali go za osobnika dość zwariowanego – w trakcie wykładów nagminnie zbacał z tematu, pogrążał się w dygresjach lub zaczynał opowiadać o elfach i krasnoludach. Raz zdarzyło mu się też przebiec po oksfordzkiej ulicy w stroju wikinga, a kiedy kupił sobie samochód, zasłynął w okolicy jako pirat drogowy. Mimo owych dziwactw uchodził za wyśmienitego nauczyciela i naukowca. W pamięć tych, którzy mieli szczęście uczestniczyć w jego zajęciach, szczególnie zapadała, będąca gwoździem programu w repertuarze Tolkiena, recytacja wczesnośredniowiecznego poematu „Beowulf”.

W Oksfordzie Tolkien poznał kolejną osobę, która odcisnęła piętno na jego życiu. Człowiekiem tym był inny wykładowca nobliwej uczelni, osobnik, przy którego ekscentryzmie dziwactwa Tolkiena wydawały się nic nieznaczącymi śmiesznościami – Clive Stapes Lewis. Przyjaźń pomiędzy dwoma naukowcami trwała przez lata i doprowadziła do nawrócenia się autora „Opowieści z Narnii” na chrześcijaństwo. Lewis trafił także na karty „Władcy Pierścieni”. Według badaczy tolkienowskiej spuścizny opisany w „Dwóch wieżach” pomrukuje do siebie i mówiący tubalnym głosem Drzewiec wzorowany był właśnie na nim.

I tak płynęły lata aż do owego pamiętnego momentu, który zmienić miał wszystko. Nie znamy dokładnej daty tego wydarzenia, ale historia odnotowała jego przebieg. Pewnego dnia Tolkien poprawiał prace studentów. Znużony, napisał na pustej kartce dołączonej do jednej z pracy słowa: „W pewnej norze w ziemi żył sobie Hobbit”. I tak jak droga, która po wyjściu z domu wiodła Bilbo Bagginsa coraz dalej i dalej, zdanie to stało się początkiem podróży mającej uczynić z Tolkiena jednego z najbardziej kochanych autorów XX w.



Z Markiem Bukowskim, reżyserem premiery
Teatru Telewizji o Dołędze-Mostowiczu
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Nikodem Dyzma i jego autor



TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pamięta pan swe pierwsze zetknięcie z twórczością Tadeusza Dołęgi-Mostowicza?

MAREK BUKOWSKI: Miało ono miejsce na początku lat 80. zeszłego stulecia. Za pośrednictwem ekranu, a nie książek. Byłem w podstawówce, kiedy do kin trafiła kolejna ekranizacja „Znachora”, a w telewizji spektakularne triumfy święcił serial „Kariera Nikodema Dyzmy”, oglądany całymi rodzinami, chociaż w założeniu był przeznaczony dla widzów dorosłych. Literacką spuściznę poznałem dopiero później. Zapadła w pamięć.

Uchodzi za klasyka literatury „wagonowej”, bo pierwodruki powieści zamieszczano w odcinkach w gazetkach.

To krzywdząca deprecjacja. Intrygi romansowo-sensacyjne nierzadko stanowiły dla niego jedynie sztafaż. Pisał o rzeczach, sprawach, zjawiskach i zachowaniach ponadczasowych, dlatego się nim zająłem.

Premiera Teatru Telewizji „Dołęga-Mostowicz. Kiedy zamykam oczy” (emisja w poniedziałek

20 maja o godz. 21 w telewizyjnej Jedyńce) ma charakter biograficzny?

I tak, i nie. Tkając wraz z Maciejem Dancewiczem scenariusz, kontaktowaliśmy się i czerpaliśmy wiedzę od prof. Józefa Rurawskiego – od lat badającego curriculum vitae i analizującego dorobek autora „Doktora Murka”. Niemniej droga życiowa Dołęgi-Mostowicza pełna jest niejasności i zagadek. Informacje o nim są powierzchowne, toteż w naszym projekcie popuściliśmy wodze fantazji. Jednocześnie istotnym odniesieniem do poznania sekretów twórcy – granego przez Wojciecha Meczaldowskiego – stała się dla nas jego proza. Przetwarzał w niej bowiem epizody, które go spotkały.

A dlaczego w spektaklu towarzyszy mu, niczym cień, Nikodem Dyzma?

Ponieważ to figura emblematiczna, która się silnie zakorzeniła w naszych dziejach najnowszych. Od jej kreacji minął bez mała wiek, a w kolejnych dekadach pojawiają się typy łudzaco doń podobne. Bezwzględni, obłudni, prymitywni, aro-

gancy karierowicze wyznający zasadę, że cel uświęca środki. Stworzyliśmy zatem niejakiego Stanisława Webera vel Stanisława Nowaka – rzekomy pierwowzór Dyzmy, podążający krok w krok za swym „wynalazcą” – granego – odpowiednio – przez Piotra Roguckiego oraz Mariana Opanię. Tutaj ciekawostka: aktorzy do tego stopnia weszli w rolę, że upodobnili się do siebie. Fizycznie, mimicznie, gestykulacyjnie, ot, magia teatru.

Jak wspominał krytyk filmowy Leon Bukowiecki, tuż przed wybuchem II wojny światowej Dołęga-Mostowicz zaręczył się z hrabianką Piwnicką...

Kobiety w jego życiorysie to terra incognita. Ja zetknąłem się w opinii, że starał się o rękę pewnej małoletniej ziemianki kresowej, ale został przez jej rodzinę spławiony, gdyż nie potrafił – nazwijmy to eufemistycznie – powściągnąć męskiego temperamentu. Otaczał go wianuszek pań, traktował je szarmancko, lecz się tym powodzeniem nie afiszował. Należał do koneserów kobiecego piękna, więc w spektaklu damy serca pisarza odtwarzają: Kamila Baar, Julia Wieniawa,

Wojciech Meczwaldowski jako Tadeusz Dołęga-Mostowicz w Teatrze Telewizji. Emisja w poniedziałek 20 maja o godz. 21 w TVP1

FOT. APOLINARI RZONICA/TVP



Izabela Baran i Magda Koleśnik. Wszystkie są olśniewające.

Revolucja bolszewicka sprawiła, że z rodzinnych dóbr na Kresach Wschodnich musiał czmychać do Warszawy, gdzie stał się pariasem.

Przeznaczenie, los, fatum – jak zwał, tak zwał – mocno odcisnęły na nim swe piętno. U progu dwudziestolecia międzywojennego poznał od podszewki życie stołecznej biedoty. Gdy po praktykach zecersko-korektorskich awansował na prasowego reportera kryminalnego, zaznajomił się z funkcjonowaniem środowisk przestępczych. A zostając komentatorem i felietonistą społeczno-politycznym dziennika „Rzeczpospolita”, poznał elity władzy. Doświadczenia umiejętnie dyskutował potem w prozie.

Gdyby nie pucz Piłsudskiego, wytrwałby w dziennikarstwie?

Kto wie... Mogłoby tak być, bo sukcesywnie wspinał się po szczeblach kariery dziennikarskiej, zapewniając sobie coraz bardziej eksponowaną pozycję. Jednak przeszkodził temu stanowczy sprzeciw

wobec zamachu majowego i jego konsekwencji, najdobitniej wyrażony w tekście pt. „Rozluźnione fundamenty armii”: „Ile to mieliśmy napadów uzbrojonych oficerów na publicystów i polityków? Ile razy oficer na trzeźwo czy po pijanemu użył szabli czy rewolweru wobec bezbronnego człowieka? [...] W zdrowe szeregi oficerskie wtargnął powiew nadwożańskiego chuligaństwa, między kapłanów honoru i rycerskości po cichu wślizgnął się cham. Wulgarny cham z cepem w pięści, co się w bandy zbiera, ludzi po nocach napada i bije bezbronnych do krwi, do utraty przytomności, a zemdlonych butem kopie”. Jesienią 1927 r. Dołęga-Mostowicz został porwany, ciężko pobity i porzucony na stołecznych peryferiach. Sprawcy oczywiście pozostali nieznani. W pisarza przeistoczył się z obawy o własne życie.

A zaczn „Znachora” zaczerpnął z autopsji.

Tyle że w przeciwieństwie do powieściowego prof. Rafała Wilczura po odzyskaniu świadomości nie zapadł na amnezję. Zaś baczna obserwacja dziennikarska sanacyjnych porządków zaprocentowała w kreacji ludzi władzy na kartach „Kariery Nikodema Dyzmy”.

Można jej autora określić mianem procelebryty?

Nie sądzę. Celebrytowo to całkowite połączenie życia zawodowego z osobistym, pełen ekshibicjonizm, hołdowanie hasłu „wszystko na sprzedaż”! A jego otaczał – i wciąż otacza – nimb tajemnicy. Wiadomo, że mieszkał w luksusowo wyposażonym apartamencie w sercu miasta, stołował się w najwykwintniejszych lokalach gastronomicznych, bywał na torze wyścigów konnych – artystycznym deptaku syreniego grodu. Na towarzyskich konwenietykach spotykał się z literackimi luminarzami: skamandrytami, Makuszyńskim, Goetlem, Ossendowskim, Nowaczyńskim, Gombrowiczem... nierzadko zazdroszczącymi mu bajońskich zarobków. Znaczną ich część stanowiły pieniądze za sprzedaż praw do ekranizacji kolejnych książek. Filmowanych w gwiazdorskich obsadach.

Arbiter elegantiarum – noszący kapelusze od Cieszkowskiego – i amator łakoci, po które do cukierni Zagożdźńskiego regularnie wysyłał luksusową limuzynę z szoferem. Dolce vita skończyło się 1 września 1939 r.?

Wybuch wojny uniemożliwił realizację planu zawojowania Hollywood oraz

edycję tryptyku historycznego o polskich władcach średniowiecznych imieniem Bolesław: Chrobrym, Śmiałym i Krzywoustym. Pierwszy tom, rzekomo już gotowy, zaginął. Ponoć jednak rękopisy nie płoną...

... ale Dołęga-Mostowicz korzystał z maszyny do pisania marki Remington, co eksponowano, zapewne niebezinteresownie, w witrynie warszawskiej agencji tej firmy w hotelu Bristol. Andrzej Jarnicki, towarzyszący prozaikowi podczas ucieczki z Warszawy we wrześniu 1939 r., mówił mi, że notatki pisarza z wojennej eskapady miały stanowić fundament kolejnej książki...

Bez wątpienia zamierzał rozpocząć nowy etap w pisarstwie. Wprawdzie, jak uważam, ignorował lekceważenie okazywane mu przez krytykę, zawarte w stwierdzeniu „pierwszorzędny pisarz drugorzędny”, niemniej usiłował wyjść poza koleiny literatury popularnej.

Okoliczności śmierci pisarza – z rąk sowieckich w Kutach 20 września 1939 r. – przedstawił mi jej świadek, Stanisław Szuwart.

Istnieje mit, że przyczyniły się do tego oficerki, które autor „Pamiętnika pani Hanki” miał na nogach. Otóż ponoć odmówił ich oddania pewnemu czerwonoarmiście i z tego powodu został zastrzelony. Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Przecież już 20 lat wcześniej przekonał się, do czego bolszewicy są zdolni. Ciągłe niejasny zgon to temat na oddzielną fabułę. W naszym przedstawieniu spekulujemy na ten temat, ale niech to pozostanie dla publiczności niespodzianką.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Marek Bukowski – absolwent PWST w Krakowie, aktor filmowy („Nad rzeką, której nie ma”, „Kawalerskie życie na obczyźnie”, „Pożegnanie z Marią”, „Uwikłanie”, „Smoleńsk”) i serialowy („Dom”, „Na dobre i na złe”, „Leśniczówka”) oraz reżyser (filmy „Blok.pl” i „Sukces”).

Tadeusz Dołęga-Mostowicz

(1898–1939) – najpoczytniejszy pisarz II RP. Autor kilkunastu powieści, m.in. „Ostatnia brygada”, „Kariera Nikodema Dyzmy”, „Znachor”, „Profesor Wilczur”, „Złota maska”, „Trzy serca”, „Bracia Dalczy i S-ka”, „Prokurator Alicja Horn”.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Dekadencja pod cyprysami



★★★★★
REŻ. JACEK BORCUCH
„SŁODKI KONIEC DNIA” („DOLCE FINE GIORNATA”)
POLSKA/ WŁOCHY/ FRANCJA 2018

wyst. Krystyna Janda, Kasia Smutniak, Antonio Catania

W roku 1984 gniewny prorok Piotr Szulkin rzucił światu w twarz film pod wszystko mówiącym tytułem „O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji”. Krystyna Janda zagrała w nim uroczą naiwną prostytutkę, która nadciągającej apokalipsy po prostu nie przyjmuje do wiadomości. 35 lat minęło jak z bicza strzelił, prawie wszystko się zmieniło, lecz nastroje w kręgach naszej inteligencji pracującej wciąż są minorowe. Jacek Borcuch, reżyser zatroskany przyszłością Europy, zaprasza do kin na „Słodki koniec dnia”, którego akcja rozgrywa się w o wiele sympatyczniejszej scenerii. Zamiast skąpanych w zimnej poświacie podziemi warszawskiego Pałacu Kultury mamy łagodne wzgórza Toskanii i rozstawioną przez wampiryczny „Zmierzch” Volterrę.

Trudno się jednak rozkoszować formą, gdy treść jest w gruncie rzeczy tak samo dekadencja jak u Szulkina. Włosi, z uporem praktykujący dolce vita, są głusi i ślepi na wyzwania współczesności. Tolerują odradzający się rasizm. Obcych umieszczają w obozach, zamiast okazać im chrześcijańskie wsparcie. Znów podnoszą głowę stare hydry: biurokracja i filantropia.

Na szczęście bohaterka Jandy jest tym razem nie tylko starsza, lecz także mądrzejsza. Z impetem wchodzi w rolę moralnego autorytetu i głosu sumienia. Głosu laureatki Literackiej Nagrody Nobla nie można przecież zlekceważyć. Na wieść o kolejnym krwawym zamachu islamistów Maria Linde publicznie wytknie Italiańcom hipokryzję i małoduszność. Śmiała teza, że zamach jest par excellence dzie-

łem sztuki, zbulwersuje gospodarzy, lecz polemizować z dzieckiem Holocaustu nikt się nie ośmieli.

Janda od zawsze kojarzy się z kobietą-wojownikiem, nerwowo odpalającą papierosa od papierosa, więc Borcuch postanowił dla dobra sprawy trochę poetkę zdezwuować (i przy okazji uniknąć posądzeń o uprawianie taniej publicystyki). Maria najwyraźniej uwierzyła w odkrycie kolorowej prasy, że sześćdziesiątka to nowa trzydziestka. Czując się kobietą młodą duchem, sprawiła sobie sportowy wóz, założyła dzinsy, ciemne okulary i noce spędza na balowaniu w towarzystwie inteligentnego oraz pracowitego Egipcjanina.

Bliscy nie zawsze nadążają za noblistką. Co nie dziwi, bo dzieci rewolucjonistów często bywają konserwatywne, zaś mężowie zwykle źle reagują na zdrady. Gorzej, że zaproponowana przez twórców filmu „perspektywa europejska” wydaje się ciut jednostronna. Co z tego, że arabski uczony odkrył trójkąt Pascala przed Pascalem? Amerykę odkryli wikingowie, lecz dziejów świata to nie zmieniło. Wypada też ostrzec widzów, że tytuł wprowadza w błąd. „Słodki koniec dnia” ma trzy zakończenia. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „JOHN WICK 3”

Kino bywa zabawą kompletnie niepoważną, a gdy jest tego świadome i celowo mocno przesadza, efekty bywają zaskakujące. W pierwszym filmie o Johnie Wicku, zabójcy do wynajęcia, fabuła była szczątkowa, za to choreografia, sceny walki i praca kamery – bardzo dobre. Drugi rozszerzał fikcyjny świat, pokazując kulisy działania sekretne go stowarzyszenia kilerów,

a trójka to już kompletny odjazd naszpikowany gwiazdami. A Keanu Reeves walczyć musi z całym światem. ©©

Piotr Gociek

• **reż. Chad Stahelski „John Wick 3” („John Wick: Chapter 3 – Parabellum”), USA 2019, wyst. Keanu Reeves, Ian McShane, Halle Berry, Laurence Fishburne**

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Talkien”, reż. Dome Karukoski, USA 2019
- „Oddech” („Breath”), reż. Simon Baker, Australia 2017
- „Łowcy czarownic” („Zlogonje”), reż. Raško Miljković, Macedonia/Serbia 2018
- „Dziura w głowie”, reż. Piotr Subbotko, Polska 2017

Na zepsutej ziemi

Chcesz zwolnić tempo życia? Jesteś zmęczony cywilizacją? Broń Boże, nie przeprowadzaj się na prowincję. Dzieją się tam rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Wystarczy miesiąc i zatwardziały racjonalista uwierzy w gusła, zacznie lunatykować i rozmawiać z umarlakami. Przytulny domek na skraju lasu stanie się śmiertelną pułapką, zaś sam las siedliskiem złych mocy.

Horrorzy są najlepsze, gdy bazują na odruchowych lękach. Boimy się pecha, ciemności, obcych ludzi, nieokiełzanych sił natury. Unikamy kontaktu ze zwłokami oraz wizyt na cmentarzach w środku nocy. Są też indywidualne obsesje. U Stephena Kinga – strach przed rozpędzoną ciężar-

rówką. Siegał po ten motyw tak często, że wykrakał: omal nie stracił życia w okolicznościach przez siebie opisywanych.

Kiedy ceniony literat przerabia własną powieść na scenariusz, rezultat zwykle pozostawia sporo do życzenia. Jeśli wyreżysera go ktoś mniej sławny, szanse, że film da się oglądać, rosną. „Smętarz dla zwierzaków” potwierdza tę prawidłowość. Z ekranizacji z roku 1989 broni się tylko zabawna piosenka The Ramones.



★★★★★
REŻ. KEVIN KOLSCH, DENIS WIDMYER
„SMĘTARZ DLA ZWIERZAKÓW”
(„PET CEMATARY”)
USA 2019

wyst. Jason Clarke,
Amy Seimetz,
John Lithgow

Nowa wersja, choć niepozbawiona wad (całkowicie zbędny wątek kalekiej siostry), trzyma poziom. Najbardziej przeraża rzucona mimochodem informacja, że po tamtej stronie nie istnieje żaden raj. Jest tylko piekło. ©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „DAYS GONE”

Postapokalipsa, hordy zombi, charyzmatyczny bohater i niekończące się strzelaniny. Ile podobnych gier pojawiło się już na ekranach naszych telewizorów? Również „Days Gone”, wysokobudżetowy exclusiv na PlayStation 4, nie przeciera w tym temacie nowych szlaków. Poza

jedną nowością – po raz pierwszy możemy poruszać się w podobnym uniwersum po otwartym świecie, niczym w „Wiedźminie”; tylko zamiast na koniu – na motocyklu. Na plus grafika, dynamika walki i efekty pogodowe. Na minus mało porywająca fabuła i wtórne misje.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gra z niewykorzystanym potencjałem. © ©
Marcin Makowski

- Gatunek: TPP
- Platforma: PS4
- Producent, dystrybutor: Bend Studio/Sony
- Klasyfikacja PEGI: 18+

PIKNIK PRZED ZAGŁADĄ

Ponad rok po premierze w Netflixie film Alexa Garlanda trafia na płyty DVD i Blu-ray. Pisałem o nim wtedy, że to jeden z najlepszych filmów science fiction ostatnich lat i zdania nie zmieniłem, choć usłyszałem sporo protestów od czytelników, którzy mają inną opinię. Po pierwsze: twórcy „Ex Machina” udało się ciekawie przełożyć na język kina przekombinowaną postmodernistyczną powieść Jeffa VanderMeera. Po drugie: trafił z obsadą. Po trzecie: w odróżnieniu od twórców filmów głośnych i głupich nigdzie się nie spieszył, tworząc nastrojową opowieść o nadchodzącej zagładzie i siłach, z którymi ludzkość nie może się mierzyć. Porównania z „Solaris” czy „Piknikiem na skraju drogi” są uzasadnione. Po czwarte: połączył w „Anihilacji” sceny przepiękne z absolutnie przerażającymi, te ostatnie kręcąc z talentem na miarę „Obcego” Ridleya Scotta czy „The Thing” Johna Carpentera. Przymykam więc oko na pewną mętność intrygi oraz nie najlepsze efekty specjalne w finale. To mimo wszystko wydarzenie.



★★★★★
REŻ. ALEX GARLAND
„ANIHILACJA”
USA 2018,
IMPERIAL

wyst. Natalie Portman, Jennifer Jason Leigh,
Tessa Thompson

KOCHANIE, JESTEŚ KOPIĄ

B-klasowe kino science fiction kuszące Keanu Reevesem w roli głównej, ale szybko odkrywamy, że cała ta zabawa jest po nic. Naukowiec, który pracuje nad przekopiowaniem ludzkiego umysłu do człokształtnej maszyny; zła korporacja, która nie jest z niego zadowolona; ukochana rodzina, która ginie w wypadku, więc jedyną drogą ratunku jest...



★★★★★
REŻ. JEFFREY NACHMANOFF
„REPLIKANCI”
USA/WIELKA
BRYTANIA
2018, DYSTR.
GALAPAGOS

wyst. Keanu Reeves, Alice Eve, Thomas Middleditch

Tak, resztę możecie sobie dopowiedzieć. Reżyser Jeffrey Nachmanoff sprawdził się wcześniej jako twórca telewizyjny, teraz ponosi zasłużoną porażkę. Co z tego, że obrazki wyglądają nieźle (budżet 30 mln dol.), skoro w scenariuszu banał goni banał? Keanu Reeves nie jest ostatnio wybredny i za to płaci. Raz trafi nieźle („John Wick”), innym razem kiepsko (ostatnio „Syberia”, teraz „Replikanci”). Co następnego wyrzuci bęben maszyny losującej? © ©

recenzuje Piotr Gociak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Tere-fere kuku

Ogromny sukces powieści Stiega Larssona (trylogia „Millennium”) sprawił, że kryminały zostały uznane za skandynawską specjalność i od wielu już lat sprzedają się znakomicie, choć do końca nie wiadomo dlaczego, bo np. książki takiej Camilli Lackberg jeśli cymś się wyróżniają, to nieumiejętnością budowania fabuły i stopniowania napięcia. Niemniej trochę powieści detektywistycznych (tak kiedyś nazywano kryminały) z okolic Sztokholmu i Oslo zapisało się korzystnie w naszej pamięci. Właśnie objawił się kolejny pretendent do przejęcia schedy po Larssonie i – z racji pochodzenia – Jo Nesbø, a mianowicie Lars Lenth z Norwegii, którego książka „Mężczyźni, którzy nienawidzą wilków” już samym tytułem nawiązująca do „Mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet” Larssona ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego. Wydawca zapowiada kolejne części cyklu Lenth’a z tymi samymi bohaterami, niekonwencjonalnym adwokatem Vangenem i wymierzającym sprawiedliwość według swojego osobistego uznania Gulliksenem.

Generalnie podoba mi się ten ostatni, wkraczający ze swoją siłą, pomysłowością i... bronią tam, gdzie zawodzi policja, prokuratura czy sądy. Kochamy takich gangsterów czyniących wokół siebie dobro, zabierających bogatym i rozdających biednym, ujmujących się za słabszymi itp. itd. Tyle że o jego zbrojnych czynach dowiadujemy się z retrospekcji – w toczącej się akcji wyróżnia się głównie okrucieństwem w stosunku do przedstawicieli jednej strony toczącego się sporu. Sporu, który może zadecydować o przetrwaniu wilków w prowincji Østerdalen, a właściwie w całej Norwegii. Tych stworzeń, o których zaadoptowanie tak przekonująco prosi w reklamowym spocie Marcin Dorociński.



FOT. SCANPIX/PERUM

Lenth swoją opowieść zaczyna od makabry: stado zwierząt rozszarpuje na strzępy kobietę, która wybrała się z pięcioletnim synkiem na jagody. Cudem zdążyła umieścić chłopca na wysokiej gałęzi, do której wilki nie mogły doskoczyć, dzięki czemu przeżył. Ofiarą okazała się Phung Johansen, z pochodzenia Wietnamka.

Na okładce edytor pomieścił opinię przepisaną z „Dagbladet”: „Na próżno by szukać jakiegoś tematu, który angażuje mieszkańców Norwegii bardziej niż wilki i imigracja. W swojej nowej powieści Lars Lenth zabiera czytelnika w oko cyklonu”. A jakby tego było mało, to mamy jeszcze jeden osąd, z „Gudbrandsdølen Dagningen”: „Mądra rozrywka”. Matko Boska, jeśli skonsumowanie przez wilki (okażą się fatalnie zmutowanymi psami) człowieka jest „rozrywką”, to uprzejmie dziękuję. A trupów, ostrzegam, znajdziemy w „Mężczyznach...” znacznie więcej.

Cała opowieść podlana jest, oczywiście, poprawnościowym sosem. Nieprzyjacielem czy raczej wrogowie wilków są, jeden w drugiego, prymitywami, pazerami na pieniądze kłusownikami, potomkami quislingowców, w ogóle swołoczą niegodną wspomnienia nawet. Ich antagoniści to szlachetni miłośnicy przyrody, żyjący w zgodzie z naturą, tolerancyjni do tego stopnia, że wdowiec po zjedzonej

kobiecie apeluje na zebraniu mieszkańców, by nie wykorzystywali nieszczęścia, które go spotkało, do wytrzebiecia wilków w Norwegii. W końcu, wylicza, „ludzie giną pod kołami samochodów, zderzają się z łosiami, umierają od ugryzienia kleszcza, od ukąszenia pszczoły, spadają z konia...”

Ciekawe też, że pozytywne jednostki w powieści Lenth’a na okrągło palą marychę, zaś wstrętnei ksenofobowie i mordercy wilków (a i ludzi) równo walą gorzałę i browar. Najciekawszą postacią w tym panopticum jest samotnie walczący ze złem Rino Gulliksen, wyznawca poglądów australijskiego etyka Petera Singera oraz późnego Martina Heideggera. Przy tym uprawia... myślistwo. Serio, strzela z łuku, gdyż ta forma polowania nie wymaga „ołowiu ani innych materiałów szkodliwych dla środowiska. Nie zakłóca spokoju w lesie i stanowi najbardziej humanitarny i przyjazny środowisku sposób pozyskiwania zwierząt. Za każdym razem, gdy Rino przemykał po lesie z łukiem w ręce, czuł bezpośredni kontakt z przodkami”. A trafiał dokładnie tam, gdzie zamierzał – w klatkę piersiową, rozrywając strzałą tętnicę i przebijając płuca.

Miłośnikom korników drukarzy, żab, zmij i wszelkiego innego hadztwa jak najserdeczniej życząc spotkania się na leśnej ścieżce z Rino Gulliksenem. ©©



★★★★★
LARS LENTH
„MĘŻCZYŹNI,
KTÓRZY
NIENAWIDZĄ
WILKÓW”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wielogłos fantastyczny

Nazywam te książki klasyką nieoczywistą, a stoją w księgarniach coraz częściej obok klasyki powszechnie za taką uznawanej, obok oczywistych evergreenów, które sprzedawały się zawsze i zawsze sprzedawać będą (Dickens, Tolstoj, Hugo). Renesans przeżywają jednak zapomniane dzieła literatury popularnej, co wcale nie dziwi. Wielu współczesnych autorów zatraciło podstawową umiejętność ciekawego opowiadania historii, zanurzając się w odmęty artyzmu dla nikogo. Inni znów rzadko wychodzą poza utarte formuły.

Tymczasem dobra literatura popularna okazuje się długowieczna, czego dowodem jest uruchomienie przez Rebis serii klasyki SF, którą otwiera powieść Daniela Keyesa „Kwiaty dla Algernona”. Zaczęło się od rewelacyjnego opowiadania (polski przekład w szóstym tomie antologii „Kroki w nieznanne”), wersja powieściowa jest nieco mniej piorunująca, bo siłą rzeczy rozwleczone. Tak czy inaczej, pozostaje jednak jednym z najlepszych przykładów fantastyki jako literatury o człowieku, a nie jego wynalazkach.

Charlie, główny bohater książki (poznajemy jego przeżycia w formie dziennika), niezbyt lotny pomocnik piekarza, poddany zostaje eksperymentalnej terapii, która

zwiększa możliwości jego mózgu. Z dnia na dzień wie i rozumie coraz więcej. Lęk jednak nie jest stabilny. Fala geniuszu się cofa, a bezradny, cierpiący bohater rejestruje już nie swoje postępy, lecz odnotowuje strzępki rzeczywistości, które mu pozostały. To oczywista metafora życia, wzbijamy się od ciemnoty ku wiedzy, by u kresu życia zapaść w starczą demencję. Niewielu pisarzom (nie tylko fantatom) udało się tę tragedię oddać w tak kapitalnym artystycznym skrócie i w sposób tak chwytający za serce.

Seria „Wehikuł czasu” przypomni w najbliższych miesiącach inne klasyczne dokonania fantastyki, już ukazał się „Koniec dzieciństwa” Arthura C. Clarke’a (ta akurat powiastka gorzej zniosła próbę czasu), wkrótce czeka nas wznowienie „Hioba” Roberta A. Heinleina, jednego z najlepszych autorów SF XX stulecia, wciąż niewystarczająco znanego i cenionego w Polsce.

Tymczasem śmierć zabiera innych klasyków, w ostatnich tygodniach zmarli Gene Wolfe

i Vonda McIntyre.

Kto nie zna powieści „Cień kata” tego pierwszego, ten nie wie, jak oryginalna może być fantastyka. Kto nie czytał powieści „Księżyc i Słońce” tej drugiej, ten nie wie, jak pięknie można łączyć powieść historyczną z elementami fantasy. A i opowiadania pisały znakomite. ©©



★★★★★
DANIEL KEYES
„KWIAITY DLA
ALGERNONA”
REBIS 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wspomnienia amerykańskiego ambasadora w Polsce (1945–1947). Świadcetwo głupoty, naiwności i cynizmu w polityce Zachodu wobec kraju zniewolonego przez Sowietów. Protesty Lane’a w Waszyngtonie nie na wiele się zdały.



ARTHUR BLISS
LANE
„WIDZIAŁEM
POLSKĘ
ZDRADZONĄ”
FRONDA

Nietypowe, acz ciekawe spojrzenie na polskie średniowiecze, przy czym szczególnie ciekawe są historie mniej znanych morderczych przedsięwzięć z XIV i XV w. Ciekawa lektura nie tylko dla zaawansowanych.



AGNIESZKA
TETERYCH-PUZIO
„ZAMACHY
NA PIASTÓW”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Sympatycznego cyklu o komisarzu Brunettim tom 24. Słynna diwa na występach gościnnych w Wenecji czuje się coraz bardziej osaczana przez tajemniczego miłośnika czy raczej stalkera.



DONNA LEON
„ZAUROCZENIE”
NOIR SUR BLANC

„W jaki sposób wspólna waluta zagraża przyszłości Europy?” – zastanawia się znany ekonomista. A przecież wystarczy poczytać prace Roberta Mundella o optymalnych obszarach walutowych. Stiglitz ma swój pomysł: elastyczne euro. ©©



JOSEPH E.
STIGLITZ
„EURO”
KRYTYKA
POLITYCZNA

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Camilla Lackberg**, „Złota klatka” (Czarna Owca) – pierwszy tom nowej serii popularnej autorki skandynawskich kryminałów.
2. **Frederic Martel**, „Sodoma” (Agora) – francuski autor książek o kulturze amerykańskiej i gejowskiej o homoseksualizmie w Watykanie.
3. **Alex Michaelides**, „Pacjentka” (W.A.B.) – zastrzeliła męża, zamkniętą ją w szpitalu, nie mówi ani słowa. Zagadkę spróbuje rozwiązać nowy terapeuta.
4. **Agnieszka Krawczyk**, „Szczęście na wyciągnięcie ręki” (Filia) – tom trzeci cyklu „Uśmiech losu”, sagi o mieszkańcach Kamienicy pod Szczęśliwą Gwiazdą.
5. **Tanya Valko**, „Arabski raj” (Prószynski i S-ka) – 10. tom bestsellerowej „Orientalnej sagi” o Dorocie – Polce wydanej za Araba – i jej rodzinie.

(Najchętniej kupowane tytuły minionego tygodnia na Bonito.pl, z wyłączeniem książek dla dzieci)

Z przekleństwem w nazwie



FOT. EWA WOLF

„Psiakrew”, a gwarowo „psiokrew” – przekleństwo, ale niewinne w porównaniu z innymi mniej cenzuralnymi słowami z całej palety, której dostarcza nam język polski. „Psiokrew” krzyknąć można, gdy coś nie pójdzie, gdy coś, na co nie mamy dużego wpływu, wzbudzi naszą złość. „Psiokrew” upuści trochę „pary”, trochę emocji. I to właśnie dlatego, że zwrot ten

„jest sekwencją dźwięków, używanych w celu rozładowania napięcia wynikającego z uniesienia emocjonalnego”, pewien zawiązany w 2004 r. w Bielsku-Białej zespół wziął go na swą nazwę. Zamerykanizował sposób zapisu – „Psio Crew” („crew” – z ang. „załoga”, „ekipa”) – i występuje pod tym szyldem do dziś.

Zabawa z nazwą, zabawa z muzyką, ze stylem, z kon-

wencją, gatunkami. Korzenie grupy, która narodziła się w dolinie beskidzkich gór, są mocno wrośnięte w tradycję. Przesiąkły jednak też innymi nowoczesnymi wpływami. Z jednej strony mamy więc góralskie stroje, gwara, tradycyjne instrumenty (takie jak pasterska piszczałka), a z drugiej – elektroniczne syntezatory i beatbox. A wszystko to jeszcze zmieszane z sam-

plami dźwięków nagranych w różnych zakątkach świata – jak piszą muzycy – „od naszych Beskidów po zbocza Mont Blanc”. W warstwie tekstowej też pomieszanie z poplątaniem. Są i tradycyjne, stare góralskie teksty, jest i – nagrana niedawno – piosenka przestrzegająca mieszkańców Beskidu i Polski przed... smogiem.

Na okładce debiutanckiej płyty napisali: „Płyta powstała z potrzeby tworzenia oraz z radości poruszania się w otwartej przestrzeni muzyki łączącej stary i nowy czas”. Wydali ją w 2007 r., by po trzech latach zniknąć ze sceny (muzycy zaangażowali się wtedy w inne projekty) na kolejne pięć lat. Teraz szykują następny album, a do współpracy nad nim zaprosili inne ciekawe polskie zespoły. Jest już wiele mówiąca nazwa – „PsioCrewni” – oraz pierwsze nagrania udostępnione w Internecie. I znów są w tym, co robią, jak przekleństwo, razem z którym wyzwala się tyle emocji, ile tylko się da.

© © Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Dzieci śnią o Korei

Koreańska inwazja ogarnęła po rynku motoryzacyjnym i elektronicznym również świat muzyki pop. Album koreańskiego boysbandu BTS dotarł na szczyt list w USA, Australii i Wielkiej Brytanii. W Polsce jest na miejscu drugim.

Siedmiu chłopców w wieku od 21 do 26 lat zostało w ubiegłym roku uznanych przez „Forbesa” za najbardziej wpływowe osobistości w Korei. Fanklub A.R.M.Y. zrzesza miliony wielbicieli, którzy bilety na światową trasę zespołu wykupili w dwie godziny. K-pop, taneczny kierunek muzyczny,

narodził się 27 lat temu. Dzisiaj to wielki przemysł, którego przychody w ubiegłym roku przekroczyły miliard dolarów.

„Map of the Soul: Persona” zespołu BTS jest częścią pierwszą tanecznych rozważań nad wiecznym pytaniem: „Kim do diabła jestem?”. Tańcząc, rapując i śpiewając po koreańsku (z angielskimi wstawkami), młodzieńcy zagłębiają się w walkę między wewnętrznymi ciemnościami a wypudrowanym wizerunkiem świata. Dziewczynki na całym świecie wykrzykują koreańskie refreny i upodabniają się do swoich idoli także fryzurami. © ©



★★★★★
BTS
„MAP OF THE SOUL: PERSONA”
BIGHIT



★★★★★
CAGE THE ELEPHANT
„SOCIAL CUES”
COLUMBIA

Grupa z Kentucky jest gwiazdą alternatywnego popu udanie łączącą garażowy rock z melodyjnymi brzmieniami lat 80. Na singlowym „Night Running” pojawia się Beck, a płytę wyprodukował ceniony John Hill. Godne polecenia.



★★★★★
PINK
„HURTS 2B HUMAN”
RCA

Mimo groźnego tytułu, „Boli być człowiekiem”, ósmy album Amerykanki jest dość łagodny. Nowoczesne, przyjazne radiu piosenki, zaciąg goście (m.in. Khalid) roją, że koncert 20 lipca na Stadionie Narodowym może być wydarzeniem muzycznym. © ©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

WSTRZĄSAJĄCY WYWIAD

**Z ŻOŁNIERZEM NSZ PRZEŚLA-
DOWANYM PRZEZ KOMUNĘ**

Ronen Bergman – **Egzekutorzy z Mosadu**

Marcin Bartnicki – **Seks dla Izraela**

Piotr Zychowicz – **Wpadki zabójców z gwiazdą Dawida**

Sławomir Cenckiewicz – **Plusy i minusy „Kuriera”**

Sławomir Koper – **Żony i kochanki Sienkiewicza**

Sebastian Bojowski – **Zanim Hitler runie, śmierć komunie!**

Mikołaj Iwanow – **Żydowski partyzanci Stalina**

Rafał A. Ziembkiewicz – **Rasa Ariów i sieroty po Marksie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. TITUS ZULJEWSKI/PAP



Z dr. Sławomirem Mentzenem, ekonomistą, wiceprezesem partii KORWiN, kandydatem Konfederacji w wyborach do Parlamentu Europejskiego rozmawia Maciej Pieczyński

Nasz prawdziwy cel to Sejm

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej” – w tych słowach zaprezentował pan postulaty Konfederacji. Jednocześnie zastrzegł pan, że tym samym stawiacie na przekaz emocjonalny, bo merytoryka nie interesuje wyborców. Ciekaw jestem, jak konkretnie zamierzacie wprowadzić w życie tę „piątkę Konfederacji”?

DR SŁAWOMIR MENTZEN: Przytoczył pan kilkusekundową wypowiedź, która jest fragmentem 45-minutowego wystąpienia.

Jednak to są pańskie słowa, nie moje. „Piątka Konfederacji” jednoznacznie brzmi jak aluzja do „piątki Kaczyńskiego”, która jest programem wyborczym PiS.

Wystąpienie, które pan cytuję, miało luźną, humorystyczną formę stand-upu. To było żartobliwe podsumowanie naszego przekazu kampanijnego, a nie propozycje programowe. Mojej wypowiedzi na żywo wysłuchało ok. 300 osób – działaczy i zwolenników Konfederacji, zaś w Internecie obejrzało ją ponad 70 tys. użytkowników. Zdecydowana większość komentarzy miała pozytywny wydźwięk. Chyba oczywiste jest, że gdyby moje słowa miały charakter antysemicki, ich odbiór byłby jednoznacznie negatywny.

A jednak użył pan takich, a nie innych słów. Co gorsza, przyznał pan, że tego typu wypowiedzi najsukuteczniej działają na emocje waszych zwolenników. Wychodzi więc na to, że wyborcy Konfederacji chcą słyszeć, jak bardzo nie lubicie Żydów. A to już brzmi niepokojąco. I szkodzi zarówno waszemu wizerunkowi, jak i polskiej prawicy.

Oczywiście, wielu naszych wyborców po wydarzeniach z ostatniego roku lubi słyszeć słowa krytyki pod adresem środowisk żydowskich. Powtarzam jednak: „piątka Konfederacji” to przejawskrawiony wariant naszych postulatów. Należy ją traktować z przymrużeniem oka. Pod emocjonalnym hasłem: „Nie chcemy Żydów” kryje się sprzeciw wobec roszczeń majątkowych ze strony środowisk żydowskich. Z kolei „nie chcemy homoseksualistów” oznacza, że nie godzimy się na propagandę LGBT. Wyjaśniłem to jeszcze w trakcie swojego wystąpienia. Każdy, kto zna moją aktywność publiczną, wie, że nie pierwszy raz podchodzę do polityki z przymrużeniem oka. Kiedy nazwałem Korwin-Mikkego Gandalfem, a Unię Europejską Mordorem, to jakoś nikt mi nie zarzucił wiary w czarodziejską moc JK.M.

Lepiej być oskarżonym o wiarę w czary niż o antysemityzm. Szczególnie że jakoś nie zastrzegł pan od razu, że to taki „żart”.

Sala zareagowała śmiechem. Kontekst humorystyczny był zupełnie oczywisty.

Nie do końca. Poza tym sam pan przyznaje, że dla wyborców liczy się nie tyle program, ile chwytliwe hasła. Skoro zwolennicy Konfederacji chcą słuchać o „złych Żydach”, a przy tym kierują się raczej emocjami niż rozumem, to skąd pewność, że nie wezmą pańskich „żartów” na serio? Jeśli dojdzie do jakichś ekscesów, to zawsze łatwo będzie was obarczyć odpowiedzialnością. Skoro chodzi o sprzeciw wobec roszczeń, to nie lepiej powiedzieć: „Nie chcemy spłacać nieuzasadnionych roszczeń żydowskich”? Nie brzmi efektywnie, ale przynajmniej trudniej z tego hasła ukręcić bicz antypolonizmu, trudniej na tej podstawie mówić o rzekomym polskim antysemityzmie.

Jeśli ktoś powinien przeproszać czy ponosić jakąkolwiek moralną odpowiedzialność za podburzanie antysemitów, to nie ja, tylko ci, którzy manipulują sensem moich wypowiedzi, rozpowszechniając kilkusekundowy fragment z prawie godzinowego wystąpienia. To oni rozpowszechniają antysemickie hasła. Nie opublikowałem przecież tych żartobliwych „postulatów” w żadnej formie. One miały ściśle określony kontekst. Wyrwane z tego kontekstu tracą swój pierwotny sens.

Nic dziwnego – łatwo to wykorzystać przeciwko wam. Jest jeszcze inny problem, na który zwrócił uwagę m.in. Łukasz Warzecha. Podczas swojego wystąpienia mówił pan nie o tym, co Konfederacja chce zrobić, ale o tym, jakim językiem powinna mówić do wyborców, żeby chcieli na nią głosować. To wyszło tak, jakby chwalił się pan swoim własnym cynizmem.

Wszyscy liczący się – nie tylko w Polsce, lecz także na świecie – politycy myśłą w zasadzie w ten sam sposób. Wszyscy wiedzą, że aby wygrać wybory, trzeba umiejętnie grać na emocjach. Mówienie o tym nie jest cynizmem. Wręcz przeciwnie – to uczciwość. Inni politycy wciskają wyborcom kielbasę. A ja pokazałem, jak tę kielbasę się robi. Jeśli z tego powodu ktoś przejdzie na wegetarianizm, to nie moja wina. Wierzę, że wyborcy docenią to, że gramy z nimi w otwarte karty. Moja wypowiedź bardzo przypadła do gustu zwolennikom Konfederacji, natomiast wywołała wściekłość wśród tych, którzy nas bezwzględnie zwalczają. Perspektywa publicysty jest inna niż perspektywa polityka. Dlatego mogę mieć inną opinię

niż Łukasz Warzecha. Chciałbym, żeby o wyniku wyborów decydowało kilka dziesiąt tysięcy czytelników „Do Rzeczy”. W rzeczywistości jednak o tym, kto będzie nami rządził, zaważą głosy milionów obywateli, którzy w przeważającej części tygodników opinii nie czytają. Dlatego, jako polityk, muszę trafić do szerszej grupy odbiorców niż publicysta. Pamiętam zresztą, jak w 2014 r. Łukasz Warzecha napisał nieprzychylny tekst o Kongresie Nowej Prawicy przed wyborami do euro-parlamentu. Prognozy się nie sprawdziły, a my zdobyliśmy ponad 7 proc.

A może po prostu świadomie adresujecie swój przekaz do idiotów? W końcu Korwin-Mikke tak chyba myśli o większości wyborców...

Nigdy wyborców nie nazwałem idiotami. To, że ktoś kieruje się przede wszystkim emocjami, nie oznacza, że brakuje mu inteligencji. Wszyscy ludzie są z natury nieracjonalni. Każdy, kto zajmuje się marketingiem politycznym, wie, że do wyborców, niezależnie od poziomu ich wykształcenia, dociera się przez emocje, nie przez rozum.

Zauważył pan też, że po wypowiedzi Grzegorza Brauna o „batożeniu homoseksualistów” podskoczyliście w sondażach. Żarty żartami. Jednak co, jeśli na tego typu agresywnych hasłach wygracie, a wyborcy będą od was na poważnie oczekiwać realizacji „postulatów”? Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

Szczerze mówię, że w kampanii trzeba działać na emocjach wyborców. Jednak tak samo szczerze zapewniam, że po ewentualnym uzyskaniu wpływu na rządy będziemy robić swoje – niezależnie od aktualnych oczekiwań wyborców. Będziemy konsekwentnie realizować swój program, a w nim nie znajdzie pan „batożenia” kogokolwiek. Tym się różnimy od PiS – o ile partia Kaczyńskiego natychmiast realizuje wszystko to, czego żąda elektorat, o tyle my nie wyobrażamy sobie podejmowania decyzji w oparciu o bieżące sondaże.

Jednak to trochę manipulacja. Otwarcie pan przyznaje, że co innego mówicie wyborcom, by na was zagłosowali, a co innego będziecie robić, gdy już dojdziecie do władzy.

Nie. Nikomu nie obiecywaaliśmy, że będziemy stosować jakąkolwiek przemoc. Obiecujemy natomiast, że będziemy robić wszystko, aby powstrzymać ofensywę LGBT. I zrobimy to. PiS natomiast obiecywał np., że nie będzie podnosić

podatków. I tę obietnicę ustawicznie łamię.

W oryginalny sposób przekonywał pan zwolenników PiS do głosowania na Konfederację. Pańskim zdaniem powinni oni w ten sposób uświadomić Kaczyńskiemu, że jeśli nie będzie się troszczył o prawicowych wyborców, to ich straci. Zadziałało – prezes PiS, komentując sprawę ustawy 447, twarżo i jednoznacznie zadeklarował, że Polacy nie są nikomu nic winni za II wojnę światową. Spełniliście swoją rolę, prawicowi wyborcy spokojnie mogą dalej głosować na partię Kaczyńskiego.

Oczywiście, nagłośnienie ustawy 447 to wielki sukces Konfederacji. W ciągu ostatnich kilku tygodni dostałem na prawdę mnóstwo telefonów czy wiadomości od dotychczasowych zwolenników PiS, którzy zawiedli się na tej partii i deklarują teraz chęć głosowania na nas. Cieszę się, że rządzący dostrzegli ten problem. Obawiam się tylko, że ostre słowa prezesa to zagranie pod publiczke,

czasowe metody nie zadziałały, czas na zaostrzenie retoryki.

Wasi wyborcy mają poglądy gospodarcze zbliżone raczej do Ruchu Narodowego. A przecież pod tym względem jesteście ultraliberalni. Czyli już wiadomo, o co Korwin-Mikke pokłóci się z Bosakiem i Winnickim. Jeśli od chwytliwych hasel przyjdzie do pisania poważnego programu Konfederacji, to się nie dogadacie.

To jest problem, który czeka nas w przyszłości. Jako zwolennik wolności gospodarczej ze swojej strony mogę obiecać, że jeśli już dojdzie do układania wspólnego programu, to będę twarżo bronił wolnego rynku. Postaram się nie oddać ani guzika (śmiejch).

Przy tak wielkich różnicach, o ile waszego sojuszu nie scementuje dobry wynik w wyborach europejskich, do jesieni pewnie się rozpadniecie.

Kompromis między nami jest możliwy. Dla nas ważniejsza jest gospodarka,

tę rewelację przychylnych partii rządzącej mediów, ironicznie zauważył pan, że z kolei „brat prezesa TVP pracuje dla Sorosa”. Uważa pan, że Soros jest dla Polski większym wrogiem niż Rosja?

Na pewno jest wielkim zagrożeniem dla ducha Polaków... Jednak mówiąc poważnie: z całą pewnością to, że firma, w której pracuje brat Krzysztofa Bosaka, należy do firmy, w której udziały ma jakiś rosyjski oligarcha, w żaden sposób nie obciąża Krzysztofa Bosaka. Tak samo fakt, że Jarosław Kurski pracuje w spółce, z którą związany jest Soros, nie czyni z Jacka Kurskiego marionetki Sorosa. Tego typu argumenty są absurdalne. Zresztą cieszę się, że atakują nas ludzie tak niepoważni jak Tomasz Sakiewicz czy Marian Kowalski. Trudno wymarzyć sobie łatwiejszych przeciwników.

To zrobmy test na proroczyść: Jak według Sławomira Mentzena powinny wyglądać relacje Warszawy z Moskwą?

Rosja jest jedynym państwem, które nie tylko ma możliwość, lecz także realnie bierze pod uwagę agresję militarną na Polskę. Jednak właśnie z tego powodu relacje z Moskwą powinniśmy układać w sposób rozsądny. Tak, aby bez powodu jej nie prowokować.

Nie mamy zamiaru mieć naszych wyborców, że w cudowny sposób zatrzymamy rozwój unijnego superpaństwa

motywowane jedynie kampanią wyborczą. Wszyscy pamiętamy, jak politycy PiS zarzekali się, że będą twarżo bronić nowelizacji ustawy o IPN, a następnie szybko się z niej wycofali. W wielu sprawach partia rządząca łamię swoje obietnice. Dlatego nie darzę Jarosława Kaczyńskiego zbyt wielkim zaufaniem. Konfederacja jeszcze nieraz będzie potrzebna jako narzędzie do dyscyplinowania PiS.

W czasie niedawno zakończonej kampanii wyborczej w Izraelu dobrze sprzedawały się hasła antypolskie. Pańskim zdaniem, w ramach symetrii, polscy politycy mogą sobie dziś pozwolić na retorykę antyizraelską. Jednak przecież doskonale pan sobie zdaje sprawę z dysproporcji sił. Czy nie obawia się pan, że wasze niewybredne hasła zaszkodzą Polsce? I tak mamy fatalną prasę na Zachodzie, a przez was może być jeszcze gorzej.

Przez ostatnie kilkanaście lat polscy politycy byli w stosunku do Izraela i organizacji żydowskich bardzo łagodni, a i tak mieliśmy fatalną prasę. Głaskanie po głowie okazało się nie tylko nieskuteczne, lecz także wręcz zachęciło Żydów do eskalacji roszczeń. Wciąż oskarża się nas nawet o współsprawstwo w Holokauście. Gorzej być już nie może. Dotych-

dla narodowców – sprawy społeczno-obyczajowe. Budowa wspólnego programu wydaje się czymś realnym.

Na pewno łączy was łątka rusofilów. W ostatnich tygodniach pojawiło się wiele zarzutów o pro-rosyjskie sympatie polityków Konfederacji. Nie przeszkadza panu Lilija Moshechkova, kandydatka do Parlamentu Europejskiego, która spotykała się z Nocnymi Wilkami, gościła na okupowanym Krymie, występowała w kremlowskich mediach, broniła sowieckich pomników, wreszcie: wyrażała żal po śmierci donbaskiego watażki, terrorysty znanego pod pseudonimem Giwi?

Nie znam sprawy tej pani, więc nie będę się wypowiadać. Natomiast muszę przyznać, że PiS niesamowicie inteligentnie dobrał kierunek ataku na Konfederację. Każdy inny pretekst do krytyki obróciłby się przeciwko partii Kaczyńskiego, bo za każdym razem wyszłoby na to, że jesteśmy zbyt prawicowi, czyli bardzo atrakcyjni dla wyborów PiS. Insynuacje o rzekomej prorosyjskości to już inna sprawa – prawicowy elektorat w Polsce jest przecież zdecydowanie antyrosyjski.

Brat Krzysztofa Bosaka jest dyrektorem w firmie należącej do rosyjskiego oligarchy. Komentując

Sam pan przyznaje, że Parlament Europejski nie ma na nic realnego wpływu. Pańskim zdaniem zapowiedzi PiS, że wraz z konserwatywnymi sojusznikami z innych krajów zreformuje UE, to mrzonki. Tym bardziej więc po co polski prawicowy wyborca ma głosować na dużo słabszą Konfederację? Chyba nie tylko po to, żeby usłyszeć, jak na forum Parlamentu Europejskiego Janusz Korwin-Mikke opowiada, jak było za Hitlera, a Grzegorz Braun rozpoczyna przemówienie od „Szczęść Boże”...

Nie należy nie doceniać tej frajdy z wystąpień naszych przyszłych europosłów, to naprawdę bardzo ważny argument dla wielu naszych wyborców (śmiejch). Oczywiście Konfederacja wiele w PE nie robi. Nie mamy zamiaru mieć naszych wyborców, że w cudowny sposób zatrzymamy rozwój unijnego superpaństwa. Idziemy do PE w dwóch celach. Po pierwsze, nawet jeśli ta instytucja niewiele może zdziałać, to jest bardzo medialna. Chcemy mieć możliwość głoszenia naszych postulatów. Po drugie, osiągając dobry wynik w maju, znacząco zwiększamy szanse na wejście do Sejmu jesienią. To jest nasz prawdziwy cel. Jeśli dostanę się do PE, to jesienią i tak wybiorę krajowy parlament.



POD WĄS

Nad Dunajem

IGOR ZALEWSKI

W małej serbskiej wiosce Vinci zasiedliśmy wieczorem do kolacji.

W kafanie, czyli gospodzie. Ledwo podano nam zupełną rybą, a rozpętała się straszliwa burza (zdaje się, że weekend majowy wszędzie był podobny). Po kilku grzmotach w knajpie zgasło światło. Nie tylko w niej. Ciemności zapanowały w całej wsi.

Kelner po chwili przyniósł nam świeczki i zauważył filozoficznie dobrym angielskim: – Tam za rzeką – tu machnął ręką w stronę Dunaju – jest Rumunia. Jak widzicie, tam jest światło. Zawsze jest. A u nas wystarczy mały deszcz i zaraz robi się ciemno.

Zabawne, że w roku 2006 jechałszy (nasz syn był dopiero w planach) wzdłuż Dunaju po rumuńskiej stronie. Infrastruktura była wówczas w Rumunii w opłakanym stanie. Szosa, którą podróżowaliśmy, czasem po prostu znikła, płynnie przechodząc w zwirowe klepisko. Serbia na tym zacofanym tle prezentowała się bardzo solidnie. W Belgradzie straszły jeszcze gdzieniedzie ruiny po NATO-wskich bombardowaniach, a hoteli było tyle co kot napłakał, bo jeszcze niewielu cudzoziemców chciało posmakować pleskavicy. Jednak w porównaniu z dość dziką Rumunią Serbia prezentowała się bardzo europejsko. W Rumunii nas oszukiwali ciągle, w Serbii – ani razu.

Dzisiaj te relacje może nie tyle się odwróciły, bo trudno o wspanialsze miasta niż tętniący życiem Belgrad czy urokliwy Nowy Sad, ile

wyrównały. Dzisiaj to po serbskiej stronie Dunaju gaśnie światło, a droga trzyma polski standard z roku 1997. Rumunia zaś wykonała niesamowity skok. W knajpach już nie oszukują, drogi są gładkie i nie znikają, a młodzi ludzie masowo mówią po angielsku. Rumunia nie jest już zaścianiem Europy, choć my w Polsce mamy skłonność, by wciąż ją tak postrzegać (ostatnio widziałem jakieś badania, z których wynika, że Rumuni to jedna z najgorzej przez nas postrzeganych nacji, co jest kompletnie bez sensu).

W Serbii można spotkać wielu turystów z Rumunii i to nie dlatego, że mają tu lepszą kuchnię. Serbia jest po prostu dla Rumunów dość tanim krajem, co dobitnie pokazuje, że tradycyjna bałkańska hierarchia została wywrócona. Skąd się wziął ten cywilizacyjny awans Rumunii? Oba kraje są prawosławne, a społeczeństwa przedsiębiorcze. Różni je jedno: Serbia nie jest w Unii Europejskiej, a Rumunia owszem.

Kiedy człowiek codziennie obcuje z obsesyjnymi wypowiedziami Timmermansa, do którego od święta dołącza Macron, to dość łatwo zapomina, że to i owo Unii Europejskiej zawdzięczamy. I dopiero trzeba burzy nad Dunajem, żeby to sobie uświadomić.

Aha, a nad Dunaj przyjechaliśmy, żeby obejrzeć zjawiskowy zamek w Golubacu. W jego obronie poległ w roku 1428 Zawisza Czarny. Nasza ambasada zrobiła w fortecy świetną wystawę na ten temat. ©©



KRÓTKO PO WOLSKU

Powrót do przyszłości

MARCIN WOLSKI

Podróż kształcą, szczególnie wtedy, gdy przypominają wycieczkę wehikułem czasu. Do takich należał wyjazd w długi weekend na współczesną Ukrainę. Dla miłośnika historii możliwość zobaczenia twierdz w Chocimiu i Kamieńcu Podolskim, wraz z modlitwą przy autentycznym grobie Wołodyjowskiego, to nie lada gratka. Równie fascynująca jest próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, dlaczego siedemdziesiąt parę procent Ukraińców zagłosowało na wielką niewiadomą, komika obsadzonego w roli prezydenta. Najkrótsza odpowiedź brzmi: z rozpaczy. Z dodatkiem nadziei, żeby zmienić cokolwiek, a może zmienić się wszystko.

Ukraina dziś to dobry przykład państwa istniejącego teoretycznie. Widać wysiłki ludzi, aby poprawić swoją egzystencję, mnóstwo jest sklepików, nie brak hoteli, restauracji, słowem – tego wszystkiego, co można zrobić samemu. Nie brak również ofiarności, świecące nowością złote kopuły cerkwi spotyka się co krok. Ogrom bezwładu i korupcji widać za to po drogach. Te są gorsze niż w Gwinei Bissau, nie mówiąc już o Senegalu. To już nie dziury w drodze, lecz skrawki drogi między dziurami. Nie lepszy jest stan domów, najwyraźniej pozbawionych właścicieli. I trudno zwalić to na wojnę.

Kołomyjka wygląda tak, jak zostawili ją przedwojenni właściciele (głównie Żydzi), i przez 80 lat nikt nią się nie interesował... Może i lepiej, bo kiedy się to wreszcie

odnowi, efekty mogą być jak na lubelskiej starówce, która z paskudnego slumsu z lat 80. zmieniła się w turystyczne cacko. W magicznym ongiś Truskawcu (ponoć najbardziej udanym uzdrowisku II Rzeczypospolitej) widać i pieniądze, i inwestycje budowlane. Efekt – cudowne drewniane wille rozdeptane przez betonowe paskudztwa. Nie sposób odnieść wrażenia, że po upadku komunizmu, gdy Polska i inne demokracje gwałtownie rzuciły się gonić Europę, tu wszystko stało się,

Dobry przykład państwa istniejącego teoretycznie

ugrzezło w atmosferze rodem z Kafki czy Brunona Schultza. Tyle że w jego sklepach cynamonowych w Drohobyczu nie ma cynamonu.

Jeszcze gorzej i beznadziejniej wygląda wszystko w Mołdawii, prezentującej się jak kolejny kraj bez właścicieli. Zaskakujące – nigdy nie przypuszczałem, że wyjazd do Rumunii będzie przeskokiem do lepszego i zasobniejszego świata Zachodu. Czy jest to wyłącznie zasługa przynależności do Unii Europejskiej, czy słabszy udział mentalności postsowieckiej w głowach mieszkanców?

I czy przełomu dokonają na Ukrainie wszechobecne pomniki Stefana Bandery? Jedno jest pewne, Trzeci Świat mamy ciągle za graniczną miedzą. ©©

Po sukcesie, jakim był szczyt NATO w Warszawie, trzeba rozwijać zapoczątkowaną z USA współpracę militarną i przekształcać ją we współpracę gospodarczą oraz polityczną, czyli w sojusz wielowymiarowy. W relacjach z USA po pierwsze trzeba dopiąć sprawę stacjonowania baz amerykańskich w Polsce. Tutaj warto nie tylko negocjować z Pentagonem. Potrzebny jest także lobbing w Kongresie, z think tankami, wśród firm budujących amerykańskie bazy na świecie itp.

Po drugie, trzeba naciskać na wsparcie współpracy gospodarczej z Polską ze strony amerykańskiej administracji. Postulować np., by każda z 200 największych amerykańskich firm zainwestowała w Polsce po 200 mln dol.

Po trzecie, należy wykorzystywać zakupy uzbrojenia i gazu, czyli duże kontrakty wieloletnie, do pozyskiwania poparcia politycznego dla Polski, do pozyskiwania inwestorów i linii kredytowych, do pozyskiwania nowych technologii, np. SMR, czyli małych reaktorów nuklearnych. Dzisiaj dyplomacja ma charakter transakcyjny, a nie ideologiczny.

ZREORIENTOWANY BERLIN

Jeżeli chodzi o relacje z Niemcami, to mamy problem. Wynika z tego, że Berlin dokonał reorientacji w swej polityce zagranicznej – nie przyjął do wiadomości, że USA w czasie kadencji Obamy wycofały się z resetu z Rosją. Dla Berlina Rosja jest dalej przede wszystkim partnerem do robienia biznesu, a nie zagrożeniem. Jednym słowem: Niemcy formalnie są za sankcjami wobec Rosji, lecz w rzeczywistości rozwijają współpracę z nią, budują tam fabryki samochodów, sprzedają turbiny do elektrowni i sprzęt wojskowy, dalej budują Nord Stream. Natomiast Polska podziela diagnozę USA, że Rosja jest zagrożeniem dla Europy, bo łamie prawo międzynarodowe, bo jej polityka zagraniczna uległa militaryzacji.

Politycy niemieccy podkreślają, że różnią się z USA praktycznie we wszystkich kwestiach, takich jak Iran, Nord Stream, klimat, cła, wydatki obronne, Syria, Chiny itp. Ta polityka Niemiec będzie trwała co najmniej do chwili, aż w Berlinie nastąpi zmiana kanclerza. Do tego czasu nasze relacje z Niemcami będą trudne. Jednak Polska nie ma wyboru. Bezpieczeństwo jest dla



Jan Parys

Przy okazji wyborów do Parlamentu Europejskiego warto spojrzeć na sytuację Polski w relacjach z USA, Niemcami, UE, Chinami i Rosją

Wyzwania międzynarodowe



FOT. ANDRZEJ STOK

nas sprawą egzystencji państwa i nie możemy tak jak Niemcy przyjąć spraw handlu jako priorytetu polityki zagranicznej. Polska musi przekonywać inne państwa UE, że sojusz z USA jest ważniejszy niż handel z Rosją.

KOMISJA OD NOWA

Obecne wybory do Parlamentu Europejskiego mogą przynieść zmianę układu sił w Unii. Gdy nie będzie w UE Wielkiej Brytanii, zmieni się dotychczasowa siła głosu poszczególnych państw. Będą negocjacje Rady Europejskiej w sprawie wyboru przewodniczącego Komisji i sześciu wiceprzewodniczących, w tym dwóch ważnych – do spraw zagranicznych oraz do spraw praworządności. Polska winna lansować opinię, że cała obecna Komisja ze względu na efekty swej pracy powinna odejść, bo obywatele oczekują prawdziwej zmiany i nowej polityki UE, a nie starych twarzy. Co więcej, aby Komisja odzyskała autorytet, potrzebuje ludzi z osobowością, a nie miernych urzędników.

Wiadomo, że jest potrzebna powszechna zgoda na wybór przewodniczącego. W tej chwili Manfred Weber jest kandydatem Niemiec i EPP. To dla Polski zła kandydatura. To człowiek znany z agresywnych antypolskich wystąpień. Nie ma poważnego doświadczenia politycznego, nigdy nie był kanclerzem ani nawet ministrem. Trudno więc sobie wyobrazić, by mógł sprawnie kierować pracami Komisji.

Kandydatura polityka z Niemiec z kręgu Merkel gwarantuje jedno – pogorszenie relacji Unii z USA. Nie ma powodu, by Polska takiego kandydata popierała. Jeżeli już ktoś taki ma być wybrany, to przynajmniej wiceprzewodniczący Komisji powinien mieć dobre relacje z USA.

Trzeba także otwarcie mówić, że motor niemiecko-francuski w UE zawiódł. Przez politykę kanclerz Merkel doszło do kryzysu migracyjnego, do brexitu, do ochrony interesów Gazpromu w Unii.

Natomiast Francja celuje w prounijnej retoryce, lecz w rzeczywistości jest zainteresowana jedynie własnymi interesami. Mówi o wolnym rynku, a wymusza praktyki protekcyjnistyczne dla ochrony własnej niewydajnej gospodarki. Mówi o wspólnej obronie, a nie chce rozmawiać o zagrożeniach ze Wschodu. Mówi o demokracji, a jest przykładem państwa, które doprowadziło do kompromitacji własnego ustroju.

Zatem na motor francusko-niemiecki przy obecnych politykach w Berlinie i Paryżu nie można liczyć, bo wpędza Unię w kolejne kryzysy.

Unia potrzebuje lepszej polityki, a nie kontynuacji. Warto położyć nacisk na przestrzeganie traktatu przez Komisję, czyli poszanowanie jego litery i tym samym poszanowanie pozycji państw członkowskich, bo niedopuszczalne jest kierowanie się przez Komisję ideologią lub interesami partykularnymi. UE powinna uczyć się od innych organizacji, takich jak ONZ i NATO. W pierwszej jest prawo weta, a każdy kraj ma jeden głos, w drugiej obowiązuje konsensus. W UE obserwujemy teraz tendencje do odejścia od takich sprawdzonych praktyk. Tymczasem przy braku w UE zgody jest możliwa w ramach traktatu dobrowolna współpraca zainteresowanych państw. Każdy nacisk na centralizację lub decyzje większościowe w UE doprowadzi do osłabienia Unii. Pomysł federacji został odrzucony w referendum i trzeba tę decyzję szanować. Bardzo ważne jest przestrzeganie równości państw, bo jeżeli naruszane jest równe traktowanie państw, to znaczy, że nie ma demokracji wewnątrz UE. Trzeba także zapisać, że priorytetem dla nowej Komisji jest rozwój gospodarki, a zwłaszcza dziedzin nowoczesnych, bo dzięki temu zmniejszymy bezrobocie. Komisja nie może się zajmować budową superpaństwa ani zwalczaniem państw członkowskich. Ma im służyć pomocą, kiedy o to proszą. Komisja nie jest radą nadzorczą wobec państw. Nowa Komisja powinna otrzymać pewne zadania na piśmie od Rady Europejskiej – co przez pięć lat ma robić, co jej wolno. Mieszkańcy UE muszą się przekonać, że ich premierzy wyciągają wnioski z obecnej nieudanej kadencji Komisji.

CHINY JAKO MOCARSTWO

Na Chiny nie można dziś patrzeć wyłącznie jako na partnera gospodarczego. Polityka Pekinu to także polityka mocarstwa, które buduje swoje wpływy na świecie. USA postrzegają Chiny jako rywala gospodarczego i politycznego. Skoro opieramy się na sojuszu z USA, to nie możemy wobec tej rywalizacji zajmować pozycji neutralnej. Na przykład w kwestii technologii 5G należy wykazać stosowanie chińskich rozwiązań nie tylko w sektorze obronności, lecz także na terenie całej tzw. infrastruktury krytycznej, bez której obronność państwa nie istnieje. Kraje UE trzeba

przekonywać, że sama Unia jest zbyt słaba technologicznie i finansowo, by podjąć rywalizację z Chinami – potrzebuje współpracy z USA.

W stosunkach z Rosją mamy stagnację. Polskie MSZ czeka na rewizytę rosyjskiego wiceministra spraw zagranicznych, by kontynuować dialog i rozwiązywać problemy bilateralne. To decyzją najwyższych władz Rosji dialog z Polską, nawet na tym poziomie technicznym, jest zamrożony. Rząd PiS rozpoczął swą akcję dyplomatyczną od wysłania delegacji do Moskwy. To nie spotkało się z pozytywnym gestem z drugiej strony.

Rosyjska polityka zagraniczna już parę lat temu weszła w fazę militaryzacji. W rezultacie Polska z pozycji sąsiada stała się głównym krajem flanki wschodniej sojuszu. W Polsce Rosja jest postrzegana głównie jako zagrożenie.

Im dłużej będzie trwał obecny stan zawieszenia kontaktów politycznych

**Dyplomacja rosyjska
ponosi odpowiedzialność
za to, że postępuje
amerykanizacja polityki
Warszawy**

Rosji z Polską, tym bardziej Warszawa będzie zbliżać się do USA. Jednym słowem dyplomacja rosyjska ponosi odpowiedzialność za to, że w Polsce dla współpracy z USA nie ma alternatywy i postępuje amerykanizacja polityki Warszawy.

Rosyjska polityka wobec państw zachodnich, w tym Polski, budzi zdziwienie. Władza Putina to bowiem okres największej klęski polityki Moskwy od 1920 r. To na tle rozwoju potęgi Chin widać ogromne marnowanie potencjału Rosji i regres jej pozycji w świecie.

Wybory do Parlamentu Europejskiego nie zmieniają naszej pozycji w świecie. Problemy Polski w relacjach międzynarodowych pozostaną. Wybory te mogą nam jednak pomóc, gdy powstanie bardziej racjonalnie działająca Komisja Europejska, a skład europarlamentu stanie się bardziej politycznie zrównoważony.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest socjologiem, publicystą, byłym ministrem obrony narodowej.



Grzegorz Majchrzak

W 1983 r. Biuro Paszportów MSW wydało postanowienie o wpisaniu Jacka Kaczmarskiego, jako cudzoziemca o nieustalonym obywatelstwie, do indeksu osób niepożądanych w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

Jacek Kaczmarski na celowniku Służby Bezpieczeństwa znalazł się jeszcze pod koniec lat 70., oczywiście z powodu swojej twórczości. W maju 1978 r. jego osobą zainteresował się Wydział III Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej. Był to efekt informacji z Komendy Wojewódzkiej MO w Krakowie o jego gościnnym występie w tym mieście na początku kwietnia tego roku. Kaczmarski w jego trakcie zdaniem esbeków „zaprezentował szereg utworów o charakterze kontestatorskim, w których w sposób negatywny i ironiczny wypowiadał się na temat stosunków polsko-radzieckich, rzekomego odstawiania współczesnego pokolenia młodych twórców na boczny, ślepy tor”. Warszawska SB postanowiła, że zostanie on poddany „kontroli operacyjnej” w ramach sprawy operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie Idol. Celem Służby Bezpieczeństwa było potwierdzenie lub też wykluczenie „jego udziału w negatywnej działalności politycznej na terenie Uniwersytetu Warszawskiego i poza nim”. W ramach tej sprawy przeprowadzono m.in. (26 listopada 1978 r.) rozmowę operacyjną z Jackiem Kaczmarskim. W końcu 14 grudnia – w związku z rzekomym niepotwierdzeniem danych o jego „negatywnej działalności politycznej” – zdecydowano się na zakończenie SOR „Idol”.

BARD NA CELOWNIKU

Dwa lata później Andrzej Sawosz (esbek, który pod koniec listopada przeprowadził z nim rozmowę) złożył raport o zgodę na zarejestrowanie piosenkarza jako kontaktu operacyjnego, co uzasadniał potrzebą „rozszerzenia sieci kontaktów operacyjnych” na UW. Jego przełożeni wyrazili zgodę. Co więcej, piosenkarz miał – w grudniu 1978 r. – rzekomo zgodzić się „na utrzymywanie kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa oraz udzielanie SB pomo-



FOT. ANDRZEJ ŚWIELIK/PRGUM

Kaczmarski – persona non grata

cy”. Ta informacja nie znajduje potwierdzenia w aktach. Z zachowanej ewidencji operacyjnej bezpieki wynika jedynie, że przeprowadzono z nim 22 grudnia 1978 r. „rozmowę ostrzegawczą”. Jeśli nawet jednak miał coś wówczas zadeklarować, to nie zamierzał się z tego wywiązywać. Jak bowiem stwierdził 26 marca 1980 r. inspektor Wydziału III KS MO A. Tucholski we wniosku o złożenie materiałów kontaktu operacyjnego pseudonim JK (czyli Jacka Kaczmarskiego) do archiwum: „Od tego jednak czasu [...] mimo planowanych terminów nie przychodził na spotkania oraz unikał kontaktów z SB”. Dzień później przełożeni Tucholskiego wyrazili zgodę.

Bezpieka zbierała o Kaczmarskim kolejne informacje, m.in. przy okazji takich imprez jak I Przegląd Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki”, który odbył się w dniach 20–22 sierpnia 1981 r. w gdań-

skiej Hali Olivia. Jednak esbecy nie zaliczyli Kaczmarskiego do grona artystów, których zachowanie miało być szczególnie wrogie. Czyżby przeoczyli to, na co byli uczuleni, czyli akcenty antyradzieckie w jego utworach?

Z pewnością nie mogła się też funkcjonariuszom SB podobać aktywność piosenkarza po wprowadzeniu stanu wojennego. 13 grudnia 1981 r. przebywał on na tournée we Francji, gdzie notabene wyjechał – przynajmniej oficjalnie – aby wziąć udział w koncercie galowym z okazji kongresu Francuskiej Partii Socjalistycznej, i po wprowadzeniu stanu wojennego postanowił do Polski nie wracać. A co gorsza, regularnie prezentował „antysocjalistyczną postawę”, występując przed mikrofonami Radia Wolna Europa. Solidnie w ten sposób zapracował na retorsje ze strony PRL-owskich władz. A że te nie za bardzo miały

inną możliwość, postanowiły, że ukarzą go zakazem wjazdu do PRL. 15 września 1983 r., czyli niespełna dwa miesiące po zniesieniu stanu wojennego, zostało wydane przez Biuro Paszportów „postanowienie o wpisaniu cudzoziemca do indeksu osób niepożądanych w PRL”. W uzasadnieniu tego kuriozalnego postanowienia stwierdzano m.in.: „Należał do kręgu radykalnych działaczy »Solidarności« Regionu Mazowsze [...] po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce odmówił powrotu do kraju. Podjął aktywną działalność w ścisłym kierownictwie tzw. Komitetu Koordynacyjnego Związku »Solidarność« we Francji [zapewne chodzi o paryski Komitet Poparcia Solidarności, którego w grudniu 1981 r. był współzałożycielem, a później wchodził w skład jego pięcioosobowej rady – przyp. G.M.]. Udziela licznych wywiadów, organizuje liczne imprezy estradowe dyskredytujące politykę wewnętrzną naszych władz. Od listopada 1982 r. związał się z Rozgłośnią [Polską] R[adia] W[olna] E[uropa]. Wydał książkę »Wiersze i piosenki«, która jest zbiorem jego dotychczasowej działalności literackiej i politycznej”. Wpisanie piosenkarzowi „nieustalonego obywatelstwa”, choć wydaje się kuriozalne, było głęboko przemyślanym krokiem i miało na celu uniemożliwienie mu wjazdu do PRL „na paszporcie obcym”. Co ciekawe – jak wynika z zachowanej dokumentacji – nie przekreślono mu możliwości powrotu do kraju na podstawie polskiego paszportu. Inna sprawa, że zapewne dawno on już stracił ważność. Być może zatem chodziło o to, żeby uniemożliwić mu ponowny wyjazd z PRL – jako uciekinier nie miał co liczyć w najbliższym czasie na potrzebną na to zgodę.

Jackowi Kaczmarskiemu pamiętano też, że jeszcze przed Sierpniem '80: „Prezentowany przez niego repertuar miał charakter kontestacyjny i zawierał negatywne akcenty polityczne”. Wypominano mu również, że w sierpniu 1981 r. był jednym z laureatów I Przeglądu Piosenki Prawdziwej, „imprezy mającej charakter antypaństwowy i antyrządowy”. Nie zapomniano oczywiście także o jego zaangażowaniu politycznym za granicą, po wprowadzeniu stanu wojennego.

Zarzucano mu, że od listopada 1982 r. „prowadził cykliczne audycje” w RWE pt. „Kwadrans Jacka Kaczmarskiego”, w których to – jak stwierdzali „fachowcy” z MSW – „w sposób zdecydowanie wrogi ocenia zachodzące w naszym kraju przemiany”. Ta jego „wroga działalność” była

zresztą powodem zainteresowania się nim (co najmniej od lutego 1983 r.) Wydziału XI Departamentu I MSW, który w latach 80. rozpracowywał i prowadził działania przeciwko solidarnościowej emigracji. Niestety, nie wiemy, jak te działania w przypadku Kaczmarskiego wyglądały, gdyż akta dotyczące jego rozpracowania, tzw. materiały wstępne, się nie zachowały. Nie wiemy też, do kiedy wywiad prowadził działania przeciwko piosenkarzowi.

Bezpośrednim impulsem, „kroplą, która przelała czarę goryczy” i spowodowała wpisanie Jacka Kaczmarskiego do indeksu osób niepożądanych w PRL, była wydana w 1983 r. przez Instytut Literacki jego książka pt. „Wiersze i piosenki”. Jej omówieniu poświęcony był załącznik do „Informacji Diennej MSW” z 25 lipca 1983 r. przeznaczony dla kilku (dziwięciu) najważniejszych osób w PRL, na czele z pierwszym sekretarzem KC PZPR i premierem Wojciechem Jaruzelskim. To właśnie na niej znajduje się odręczna adnotacja – decyzja z 31 lipca 1983 r. o wpisaniu go do tego indeksu. W załączniku tym polemizowano z oceną tomu wybitnego poety Jacka Biereżina (autora przedmowy do niego), który stwierdzał, że fenomen Kaczmarskiego polega na tym, iż jako pierwszy „zjednoczył pokolenia” i w efekcie „z równą żarliwością” słuchają go bohaterowie II wojny światowej, młodzie i starzy, chłopci, robotnicy i profesorowie czy „chłopcy” z Niezależnego Zrzeszenia Studentów. „Z analizy tekstów [...] wynika, że faktycznie autor jest »fenomenem« i to wielkim, ale w tworzeniu i szerzeniu wrogości wobec rodzimej historii, ustroju, rządu, wobec ZSRS i wobec wszystkiego co może dotyczyć Polski Ludowej” – stwierdzano.

SZEŚĆ LAT NA INDEKSIE

Autorowi (autorom) tego dokumentu, przeznaczonego dla tak wąskiego grona odbiorców, szczególnie nie przypadły do gustu „Mury”, uznawane za nieformalny hymn Solidarności. Ich tekst miał być ponoć „pełen nienawiści, wrogości”, a nawet nawoływać do przewrotu. Najbardziej nie spodobał się refren „Murów”, który został uznany za szczególnie mocny w wymowie. Na taką, a nie inną ocenę wpływało to, że utwór ten stał się nie tylko protestem songiem, lecz także sygnałem wywoławczym podziemnego Radia Solidarność.

Lista zarzutów wobec Kaczmarskiego była dłuższa. Zarzucano mu, że w swych tekstach „nawołuje do nienawiści, uczy

nienawidzić”, a także prosi o wytrwanie w niej, gdyż uznaje, że „nienawiść jest teraz ludziom potrzebna” i ma posłużyć zbudowaniu nowego, lepszego świata. Jego utwory (np. „Manewry”, „Nie lubię”, „Starzy ludzie w autobusie” czy „Świadek”) uznano też za „wyjątkowo brutalnie” atakujące „przedstawicieli rządu, ustrój. Służbę Bezpieczeństwa. Z[motoryzowane] O[dwody] M[ilicji] O[bywatelskiej]”. Krytykowana była również „Kołysanka”, która została uznana za próbę „wyciszenia czytelnikowi też”, doprowadzenia go do „buntu i nienawiści” wobec tych, którzy internowali rodziców jej bohaterów – dzieci: „małych, biednych, obszarpanych, z krwawiącymi sercami”. Za „wyjątkowo wulgarne, przepełnione nienawiścią” uznano z kolei piosenkę „Koncert fortepianowy” i „Zbroja”. W przypadku tego drugiego utworu nie podobało się również, że – jak stwierdzano – stara się dodawać wiary, siły i otuchy „bojownikom lepszego jutra”. W tym przypadku zapewne uznano, choć nie napisano tego wprost, że ta piosenka z kwietnia 1982 r. zagrzewa działaczy opozycji do oporu wobec stanu wojennego. Nie spodobało się nawet „Epitafium dla Brunona Jasińskiego”, jako utwór „pokazujący bankructwo życia komunisty”.

Jacek Kaczmarski na indeksie osób niepożądanych pozostawał przez ponad sześć lat – wniosek o wykreślenie go z niego złożono dopiero 3 stycznia 1990 r., czyli ponad cztery miesiące po tym, jak pierwszym niekomunistycznym premierem został Tadeusz Mazowiecki. Najprawdopodobniej był to efekt panującego w PRL bałaganu, bo Departament I MSW, wnioskujący o umieszczenie go na nim, już od ponad roku (dokładnie od połowy listopada 1988 r.) nie wnosił zastrzeżeń co do jego przyjazdu do kraju. I to mimo że jego zaproszenie (sygnowane przez znany studencki klub Hybrydy oraz Zrzeszenie Studentów Polskich) było uzasadniane „spełnieniem nadziei na szerszy kontakt emigracji z odradzającym się społeczeństwem”... W każdym razie działania w celu zmiany statusu piosenkarza – osoby non grata w PRL – podjęto dopiero 20 grudnia 1989 r., w związku z – jak to stwierdzano – „weryfikacją indeksu osób niepożądanych”. Od 1990 r. piosenkarz często przebywał i koncertował w Polsce. W 1995 r. wyjechał do Australii – była to jednak zupełnie inna emigracja niż ta wymuszona stanem wojennym. Ale to już całkiem inna historia.

O biskupie krakowskim

Poniższy list naszego Czytelnika dotyczy felietonu Jacka Komudy „Jedźmy na hops!” opublikowanego w „Do Rzeczy” nr 16/2019. Publikujemy go w całości wraz z odpowiedzią autora felietonu.

Szanowni Państwo, przeczytałem z zainteresowaniem krótki tekst Jacka Komudy w świątecznym numerze tygodnika, poświęcony osobie biskupa krakowskiego Zawiszy z Kurozwęk h. Poraj. Niestety z przykrością muszę stwierdzić, że roi się w nim od nieścisłości i ewidentnych błędów. Jest to tym bardziej niepokojące, że tygodnik „Do Rzeczy” stara się uchodzić za pismo dbające o kulturę historyczną. Ale ad rem, zacznę od spraw drobniejszych:

1. Król nie mógł Zawiszy mianować biskupem, bo przecież królowie nie mianowali biskupów!!!

2. Zawisza podkanclerzym został jeszcze w 1370 r., bo jako sprawujący ten urząd pojawił się już 1 stycznia 1371 r.

3. Kanclerzem krakowskim nie został w 1372 r., ale dopiero w roku 1374, kiedy urząd ten opuścił Janusz Suchywilk h. Grzymała, by później zostać arcybiskupem gnieźnieńskim.

4. Zawisza nie został „mianowany na stanowisko vicariusia Regni Poloniae” (po co udawać łacinę, lepiej napisać wikariusza Królestwa Polskiego), tylko stanął na czele kolegium wikariuszy, złożonego z pięciu dostojników: Zawiszy z Kurozwęk, Sędziwoja z Szubina, Dobiesława z Kurozwęk, Jana Radlicy i Domarata z Pierzchna.

5. Zawisza więc nie mógł sprawować niepodzielnej władzy i takiej nie sprawował nigdy.

6. Zawisza nie doprowadził do wygnania Janka z Czarnkowa, tylko zrobił to sąd komisarski, złożony z urzędników wielkopolskich, którzy skazali Janka na banicję za wykradzenie insygniów królewskich z grobu Kazimierza Wielkiego – do czego Janko się przyznał.

7. „Zawisza trzymał cugle władzy mocno, co nie podobało się feudalnym panom”. Co to znaczy? Tym bardziej że w Polsce nie było czegoś takiego jak feudalizm zachodnioeuropejski.

No i teraz trochę grubsze sprawy:

1. Zawisza nie mógł rozpocząć budowy nowej katedry w Poznaniu, bo przecież był biskupem krakowskim!!!

2. Nie budował rezydencji w Głównie i nie stawiał murów w mieście Słupcy, bo robił to jego polityczny kompan Mikołaj z Kurnika, biskup poznański, o którym, owszem, pisze również Janko z Czarnkowa w swojej kronice, przy okazji obszernego rozdziału poświęconego Zawiszy. Trudno zrozumieć, jak można, czytając ten fragment kroniki, nie zauważyć, że nie wszystko tam odnosi się do osoby Zawiszy.

3. Ma to swoje konsekwencje, bo opis straszliwych męk przedśmiertnych, których miał doznawać Zawisza w związku z chorobą nowotworową, odnosi się także do osoby biskupa poznańskiego Mikołaja z Kurnika.

Szkoda, że w tak krótkim tekście znalazło się tak dużo błędów, które teraz będą powielane przez nieświadomych czytelników. Niestety czasami czytają to tacy jak ja, którzy trochę na ten temat wiedzą.

Z ukłonami

Andrzej Marzec, Instytut Historii
Uniwersytetu Jagiellońskiego

ODPOWIEDŹ AUTORA

Król nie mógł Zawiszy mianować biskupem, bo przecież królowie nie mianowali biskupów!!!

Oczywiście, że królowie mogli mianować biskupów, i dziwię się, że taki szczegół umyka pańskiej uwadze. Być może użyłem skrótu myślowego, do czego wszakże uprawnia mnie formuła popularnonaukowego felietonu, jednak fakt pozostaje faktem – władcy wielokrotnie wskazywali i osadzali na biskupstwach swoich kandydatów. Jednym z nich był np. św. Stanisław ze Szczepanowa mianowany

biskupem przez Bolesława Śmiałego, co można sprawdzić sobie choćby w jego biogramie autorstwa Stanisława Trawkowskiego, w tomie XLII „Polskiego słownika biograficznego”. W późniejszych wiekach dochodziło oczywiście do konfliktów na tle tego, kto ma prawo przedstawiać własnych kandydatów na wspomniany urząd – król, kapituła czy papież. Wszystko zależało zaś od tego, która ze wspomnianych stron okazywała się silniejsza. W kapitule płockiej np. wyboru biskupa dokonywała sama kapituła, jednak każdy elekt musiał uzyskać akceptację księcia mazowieckiego, króla Polski i oczywiście papieża. W 1357 r. papież Innocenty wyznaczył na biskupstwo dominikanina Bernarda, co wzbudziło sprzeciw Kazimierza Wielkiego. Dopiero po królewskich interwencjach w 1363 r. Urban V przyznał biskupstwo elektowi króla, którego popierała także kapituła. Aby przekonać się, jak królowie i książęta wyznaczyli



Zawiszy

i forsowali swoich kandydatów, wystarczy przyjrzeć się elekcji biskupa kujawskiego w 1425 r., kiedy książęta mazowieccy Witold i Siemowit wyznaczyli Stanisława Pawłowskiego i po przekonaniu króla preforsowali bez przeszkód własnego kandydata na biskupstwo. Szerzej można przeczytać o tym choćby w szkicu Piotra Chojnackiego „Biskupi płocki w drugiej połowie XV i na początku XVI wieku” („Studia Płockie”, nr 30, rok 2002).

W przypadku biskupstwa krakowskiego wszystko zależało od siły i przebiegłości króla, papieża i samego kandydata, a najmniej od samej kapituły – chyba że władca nie zgłaszał sprzeciwiów. Bodzeta, który niejako sam mianował się biskupem wbrew woli Kazimierza Wielkiego, został praktycznie pozbawiony wpływów przez króla, i to pomimo rzucenia na władcę ekskomuniki. Od czasów zresztą Kazimierza Wielkiego upowszechniła się praktyka,

że król może zgłaszać i popierać własnych kandydatów na biskupstwo. Zawisza z Kurozwęk został biskupem krakowskim dzięki poparciu Ludwika Węgierskiego, tak samo dzięki poparciu Andegawenów biskupem poznańskim został Jan Kropidło.

Zawisza nie został „mianowany na stanowisko vicariusia Regni Poloniae” (po co udawać tacinę, lepiej napisać wikariusza Królestwa Polskiego), tylko stanął na czele kolegium wikariuszy, złożonego z pięciu dostojników: Zawiszy z Kurozwęk, Sędziwoja z Szubina, Dobiesława z Kurozwęk, Jana Radlicy i Domarata z Pierzchna. Zawisza zatem nie mógł sprawować niepodzielnej władzy i takiej nie sprawował nigdy.

„Disce puer latine, ego te faciam mości panie” – powiedział pewien wielki król, więc znaj, mospanie, proporcje i wyczuwaj prawdziwe realia polityczne, które są zupełnie różne od stanu prawnego. Zawisza formalnie stał na czele kolegium, podczas gdy naprawdę był drugą osobą w królestwie, podobnie jak kardynał Richelieu był formalnie pierwszym ministrem króla Francji Ludwika XIII, a przecież nikt nie wątpił, że tak naprawdę to on sprawuje rządy. Wikariusz Królestwa Polskiego oznaczał bowiem tak naprawdę zastępcę króla, a więc de facto drugą po nim osobę w państwie, w czasie nieobecności pełniącą obowiązki monarchy. Dowodem tego choćby to, że w późniejszych czasach i za sprawą Jagiełły godność wikariusza zmieniała się w interrex, który rządził w czasie bezkrólewia.

Zawisza nie doprowadził do wygnania Janka z Czarnekowa, tylko zrobił to sąd komisarzy, złożony z urzędników wielkopolskich, którzy skazali Janka na banicję za wykradzenie insygniów królewskich z grobu Kazimierza Wielkiego – do czego Janko się przyznał.

Oczywiście, tyle że sąd wydał wyrok pod wpływem Zawiszy, który był głównym wrogiem Janka i sprawcą tegoż właśnie sądu. W tamtym czasie nikt w królestwie nie miał wątpliwości, że za tym wszystkim stał biskup krakowski wraz ze swoimi poplecznikami.

„Zawisza trzymał cugle władzy mocno, co nie podobało się feudalnym panom”. Co to znaczy? Tym bardziej że w Polsce nie było czegoś takiego jak feudalizm zachodnioeuropejski.

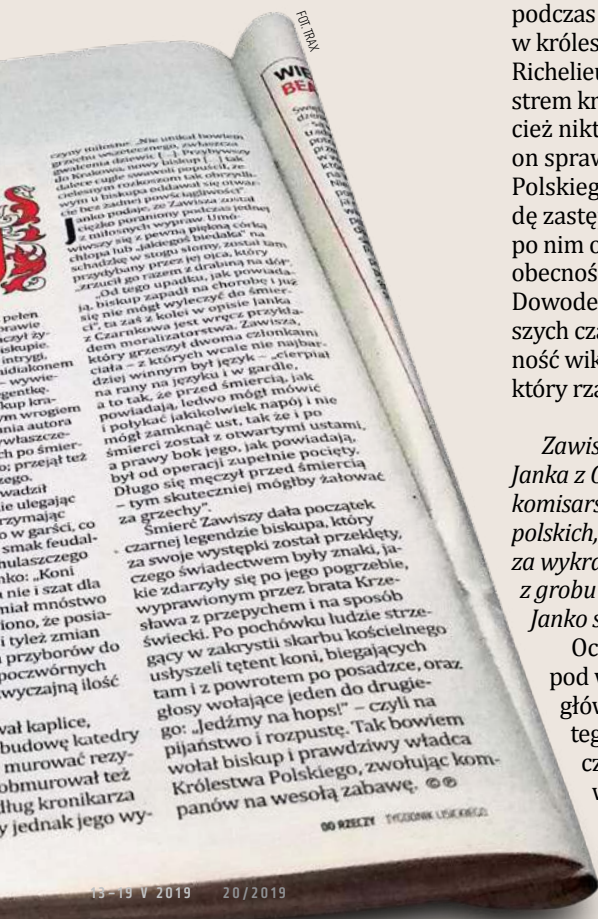
Jaki w takim razie feudalizm panował w Polsce w czasach biskupa Zawiszy? Moskiewska monarchia patrymonialna, opisana przez Richarda Pipesa w „Rosji carów”? Odnoszę wrażenie, że myli pan feudalizm z feudalną hierarchią szlachecką, która w Królestwie Polskim rzeczywiście wyglądała zupełnie inaczej niż na Zachodzie, i już w XIV w. zaznaczał się przemożny wpływ i liczebność rycerstwa. Podstawowe przemiany społeczne były jednak bardzo podobne i trudno mówić do czasów Jagiełły o jakiejś wielkiej odrębności feudalizmu polskiego od zachodnioeuropejskiego.

Zawisza nie mógł rozpocząć budowy nowej katedry w Poznaniu, bo przecież był biskupem krakowskim!!! Nie budował rezydencji w Głównie i nie stawiał murów w mieście Słupcy, bo robił to jego polityczny kompan Mikołaj z Kurnika, biskup poznański, o którym, owszem, pisze również Janko z Czarnekowa w swojej kronice, przy okazji obszernego rozdziału poświęconego Zawiszy. Trudno zrozumieć, jak można, czytając ten fragment kroniki, nie zauważyć, że nie wszystko tam odnosi się do osoby Zawiszy.

Nie wiem, o którego Mikołaja i z którego „Kurnika” panu chodzi. Może tego, co spod kokoszy wypadł? Chyba że mowa o biskupie Mikołaju z Kórnik pod Poznaniem. Przykro mi, ale to wszystko jest bardzo niejasno opisane w kronice Janka z Czarnekowa, który myli się co chwila i cofa to do jednego, to do drugiego dostojnika. Można mieć wrażenie, że ustęp o katedrze poznańskiej, która zresztą po prostu się zawałiła i należało ją podnieść z ruin, odnosi się do Zawiszy, a nie do Mikołaja z Kórnik. Jeśli się pomyliłem, przepraszam, albowiem errare humanum est.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Komuda





PIOTR ZYCHOWICZ

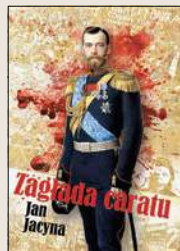
REALHISTORIK

Nemezis Rosji

Generał Jan Jacyna służył w armii carskiej, a później w wojsku odrodzonej Rzeczypospolitej – przede wszystkim był jednak wiceprezesem Związku Wojskowych Polaków i prezesem Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego. Instytucje te, którym przyszło działać w chaosie zrewoltowanej Rosji, zostały obecnie niemal całkowicie zapomniane. Dobrze zatem, że wydawnictwo LTW zdecydowało się na wydanie tej pasjonującej książki, która po raz pierwszy ukazała się w roku 1930.

„Mijamy drut kolczasty i pociąg podchodzi pod stację Psków. Przygniatający nas przez tyle miesięcy kamień niepokoju o życie spada z piersi. Zdołaliśmy się szczęśliwie wyrwać z tego piekła” – w ten sposób kończy się pasjonująca relacja generała, który na własne oczy oglądał jedną z największych katastrof humanitarnych i moralnych w dziejach ludzkości. Czyli upadek imperium Romanowów i krwawą rewolucję.

Najciekawsze fragmenty „Zagłady caratu” dotyczą samej rewolucji. Procesów, które do niej doprowadziły, jej przebiegu i skutków. Autor ukazuje, jak wielką tragedią dla Rosji – ale również dla świata – był triumf Włodzimierza Lenina i jego szajki.



★★★★★
JAN JACYN
„ZAGŁADA
CARATU”
LTW

„Bez względu na ofiarność i bohaterstwo wielu jednostek – pisze generał – nic już nie może uratować Rosji. Nemezis dziejowa zbiera teraz haracz zalegający od wieków. W Rosji zapanował komunizm międzynarodowy. Nie ma już państwa rosyjskiego, nie ma Rosji, jest tylko przedmiot eksperymentów międzynarodówki. Z każdym rokiem coraz bardziej znikają rosyjskie tradycje narodowe, wiekowa literatura, poezja i muzyka smętnej, a w gruncie sentymentalnej i dobrodusznej duszy rosyjskiej. Kaleczyły ją jarzma tatarskie, kilkusetletnie despotyczne rządy, a teraz dobijają ją oligarchowie z międzynarodówek przy zbrojnej pomocy Czerwycyzajek. Miliony ludzi wymierają z głodu i epidemii, a nowe pokolenie wyrasta bez religii, bez zasad moralnych i poczucia prawa. Wychowywane w nienawiści, w rozpuszczeniu, bo wszelkie zasady etyczne są wydrzwiane i ośmieszane”.

Kilkusetletnie sąsiedztwo między Rzeczpospolitą a Rosją obfitowało w wojny, zabory i obopólne najazdy. Trudno jednak nie myśleć o tragedii, która spotkała naszych sąsiadów w roku 1917, bez żalu i współczucia. Szczególnie że ogień trawił Rosję, wkrótce rozprzestrzenił się na zachód i strawił również naszą ojczyznę. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć Marszałka

Józef Piłsudski zmarł wieczorem 12 maja 1935 r. w Belwederze. Uroczystości pogrzebowe trwały sześć dni, ciało Marszałka spoczęło na Wawelu. We Francji, w Niemczech i ZSRS ogłoszono tygodniową żałobę narodową. Rok później w Wilnie pochowano przewiezioną z Litwy szczątki matki Marszałka i zgodnie z jego życzeniem do grobu włożono urnę z jego sercem.

Nie wchodząc w szczegóły walki o władzę po śmierci Komendanta, warto zauważyć, jak bardzo zmieniło się wówczas zachowanie rządzącej elity. Mościcki i jego otoczenie cenili blask władzy, wystawne przyjęcia i polowania, elegancie sprząty (prezydent miał do dyspozycji aż 22 samochody). Nie bez powodu w drugiej połowie lat 30. w stołecznej restauracji Simon i Stecki oddano do użytku salę bankietową, gdzie organizowano przyjęcia dla sfer rządowych. Lokal szczylił się świeżymi ostrygami w swoim menu, a butelka słynnej „Kapki” kosztowała 300 zł – odpowiednik miesięcznej pensji urzędnika średniego szczebla. Elity polityczne tych lat daleko odeszły od spartańskich obyczajów Piłsudskiego, Sławka czy Prystora.

Marszałek zmarł w chwili, gdy sytuacja Polski na arenie międzynarodowej mogła być uważana za względnie dobrą. Obowiązywały porozumienia z Niemcami i ZSRS, kraj wydawał się bezpieczny. Wątpliwe jednak, by starzejący się i schorowany Piłsudski potrafił zapewnić bezpieczeństwo w kolejnych

latach. Chociaż posiadał genialny zmysł geopolityczny, to nie doceniał nowych środków walki (lotnictwo, broń pancerna). Nie był w tym jednak odosobniony, czego dowodem stały się sukcesy Hitlera, z podbojem Francji na czele. Wyrok losu spowodował jednak, że zachowała się legenda człowieka, który zapewnił Polsce bezpieczeństwo, a dopiero po jego śmierci nastąpił IV rozbiór Polski.

Piłsudski posiadał genialny zmysł geopolityczny

„Nie było systemu pomajowego – podsumowywał dyplomata Kajetan Morawski. Był tylko najpierw Piłsudski, genialny szlachcic o intuicji męża stanu i temperamentie rewolucjonisty, wielkopański i rubaszny, równie bliski trywialności jak legendy, dla którego Polska była jakimś wielkim Zułowem czy Pikieliszkami, że chodził po niej, gderząc i dziwaczając i kijem sękatym poganiał lub przepędzał parobków i ekonomów. Swą renesansową bujnością i litewskim uporem, szerokością swych koncepcji i małostkową mściwością, swą osobą i legendą przysłonił i przytłoczył cały okres dziejów Polski i wdarł się w życie każdego z nas. Wszyscy ci, co chcieli i nie chcieli, bardziej niż sobą samym byliśmy jego współczesnymi. A potem był Piłsudski stary i chory, a potem były walki diadochów”.

I trudno się z tym nie zgodzić. ©©

Sport Hotel

Nowoczesny obiekt hotelowy w Krakowie

Ten sportowy hotel powstanie w rekordowym tempie. Jest świetny projekt, jest znakomita lokalizacja, do tego wola współpracy oraz nowoczesna technologia. Wszystko, co potrzebne, by tę inwestycję zrealizować w najwyższej jakości i w maksymalnie krótkim czasie

Niecałe 500 m od Tauron Areny, na obiektach należących do Akademii Wychowania Fizycznego, powstanie wyjątkowy Sport Hotel Kraków. Wyjątkowy, bo w całości zrealizowany w technologii prefabrykacji, czyli z gotowych elementów wyprodukowanych w jednej z polskich fabryk. O zaletach tego typu rozwiązania za chwilę, najpierw o innym ważnym atucie, czyli lokalizacji.

Teren, na którym powstanie hotel, należy do krakowskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Do dyspozycji gości będzie więc cała infrastruktura sportowa, którą dysponuje uczelnia, czyli m.in. korty, baseny czy pełnowymiarowe boisko piłkarskie z podgrzewaną murawą, na którym można grać i trenować przez okrągły rok, nie bacząc na to, czy pada śnieg, deszcz, grad, czy świeci słońce. Miejsce jest bardzo dobrze skomunikowane z resztą Krakowa, odda-

lone od ścisłego centrum miasta o niecałe 4 km, w bezpośrednim sąsiedztwie nie tylko Tauron Areny, lecz także politechniki czy parku Lotników Polskich. Za inwestycję odpowiada Grupa Inwest – deweloper, który przez 23 lata działalności zdążył wyrobić sobie rozpoznawalną markę na rynku i rozszerzył swoją działalność o inwestycje hotelowe.

– To kolejna inwestycja firmy w Krakowie. Jest ona efektem skutecznego partnerstwa publiczno-prywatnego, czyli naszej owocnej dotychczas współpracy z władzami AWF – tłumaczą przedstawiciele Grupy Inwest.

Do dyspozycji gości będzie 125 funkcjonalnych, eleganckich i – co również ważne – niedrogich pokoi. Niedrogich, bo – jak wspomnieliśmy – inwestycja w całości zostanie zrealizowana z tzw. prefabrykatów. Gotowe elementy powstaną w zakładzie HM Factory w Sochaczewie, również należącym do Grupy Inwest. To sprawi, że do minimum zostaną zredukowane koszty. Prefabrykacja pozwoli również znacznie skrócić czas realizacji inwestycji. Początek budowy zaplanowano na jesień 2019 r., obiekt ma być gotowy do użytku na przełomie lat 2020 i 2021. Żadna inna technologia nie pozwoliłaby w tak krótkim czasie zrealizować tak dużej inwestycji. Prefabrykacja zagwarantuje również bardzo wysokie parametry jakościowe – każdy bowiem element, z którego

składać się będzie hotel, wcześniej zostanie poddany gruntownemu badaniu i testowaniu w specjalnym laboratorium w fabryce w Sochaczewie. Aby nie było wątpliwości, że spełnia wszystkie normy.

– Ta inwestycja będzie dla nas dużym wyzwaniem, ale my uwielbiamy podejmować tego typu wyzwania. Z naszych prefabrykatów powstało już wiele projektów mieszkaniowych, dotychczas głównie w Szwecji, gdzie normy stoją na dużo wyższym poziomie. Powstały też inwestycje przemysłowe, a teraz wybudowany zostanie hotel. Nie mamy wątpliwości, że w niedalekiej przyszłości rynek budowlany w Polsce czeka technologiczna rewolucja, a system prefabrykacji jest przyszłością tej branży. Sport Hotel Kraków będzie w pewnym sensie potwierdzeniem tej tezy – dodają przedstawiciele Grupy Inwest.

Hotel, z uwagi na lokalizację i infrastrukturę należącą do AWF, przeznaczony będzie głównie dla drużyn sportowych z różnych kategorii wiekowych. To idealne miejsce na zgromadzenia, obozy przygotowawcze do sezonu czy kilkudniowe wypady, które pozwolą oderwać się od codziennej monotonii zajęć i potrenować w nieco innych okolicznościach przyrody. Jednak korzystać będą mogli też goście niezrzeszeni w żadnej strukturze sportowej. Krótko mówiąc, każdy będzie mile widzianym gościem w krakowskim Sport Hotelu.

Kiedy 10 marca w Moskwie kilkanaście tysięcy ludzi protestowało przeciw planom zbudowania przez władze „suwerennego Internetu” i odcięciu Rosjan od dostępu do światowej sieci, nikt zapewne nie miał pojęcia o tym, że Kremlowi wcale nie o to chodzi. O co toczy się gra, mówił na spotkaniu z deputowanymi do Dumy, które odbyło się dzień po protestach, rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu. Otóż, jak powiedział, Rosja właśnie kończy budowę systemu nazywanego Wielofunkcyjną Siecią Łączności (MTCC). Pierwsze testy sprawności przeszedł on w czasie ćwiczeń „Zapad 2017”, których celem było sprawdzenie m.in., jak funkcjonują nowe rozwiązania w zakresie łączności i dowodzenia oraz jak szybko Rosja jest w stanie przemieszczać swe wojska z jednego końca kraju na drugi. Ćwiczenia miały jednoznacznie agresywny charakter, co zauważyli w swym ostatnim raporcie analitycy FOI – szwedzkiego rządowego Ośrodka Studiów Strategicznych, pisząc, że „Rosja ćwiczy wojnę z NATO”.

Budowa systemu, przewidująca m.in. położenie podmorskiego magistralnego kabla optycznego biegnącego na dalekiej północy i łączącego Władywostok na wschodzie z Murmańskiem i Siewieromorskiem na zachodzie, jest już na ukończeniu. Całkowite jego uruchomienie umożliwi nie tylko odcięcie zwykłych Rosjan od światowej sieci (to nastąpi niejako przy okazji), lecz także przede wszystkim, i o to w tym wszystkich chodzi, niezależni rosyjskie siły zbrojne od korzystania z obecnych połączeń, które są tylko częściowo autonomiczne, a w związku z tym narażone na ingerencję z zewnątrz. Da to również rosyjskim sztabowcom niedostępną dotychczas w takiej skali możliwość śledzenia, planowania i zarządzania ruchami wojsk w czasie rzeczywistym, czyli prowadzenia „wojny XXI w.” na odległość. Jednak aby ten system był czymś więcej niżli tylko drogim i bezużytecznym gadżetem, Rosja musi być pewna, że jest w stanie zawsze kontrolować militarnie północne morza i oceany oblewające kontynent eurazjatycki.

OBRONA, CZYLI ATAK

Informacje ministra Szojgu zbiegły się z wystąpieniem gen. Walerija Gierasimowa, szefa Sztabu Generalnego, który w trakcie konferencji poświęconej rosyjskiej strategii wojskowej przedstawił



Marek Budzisz

Władze w Rosji czasem potrzebują małej, zwycięskiej wojny. Kto będzie chciał ginąć za lodowe, niezamieszkane obszary na Arktyce?

FOT. LEV FEDOSSEV/ITASS GETTY IMAGES



Nadchodzi

zmodyfikowaną i zaktualizowaną jej wersję. Rosyjscy komentatorzy już nazwali ją Doktryną Gierasimowa 2.0, w odróżnieniu od tej przedstawionej jeszcze przed wojną na wschodzie Ukrainy i aneksją Krymu jej wersji, która na Zachodzie określona została wówczas mianem teorii wojny hybrydowej. Czym różni się wariant z roku 2019 od wcześniejszego? Nie rezygnując z działań asymetrycznych, takich jak ataki w cyberprzestrzeni, dywersja czy rozsiewanie fake newsów, teraz Sztab Generalny rosyjskiej armii poszedł krok dalej. Państwa kolektywnego Zachodu

określone zostały przez Gierasimowa jednoznacznie jako wrogowie, nie rywale, jak były opisywane dotychczas w rosyjskich dokumentach strategicznych. Także rosyjscy sztabowcy odkurzyli pochodzące z czasów sowieckich pojęcie „obronnego uderzenia wyprzedzającego”. W największym skrócie rzecz ujmując, sprowadza się to do przyznania sobie prawa do ataku po to, aby – jak wyraził się Gierasimow – „zneutralizować” rysujące się zagrożenia dla interesów Rosji.

Warto zadać pytanie, jakich interesów zagrożenie może mieć na myśli rosyjska



Iodowa wojna?

armia? Najczęściej w tym kontekście mówi się o kolorowych rewolucjach i możliwości destabilizacji sytuacji wewnętrznej, ale głębsza analiza skłaniać winna raczej do innej konkluzji.

ARKTYCZNA BLOKADA

Otóż jak informował na początku marca dziennik „Izwestia”, rząd rosyjski właśnie przyjął zasady znacznie ograniczające możliwość korzystania zagranicznych statków i okrętów z tzw. Północnej Drogi Morskiej, a w praktyce podjął próbę jej kontrolowania w ca-

łości. W myśl przyjętych regulacji okręty wojenne pływające pod obcymi banderami będą musiały zawiadamiać o swoich planach rosyjskie władze 45 dni przed wpływieniem na ten akwen, a także zobowiązane będą do wzięcia na swój pokład rosyjskich pilotów. Rosja rezerwuje sobie przy tym prawo odmowy udzielenia zgody na tego rodzaju rejsy oraz zastosowania w razie złamania zakazu „nadzwyczajnych środków” polegających na nałożeniu aresztu na łamiące zakaz okręty lub nawet zniszczenie ich. Nowe reguły mają obowiązy-

wać od początku tegorocznego sezonu nawigacyjnego na wodach arktycznych i są zdaniem specjalistów wymierzone wprost w Stany Zjednoczone.

Zdaniem rosyjskich specjalistów żądanie, aby okręty wpływające na „Północną Drogę Morską” brały na pokład rosyjskich pilotów, może też oznaczać, że w praktyce będą one mogły się poruszać wyłącznie szlakami oczyszczonymi przez rosyjskie lodołamacze, co musi oznaczać nie tylko reglamentację możliwości żeglugi, lecz także uczynienie z części wód międzynarodowych akwenów de facto zamkniętych przez Moskwę.

Stany Zjednoczone opowiadają się za uczynieniem z „Północnej Drogi Morskiej” szlaku żeglugowego, do którego będą miały dostęp statki i okręty pływające pod wszystkimi banderami, zasady jej wykorzystywania powinny zaś zdaniem Waszyngtonu zostać uregulowane w trybie umowy międzynarodowej. W trakcie niedawnego wystąpienia w Kongresie Curtis Scaparotti, szef Europejskiego Dowództwa Sił Zbrojnych USA, powiedział, że „Stany Zjednoczone gotowe są powstrzymać Rosję w Arktyce”. Jak zauważył, w ostatnich miesiącach Moskwa rozpoczęła wzmacnianie swych sił zbrojnych w regionie po to, aby „zwiększyć nad nim swą kontrolę”. W odpowiedzi Stany Zjednoczone, chcąc „wysłać Rosji sygnał, że Arktyka jest dla nas ważna”, również zwiększyły tam swoją obecność wojskową.

PÓŁNOCNE ZBROJENIA

Norweski portal „The Barents Observer” informuje z kolei, że Moskwa w ostatnim czasie znacząco rozbudowuje bazy swych sił strategicznych na Półwyspie Kolskim. Kończona jest budowa 50 ogromnych bunkrów, w których, zdaniem norweskich analityków wojskowych, przechowywane mogą być nawet głowice nuklearne. Zmodernizowane zostały wszystkie znajdujące się na dalekiej północy a pochodzące z czasów sowieckich bazy i lotniska wojskowe. Planuje się też nowe inwestycje. Moskwa już buduje 13 atomowych łodzi podwodnych, a w najbliższych latach planuje rozpocząć prace nad kolejnymi 30. Wszystkie mają stacjonować na dalekiej północy.

Jak informował pod koniec grudnia ubiegłego roku „The Washington Times”, powołując się na słowa dowodzącego amerykańskimi siłami podwodnymi

adm. Andrew Lennona, aktywność rosyjskich łodzi podwodnych, szczególnie na dalekiej północy, jest większa, niż kiedykolwiek można było to obserwować, nawet biorąc pod uwagę czasy zimnej wojny. W szczególności dotyczy to rejonów Atlantyku Północnego, gdzie zlokalizowane są kluczowe dla światowego systemu przesyłania informacji podmorskie kable. Jak napisał we wstępie do specjalnego raportu brytyjskiego parlamentu adm. James Stavridis, „to nie satelity w przestrzeni kosmicznej, ale kable znajdujące się na dnie oceanów są stołem pacierzowym światowej gospodarki”. Przy czym, jak zauważyli autorzy opracowania, instalacje te są nie tylko bardzo słabo strzeżone i obserwuje się rosnące zainteresowanie nimi rosyjskich sił zbrojnych, lecz także mogą się stać obiektem ataku i działań sabotażowych przeprowadzonych przez rozmaitego rodzaju formacje nieregularne, „zielone ludziki” czy formacje wręcz terrorystyczne, co doskonale wpisuje się w snute scenariusze działań hybrydowych czy asymetrycznych.

pozorowany atak rosyjskiego lotnictwa był „celową i dokładnie zaplanowaną rosyjską operacją sygnalizacyjną”. W jego opinii taki sposób postępowania rosyjskich sił zbrojnych jest formą strategicznej komunikacji niewerbalnej, której celem jest nie tylko okazanie niezadowolenia z aktywności sił NATO w rejonie Arktyki, lecz także wywarcie wpływu na osoby podejmujące decyzje polityczne lub wojskowe i ich zastraszenie. Chodzić może choćby o to, aby odwiedzić Oslo od projektów rozpoczęcia wierceń w poszukiwaniu ropy naftowej i gazu ziemnego na dalekiej północy. Norweskie władze właśnie poinformowały o uruchomieniu 90 platform, w tym 48 zlokalizowanych na Morzu Barentsa, a Rosja w obliczu braku środków i będąc odcięta od najnowszych technologii, według ekspertów pozostaje w tyle.

JAK WYWIEŹ ROPĘ?

Ostatnie decyzje rosyjskich władz, takie jak oddanie nadzoru infrastrukturalnego nad „Północną Drogą Morską”



Rosyjski fort arktyczny w obwodzie archangielskim
FOT. CEN/MIL.RU/EAST NEWS

Rosja nie tylko zwiększa swą obecność wojskową na dalekiej północy, lecz także eskaluje napięcie, wysyłając pod adresem państw NATO wyraźny sygnał, że jest gotowa nawet posunąć się do działań zbrojnych. W czasie swego niedawnego wystąpienia na forum Towarzystwa Wojskowego w Oslo generał porucznik Morten Haga Lund, kierujący norweską służbą wywiadu, oskarżył Rosję o to, że jej lotnictwo symulowało niedawno atak na norweski radar wojskowy. W swym wystąpieniu podkreślił, że „rosyjska retoryka skierowana przeciw Norwegii staje się w ostatnich latach ostrzejsza”, a aktywność wojskowa „ma na celu zastraszenie Norwegii”. Zdaniem szefa norweskiego wywiadu „nie ma żadnych przesłanek ku temu, aby sądzić, że relacje między Rosją a Zachodem poprawią się w 2019 r.”. Zdaniem Kristiana Åtlanda z Norweskiego Instytutu Obrony, którego słowa cytuje portal „Barents Observer”,

państwowej korporacji Rosatom firmie, którą założył Władimir Putin, a jeszcze do niedawna kierował nią obecny szef jego administracji Siergiej Kirienko, potwierdzać mają, że rosyjskie elity przywiązują do tego obszaru wielką wagę. Z ekonomicznego punktu widzenia wybór jest dość oczywisty. 70 proc. rosyjskich złowanych zasobów ropy naftowej mieści się na terenach polarnych. Jedynym możliwym i ekonomicznie sensownym sposobem wywiezienia bogactw wydobytych na północy Syberii jest wykorzystanie „Północnej Drogi Morskiej” i zbudowanie przynajmniej kilku portów mogących ją obsługiwać. Jednak nie kontrolując militarnie żegluga na tym akwenie, Moskwa ryzykuje, że nie będzie mogła wywieźć tego, co uda się wydobyć. I wówczas proroctwo saudyjskiego następcy tronu, który powiedział, że po 2035 r. Moskwa zniknie z rynku eksporterów ropy naftowej, może się spełnić.

Rosjanie nie chcą ustąpić, ale państwa NATO również nie mają zamiaru zejść z drogi. Swe wojskowe kontyngenty na dalekiej północy powiększają Amerykanie i Brytyjczycy. Francuski okręt wojenny opływał niedawno wody Arktyki, a jesienią NATO zorganizowało swe największe w ostatnich latach manewry wojskowe pod kryptonimem Trident Juncture, które odbywały się na północy Norwegii i za kołem podbiegunowym i w których wzięło udział 50 tys. żołnierzy oraz 10 tys. jednostek sprzętu. Problem w tym, iż – jak zauważa Paweł Baiev, analityk norweskimi Instytutu Problemów Pokoju, w wywiadzie dla Radia Swoboda – „militarna przewaga Rosji na dalekiej północy jest tak przygniatająca, że NATO musiało zareagować”.

Czy scenariusz eskalacji napięcia, zakładający nawet wybuch konfliktu zbrojnego, jest realny? Takiego zdania jest Micheil Saakaszwili, były prezydent Gruzji, który opublikował na ten temat właśnie artykuł na łamach amerykańskiego „Foreign Policy”. W jego opinii Zachód nie powinien się zastanawiać, czy Rosja zaatakuje, bo to, że ucieknie się do agresji, jest jego zdaniem pewne. Jak zauważa, rosyjskie elity zawsze, a tak jest właśnie teraz, w obliczu narastających problemów gospodarczych i spadających notowań władzy dążą do wywołania „małej zwycięskiej wojenki”, bo to najlepiej wpływa na poprawę nastrojów zwykłych Rosjan. Zachód, zdaniem byłego prezydenta Gruzji, winien raczej zastanawiać się nie nad tym, czy Rosja zaatakuje, ale gdzie. Jego zdaniem będzie to na dalekiej północy, najpewniej w Finlandii lub Szwecji. Za takim scenariuszem przemawia kilka argumentów, nie tylko te, które przytaczałem wcześniej, związanych ze znaczeniem dla przyszłości Rosji tego, kto będzie kontrolował żegluga na obszarach podbiegunowych. Obydwa państwa nie należą do NATO, a to redukuje ryzyko eskalacji konfliktu w wojnę powszechną. Rosjanie najpewniej też anektują strategicznie istotne, ale bezludne i niezamieszkane tereny. Kto w Europie i za oceanem będzie chciał ginąć za lodowe pustynie? Na użytek wewnętrzny tego rodzaju akcja będzie mogła być przedstawiona jako kolejny triumf ekipy Putina, a w dyskusjach nad przyszłością „Północnej Drogi Morskiej” demonstracja siły może być ważnym w rękach Moskwy argumentem. Innymi słowy – z punktu widzenia Moskwy same korzyści i niewielkie ryzyko.

46 MLN Z LITERÓWKĄ

Jeśli komuś przydarzy się błąd w pracy, to zawsze będzie mógł pomyśleć, że Australijczykom poszło jednak gorzej. Właśnie wprowadzili nowe zabezpieczenie w 46 mln najczęściej używanych banknotów o nominalne 50 dol. Dodano mikrodrukiem cytaty z pierwszej kobiety w tamtejszym parlamencie. I w cytacie w jednym słowie popełniono literówkę. Reserve Bank of Australia zapowiedział, że błąd w kolejnych drukach poprawi, a banknoty z błędem pozostają legalnym środkiem płatniczym.



FOT. PETER PARKS/AFPEAST NEWS

ZŁA NAGRODA DLA GEJÓW

W brytyjskim programie „Blind Date”, emitowanym przez Channel 5, po raz pierwszy skojarzono parę nieheteroseksualną. Wygraną dla dwóch panów był wakacyjny wyjazd na Karaiby, a dokładniej do kraju Saint Lucia. Okazało się, że w tym państwie nigdy nie zmieniono prawa z czasów kolonialnych i homoseksualizm jest tam przestępstwem. Mężczyzna za uprawianie seksu z innym mężczyzną może dostać nawet 10 lat więzienia. Jeszcze nie ujawniono, co producent programu zrobi z nagrodą. Bo zwycięzcy raczej jechać na wakacje nie chcą.

GWIAZDOR ANALFABETA

R. Kelly to bardzo znany piosenkarz. Ostatnio znany jest głównie z wielkiej afery seksualnej, w której został oskarżony o pedofilię. Był nawet aresztowany, ale wyszedł za kaucją. Dwa lata temu portal BuzzFeed opublikował raport, w którym oskarżył piosenkarza o uwięzienie i wykorzystywanie nieletnich kobiet. Sędzia musiał dwa razy przedstawiać gwiazdorowi akt oskarżenia,

bo za pierwszym razem się do niego nie ustosunkował. Prawnicy muzyka tłumaczyli publicznie, że nie mógł tego zrobić, bo nie umie czytać i pisać.

CHCIAŁ ZOBACZYĆ KRATER Z BLISKA

W parku narodowym na Hawajach doszło do wypadku. 32-latek spadł do wnętrza wulkanu z wysokości ok. 20 m. Okazało się, że turysta przeszedł przez barierki bezpieczeństwa, bo chciał z bliska zobaczyć krater. To mu się udało, nawet z nawiązką. Jego stan po upadku był krytyczny, ale potem lekarze informowali, że jest stabilny.

OWCE W KLASIE

We francuskiej wiosce Crêts en Belledonne lokalna społeczność postanowiła ocalić dotychczasową liczbę klas w miejscowej szkole. Ponieważ liczba uczniów spadła, władze nakazały ograniczenie oddziałów klasowych z 11 do 10. W szkole zarejestrowano więc oficjalnie jako uczniów 15 miejscowych owiec. Rodzice uważają, że teraz nie trzeba zamykać jednej z klas. Francuskie ministerstwo oświaty jeszcze się do tego nie odniosło. ©©

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA



ŁUKASZ WARZECHA

I wychodzę

Janusz Korwin-Mikke rzekł kiedyś z trybuny sejmowej: „Rząd różnie głupa!”, komentując porzucenie ówczesnego ministra finansów, Jerzego Osiatyńskiego. Lider UPR miał zapewne rację, ale też nie odkrył Ameryki, bo na tym przecież polityka również polega.

Coś się jednak zmieniło: dziś rznięcie głupa – lub, mówiąc nieco oględniej, robienie z ludzi kretynów, i to wyjątkowo beczelnie, bez śladu subtelności – jest powszechniejsze, właściwie jest standardem.

Oto agresywne lewactwo, walczące z Kościołem, przekonyuje nas, że dorobienie Madonnie tęczęwowej aureoli to pochylenie się

nad tajemnicą wiary i skłanianie do refleksji.

Elżbieta Kruk twierdzi, że media publiczne zachowują w kampanii wyborczej neutralność. „Wiadomości” twierdzą, że Polska pod rządami PiS to światowa potęga, przed którą drżą Niemcy. Premier Morawiecki powtarza, że państwo robi wszystko, żeby ułatwić przedsiębiorcom działalność.

Sławomir Mentzen, wiceprezes partii KORWiN, odpowiadając na Facebooku na mój tekst z poprzedniego wydania „Do Rzeczy”, stwierdza, że hasło: „Nie chcemy Żydów”, ogłoszone podczas jego wykładu w Krakowie, to był

właściwie tylko żarcik. A na koniec „Gazeta Wyborcza” na swoje 30-lecie oznajmia, że nie jest jej wszystko jedno.

Nie wiem jak państwo, ale ja nie cierpię, gdy ktoś uważa mnie za idiotę, któremu można wcisnąć każdy kit. I nie ma kompletnie znaczenia, czy to jest ktoś z PiS, Koalicji Europejskiej, Konfederacji, TVP czy Federacji Oszołomów Przeciwko Kościołowi. A ponieważ mam wrażenie, że ostatnio za takiego idiotę mają mnie wszyscy, więc przed wyborami do PE mam tak jak inżynier Mamoń: aż mi się chce wyjść. I wychodzę. ©©

Życie jako koszt

Aż 40 proc. Belgów uważa, że dla dobra budżetu służby zdrowia nie należy stosować drogiego leczenia u pacjentów mających więcej niż 85 lat. Tylko 35 proc. jest przeciwnie przerwanu leczenia ratującego życie pacjentów w tym wieku. Te wyniki badań belgijski dziennik „Le Soir” nazwał w marcu „zdumiewającą wiadomością”. Chociaż już w badaniu w 2013 r. belgijski zakład ubezpieczeń społecznych INAMI twierdził, że „istnieje potencjalna podstawa oszczędności poprzez [...] zaniechanie leczenia wydłużającego życie u osób w wieku powyżej 85 lat”.

Publikując informacje o stosunku Belgów do leczenia osób starszych, „Le Soir”, a za nim inne media, zwłaszcza we Francji, gdzie trwa dyskusja na temat legalizacji eutanazji, przypominały amerykański film fantastycznonaukowy z 1973 r. „Zielona pożywka” (ang. „Soylent Green”). W filmie tym, którego akcja rozgrywa się w Nowym Jorku w 2022 r., przeludnienie i globalne ocieplenie klimatu spowodowały, że jedzenia jest mało i jest ono horrendalnie drogie. Brakuje w szczególności produktów mięsnych. Jednak firma Soylent znajduje rozwiązanie tego problemu, produkując bogatą w białka „zieloną pożywkę”, którą potajemnie wytwarza z ciał zmarłych. Część surowca do produkcji pożywki firma pozyskuje w klinikach, w których prowadzone są eutanazja i wspomagane samobójstwo osób starszych, chorych lub po prostu zmęczonych życiem.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

W Belgii zalegalizowano eutanazję i wspomagane samobójstwo w 2002 r., kiedy premierem był Guy Verhofstadt, obecny szef frakcji liberałów w Parlamencie Europejskim.

Belgia stała się drugim krajem w Europie i na świecie, po Holandii, w którym lekarze uzyskali prawo do zabijania swoich pacjentów, choć teoretycznie tylko w ściśle określonych warunkach. W 2002 r. musiały być spełnione trzy warunki: pacjent musiał być osobą dorosłą i świadomą w momencie wnioskowania o eutanazję; prośba musiała być wyrażona w sposób dobrowolny, przemyślany i powtarzany, bez presji z zewnątrz; pacjent musiał być też nieuleczalnie chory i doznawać w sposób trwały nieznośnych cierpień fizycznych lub psychicznych. W 2003 r. dodano do tych warunków możliwość złożenia pisemnej deklaracji woli na wypadek, gdyby nie było się w przyszłości w stanie jej wyrazić.



Olivier Bault

Belgowie i Holendrzy są pionierami w budowie cywilizacji śmierci

W 2014 r. Belgia jako pierwszy kraj na świecie zalegalizowała także eutanazję dzieci. Obecnie trwa debata na temat możliwości przeprowadzenia eutanazji na pacjentach nie w pełni świadomych z powodu demencji starczej, których jest coraz więcej i którzy generują duże koszty dla belgijskiej służby zdrowia.

UPORCZYWE KARMIE NIE

Podobnie jak inne kraje, które zalegalizowały eutanazję (Holandia, Luksemburg, Kanada) czy tylko wspomagane samobójstwo (Szwajcaria), Belgia odnotowuje ciągły wzrost liczby zadeklarowanych eutanazji: 24 w 2002 r., 235 w 2003 r., 953 w 2010 r., 1432 w 2012 r. i 2357 w 2018 r. Zadeklarowane eutanazje to jednak tylko czubek góry lodowej. Istnieje jeszcze procedura głębokiej sedacji, prowadzącej do przyspieszonej śmierci. Oficjalnie nie jest ona uznawana za eutanazję, choć de facto chodzi o to samo. Za pomocą legalizacji takiej procedury w 2016 r. tylnymi drzwiami wprowadzono eutanazję także do Francji, gdzie podawanie pokarmu i płynów pacjentom w stanie głębokiej sedacji przekwalifikowano w tym celu z opieki na leczenie. W ten sposób uznano możliwość przerwania uporczywego „leczenia” pokarmem i piciem tak, aby doprowadzić do śmierci pacjenta, a to nawet bez jego zgody i wbrew woli jego rodziców, tak jak w głośnej sprawie Vincenta Lamberta.

W Belgii taki zabieg jest również stosowany, aby omijać przepisy ustawy o eutanazji. Procedura nie wymaga zgłoszenia do Federalnej Komisji ds. Kontroli i Ewaluacji Eutanazji (CFCEE), ale wiadomo, że chodzi co najmniej o kilkanaście tysięcy przypadków rocznie. W 2015 r. sondaż przeprowadzony w ok. 100 sanatoriach i zakładach opieki zdrowotnej w belgijskiej Flandrii wykazał, że w wielu sytuacjach procedura głębokiej sedacji przeprowadzana jest bez zgody pacjenta. Według wiceprzewodniczącego CFCEE prof. Wima Distelmansa dotyczy to ok. 70 proc. pacjentów objętych tą procedurą paraeutanazyjną. Dlatego też niektórzy belgijscy lekarze uważają, że tego typu sedacja powinna być regulowana ustawą, jak to ma miejsce we Francji.

Dla porównania: w sąsiedniej Holandii, gdzie prowadzi się taką statystykę, w 2017 r. uśmiercono ponad 6,5 tys. osób przez eutanazję, 1,9 tys. osób przez wspomagane samobójstwo oraz 32 tys. osób za pomocą głębokiej sedacji. Ogólnie uważa się, że ponad jedna czwarta zgonów w Holandii to zgony wspomagane przez lekarzy.

A i tak, nawet jeśli chodzi o same procedury eutanazji wymagające złożenia deklaracji, nadzór belgijskiej federalnej komisji jest tylko teoretyczny. Wystarczy powiedzieć, że pomimo działalności CFCEE zarzuty wobec lekarzy deklarujących przeprowadzanie eutanazji postawiono po raz pierwszy dopiero w 2018 r., po 16 latach funkcjonowania ustawy o eutanazji i po wykonaniu na terenie Belgii kilkunastu tysięcy zadeklarowanych eutanazji, wśród których bywały bezspornie skandaliczne sytuacje znane belgijskiej i światowej opinii publicznej, m.in. przypadek 38-letniej Tyne Nys, u której lekarze zdiagnozowali autyzm i którą uśmiercono w 2010 r. Pod koniec 2018 r. sąd belgijski uznał, że lekarzom, którzy dokonali tej eutanazji motywowanej cierpieniem psychicznym pacjentki, może zostać postawiony zarzut zatrucia, gdyż nie przestrzegali warunków ustawy. Jednym z oskarżonych jest pani psychiatra Lieve Thienpont, będąca znaną w Belgii zwolenniczką dostępu do eutanazji dla osób psychicznie chorych. A i tak w tym konkretnym przypadku postawienie lekarzy przed sądem było możliwe nie na skutek zawiadomienia CFCEE, lecz na skutek długoletniej walki sióstr uśmierconej pacjentki, które podały w wątpliwość postawioną diagnozę psychiatryczną. Wiedząc, że ich siostra miała po prostu problemy z depresją po niedawnym zerwaniu z partnerem. Wiceprzewodniczącą komisji CFCEE Wim Distelmans uważa natomiast, że dopełniono wszystkich wymogów proceduralnych, i tłumaczy, że federalna komisja nadzorująca tylko sprawdza dokumenty w świetle procedur, a nie ocenia kompetencji psychiatry czy lekarza.

Jednak nawet wówczas, gdy procedury nie są przestrzegane, i tak Federalna Komisja ds. Kontroli i Ewaluacji Eutanazji nie zawiadamia o tym prokuratury. Tak twierdzi neurolog Ludo Vanopdenbosch, zwolennik eutanazji i były członek komisji CFCEE, który z niej wystąpił na początku 2018 r. W liście do deputowanych, w którym wyjaśniał powody swojej rezygnacji, cytował przykład z zebrania CFCEE z 5 września 2017 r., na którym rozpatrywano „eutanazję” przeprowadzoną na osobie w zaawansowanym stadium demencji starczej, cierpiącej dodatkowo na chorobę Parkinsona. „Eutanazja” została przeprowadzona na wniosek rodziny przez lekarza internistę bez odpowiednich kwalifikacji, nieposiadającego jakichkolwiek kompetencji w zakresie opieki paliatywnej. Ofiara nigdy nie wniosowała o eutanazję ani nie

wyraziła takiej woli przed chorobą, gdy miała jeszcze pełną świadomość. Z zebranych dowodów wynikało też, że drugi lekarz, który dał zielone światło procedurze uśmiercenia pacjenta, dopełnił formalności tak naprawdę po fakcie, co jest sprzeczne z ustawą. Pomimo tego w głosowaniu zabrakło w komisji CFCEE większości dwóch trzecich głosów potrzebnej do przekazania sprawy prokuraturze. Doktor Vanopdenbosch twierdzi, że komisja mająca nadzorować eutanazje w Belgii nagminnie łamie prawo i została zdominowana przez osoby motywowane ideologicznie, stąd faktyczny brak jakiegokolwiek nadzoru nad procedurą uśmiercania pacjentów przez lekarzy.

„ISTOTNY INSTRUMENT”

Podobnie jak w Holandii mowa jest teraz o umożliwieniu eutanazji w przypadku osób w podeszłym wieku, które stwierdziłyby, „że już zrobiły to, co miały zrobić w swoim życiu, i które uważałyby, że nie chcą już dalej żyć”, jak ujął to w 2017 r. autor propozycji w belgijskim parlamencie, Jean-Jacques De Gucht, należący do tej samej flamandzkiej partii liberalnej co eutanazysta Guy Verhofstadt.

Francuski lewicowy liberał Jacques Attali, były doradca prezydenta François Mitterranda i jeden z ważnych mentorów obecnego prezydenta Emmanuela Macrona, twierdził w 1981 r. w książce „L'Avenir de la vie” („Przyszłość życia”): „Po 60.–65. roku życia człowiek żyje dłużej, niż produkuje, i kosztuje drogo społeczeństwo. Uważam, że zgodnie z logiką społeczeństwa przemysłowego celem będzie nie tyle wydłużanie życia, ile staranie się o to, aby w ramach danego życia człowiek żył jak najlepiej i to w taki sposób, aby wydatki na jego zdrowie były jak najmniejsze w sensie kosztu dla zbiorowości. Dużo lepiej jest, aby ludzka maszyna zatrzymała się nagle, niż aby psuła się stopniowo. Eutanazja będzie istotnym instrumentem naszych przyszłych społeczeństw”.

Belgowie i Holendrzy są po prostu pionierami w budowaniu tej zachodnio-europejskiej cywilizacji śmierci, o której pisał ówczesny socjalista Attali prawie 40 lat temu. W 2017 r. dr Marc Moens, przewodniczący belgijskiego stowarzyszenia związków medycznych (ABSYM), skrytykował właśnie fakt, że „od sierpnia 2016 r. w związku z problemami budżetowymi w dziedzinie opieki nad osobami starszymi, zaczyna się debatować o polityce eutanazyjnej motywowanej względami socjoekonomicznymi”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Daleko od tronu



Jacek Przybylski

Śliczny malec księcia Harry'ego i Meghan Markle nie ma większych szans na koronę. Na wychowanie nowoczesnego „królewicza” równie duży wpływ co członkowie rodziny królewskiej mogą mieć Serena Williams, Jessica Mulroney oraz George Clooney i jego żona Amal

Dokładnie o godz. 5.26 w poniedziałek 6 maja na świat przyszło najmłodsze „royal baby”. Wbrew przewidywaniom bukmacherów nie była to dziewczynka. Królewski syn ważył 3260 g, czyli nieco mniej niż przeciętny brytyjski noworodek (3,4 kg). Mieszkańców Zjednoczonego Królestwa, a także Amerykanów – od zawsze ogarniętych obsesją na tle brytyjskiego dworu – oraz miliony innych ludzi z całego świata ogarnęło istne szaleństwo.

Jednocześnie wielu Amerykanów, ze słynną Oprah Winfrey na czele, zachwycało się tym, że księżnej Sussexu (czyli Meghan Markle) od początku udało się wywalczyć dla swego dziecka choć odrobinę prywatności. W przeciwieństwie do Kate Middleton, która z noworodkiem na rękach pojawiła się w świetle kamer już kilka godzin po porodzie, Meghan na kilkadziesiąt godzin odcięła media od wszelkich wiadomości. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali więc na pierw-

sze zdjęcie noworodka, a o przyszłości malca w poważnych stacjach telewizyjnych opowiadali wróżbici z brytyjskim i z amerykańskim akcentem.

ARCHIE ZAMIAST ARTURA

Zarówno bukmacherzy, jak i poważne media usilnie próbowały odgadnąć przed oficjalnym ogłoszeniem, jakie imię będzie nosił maluch, znany opinii publicznej pod kryptonimem „baby Sussex”. Faworytem był Artur – tradycyjne imię noszone przez brytyjskich monarchów, które w dodatku noszą jako drugie i trzecie imię najbliższy wujek dziecka książę Cambridge Wilhelm Artur Filip Ludwik (zwany potocznie księciem Williamem), a także dziadek malucha, książę Walii Karol Filip Artur Jerzy. Wśród najpopularniejszych propozycji byli też James, Aleksander oraz Filip.

Dopiero po dwóch dniach młodzi rodzice pochwalili się zdjęciem synka



FOT. POOL/REUTERS/FORUM

oznacza po prostu „syn Harry’ego”. Jeśli ktokolwiek w ostatnich dniach postawił u bukmacherów duże pieniądze właśnie na taki wybór imion książęcej pary, to z pewnością mógłby już żyć po królewsku.

Wracając do prawdziwego królewskiego rodu: malec nazywa się co prawda Mountbatten-Windsor (nazwisko powstało w wyniku połączenia nazwisk obecnej królowej i zanglicyzowanej wersji nazwiska matki księcia Filipa, który po uzyskaniu brytyjskiego obywatelstwa porzucił swe rodowe miano Schleswig-Holstein-Sonderburg-Glücksburg).

Archie księciem wcale jeszcze nie jest i nie jest wcale pewne, czy kiedykolwiek nim zostanie. Zgodnie z prawem wprowadzonym na początku XX w. jeszcze przez króla Jerzego V pierworodnemu synowi księcia Harry’ego przysługiwałby już teraz tytuł hrabiego Dumbarton lub choćby lorda. Księciem Archie Harrison może zostać dopiero wtedy, jeżeli królowa Elżbieta II – lub jej następca – zdecyduje się oficjalnie nadać mu ten tytuł. „Królowa prababcia” zrobiła już tak w przypadku wszystkich dzieci Williama i Kate, choć zgodnie z prawem tytuł ten należał się wyłącznie najstarszemu synowi księcia, a więc George’owi. Najprawdopodobniej rodzice zrezygnują jednak z tego przywileju – już teraz zdecydowali, że Archie nie będzie ani hrabią, ani lordem. To zaś jest jasny sygnał, że książę Harry i Meghan nie chcą chować go na królewicza. Ojciec Archiego wielokrotnie opowiadał bowiem w mediach, że dorastanie na dworze nie było dla niego zbyt przyjemnym doświadczeniem, formalne tytuły bardzo mu ciążyły i że najlepiej czuł się w armii, gdy nazywano go po prostu „kapitan Wales” lub zwyczajnie „Harry”.

W kwestii tytułów królowa dała rodzicom wolną rękę. Trzeba jednak pamiętać, że zgodnie z prawem pochodzącym z początku XVIII w. Harry i Meghan nie są prawnymi opiekunami Archiego. Jest nim... królowa Elżbieta II, która formalnie może decydować o wszystkich aspektach życia wszystkich swoich potomków. Przepisy te wprowadził król Jerzy I Hanowerski, który nie ufał swojemu synowi (wyrzucił go nawet wraz z księżną z królewskiej rezydencji). I choć na szczęście Jerzy I w końcu doszedł do porządku z synem, a i pozostali monarchowie rzadko korzystali z praw opiekuńczych do potomków i kwestię wychowania pociech zazwyczaj zostawiali rodzicom biologicznym, to nawet w najnowszej

historii Wielkiej Brytanii stare prawo okazywało się przydatne. Dla przykładu po rozwodzie księcia Karola z Dianą Spencer opiekę nad nieletnimi jeszcze Williamem oraz Harrym przejęła królowa Elżbieta II, a chłopcy widywali matkę w pałacu Kensington jedynie co drugi weekend. Diana uznawana była bowiem za prostą, niezbyt bystrą przedszkolankę – dwa razy oblała maturę – która w dodatku nie należała do grona najbardziej cnotliwych kobiet świata.

Księżna Sussexu też czasem lubi postępować niezgodnie z dworską etykietą. Królowa może więc próbować wtrącać swoje trzy pensy do wychowania Achiego. Niemal pewne jest jedno: w razie rozwodu Meghan Markle nie będzie miała żadnych praw do własnego dziecka lub będą one radykalnie ograniczone.

To jedna z wielu zasad, które – choć dla współczesnych brzmią absurdalnie – decydując się na ślub z brytyjskim księciem, amerykańska aktorka musiała zaakceptować. Oprócz tego musiała zdać test na brytyjskość, a także pamiętać o tym, że choć na modzie zna się zapewne lepiej niż królowa, to w obecności 92-letniej Elżbiety II kobiety zawsze muszą mieć na nogach rajstopy.

SIÓDMY W KOLEJCE

Szanse Archiego na objęcie tronu Windsorów są minimalne. I to wcale nie dlatego, że syn książęcej pary ma podwójne obywatelstwo: brytyjskie (co oczywiste) i amerykańskie (po matce, amerykańskiej aktorce, a obecnie księżnej Sussexu).

Po śmierci Elżbiety II – która już zapisała się w historii jako najdłużej panujący monarcha Wielkiej Brytanii – najpierw koronę otrzyma książę Karol. Gdyby tak się stało, 71-letni obecnie książę Walii byłby najstarszą osobą ukoronowaną na władcę Zjednoczonego Królestwa. Następny w kolejności jest książę William, potem troje dzieci Williama i Kate Middleton: George, Charlotte i Louis. Później tron dostałby książę Harry, a dopiero jako siódmy w kolejności syn jego i Meghan Markle. Dlaczego większe szanse ma nawet Charlotte – córka Williama i Kate? Otóż w 2011 r. Brytyjczycy unowocześnili prawo dotyczące sukcesji i uznali, że dziedziczenie będzie się odbywało bez względu na płeć dziecka.

Zmiana ta nie objęła jednak jedynej kobiety, która rzeczywiście miałaby w najbliższym czasie na niej skorzystać

i ogłosili jego imię. Niespodziewanie sympatyczny brzdąc otrzymał imiona Archie Harrison. Ani pierwsze, ani drugie imię wcześniej nie pojawiało się w brytyjskiej rodzinie królewskiej. Archie stosunkowo od niedawna występuje bowiem jako samodzielne imię, a nie tylko zdrobnienie od Archibalda. Według portalu Nameberry.com imię to ma germańskie pochodzenie i oznacza „naprawdę odważny”. W Wielkiej Brytanii należy do pierwszej pięćdziesiątki najpopularniejszych imion męskich, a w USA łapie się dopiero w pierwszym tysiącu (a wszystko to przez kreację roboty fikcyjnej postaci telewizyjnej: Archiego Bunkera). Niektórzy spekulują, że był to ukłon młodych rodziców w kierunku księżnej Diany, której dalekim przodkiem był Archibald Campbell – hrabia Argyll.

Harrison od razu kojarzy się z amerykańskim kinem i Harrisonem Fordem, ale to typowo brytyjskie imię, które



Pierwsza wizyta małego Archiego u pradziadków FOT. MEGA AGENCY/FORUM

■ – Anna, drugie dziecko Elżbiety II, nie przejmie władzy przed swoimi braćmi, ponieważ zgodnie z jedną z naczelnych zasad prawa „lex retro non agit”. A skoro prawo nie działa wstecz, Anna znajduje się dopiero na 14. miejscu w kolejce do dziedziczenia – po Andrzeju i jego dzieciach oraz Edwardzie i jego dzieciach.

DŁUGA LISTA CHRZESTNYCH

Meghan Markle zerwała z niepisaną, 40-letnią tradycją w brytyjskiej rodzinie królewskiej, zgodnie z którą od czasów księżnej Diany wszystkie maluchy przychodzili na świat w szpitalu Świętej Marii w Londynie. Była aktorka, której media uprzykrzają życie niemal tak mocno jak niegdyś księżnej Dianie, chciała urodzić w domowym zaciszu, podobnie jak wszystkie inne księżne przed Dianą. Jak donoszą brytyjskie media, w ostatniej chwili musiała jednak zmienić zdanie i prawdopodobnie została jednak pędem przewieziona do szpitala, gdzie przyszedł na świat Archie. Według „Daily Mail” operacja była ponoć tak tajna, że nie wiedzieli o niej nawet wyżsi rangą członkowie rodziny królewskiej. Sporo przed narodzinami spodziewali się jej z kolei światowej klasy ginekologów, którzy publicznie wyśmiewali plany Meghan Markle, która swoje pierwsze dziecko urodziła w wieku 37 lat.

Określenie „domowe zacisze” i tak byłoby zresztą niezasadne. Aktorka-księżna planowała bowiem narodziny dziecka w położonej kilkadziesiąt kilometrów od Londynu rezydencji Frogmore Cottage, wyremontowanej niedawno za równowartość ok. 10 mln zł. W posiadłości,

w której mieszka wraz z mężem-księciem, znajduje się 10 sypialni, a także spa, sala do jogi czy siłownia. Na prośbę Meghan wszystkie pomieszczenia miały zostać urządzone zgodnie z zasadami feng shui. Po remoncie rezydencja jest również w pełni zautomatyzowana, dzięki czemu księżęca para może sterować różnymi funkcjami z dowolnego miejsca na Ziemi (pod warunkiem że jest w nim Internet).

Jaka przyszłość czeka ósmego prawnuka królowej Elżbiety II? W sierpniu lub wrześniu czeka go chrzest w kaplicy św. Jerzego. Zgodnie z tradycją dzieci w rodzinie królewskiej są bowiem chrzczone około trzeciego miesiąca życia. Kto zostanie wybrany na rodziców chrzestnych? Tego jeszcze nie wiadomo. Wiadomo za to, że dzieci z królewskiego rodu mają często więcej niż dwoje chrzestnych. Na długiej liście potencjalnych kandydatów znaleźli się ponoć gwiazda tenisa Serena Williams, przyjaciel Harry’ego Jake Warren, starzy przyjaciele Meghan – Benita i Darren Litt – a także drużna i najlepsza przyjaciółka Meghan – Jessica Mulroney wraz z bogatym mężem Benem Mulroneym, synem byłego premiera Kanady. Podobno Jessica była pierwszą osobą na świecie – po Harrym – która dowiedziała się o ciąży aktorki-księżnej.

Wśród potencjalnych rodziców chrzestnych długo wymieniany był też 58-letni George Clooney wraz z piękną 41-letnią żoną Amal – słynny aktor w rozmowie z australijskim magazynem „Who” zaprzeczył jednak tym plotkom.

Na razie wiadomo jednak tylko jedno: zgodnie z królewskim protokołem ojcem

chrzestnym nie powinien być książę William.

NORMALNE ŻYCIE?

Niewykluczone, że nawet gdyby wspomnianej zasady w protokole nie było, to i tak starszy brat Harry’ego nie byłby brany pod uwagę. To właśnie rzekomy konflikt w gronie „wspaniałej czwórki” miał być ponoć powodem przeprowadzki Meghan i Harry’ego do Frogmore Cottage.

Początkowo problemem miała być niechęć Williama do związku młodszego brata z „amerykańską aktoreczką”, a następnie pogłębiający się spór między Meghan Markle a Kate Middleton. Ostatnio mówi się jednak o tym, że żony książąt próbują namówić ich do zakopania wojennego topora. Według niektórych brytyjskich komentatorów o konflikcie w rodzinie królewskiej miała nawet świadczyć treść życzeń złożonych po narodzinach Archiego. „Książę i Księżna Cambridge są zachwyceni wieścią o narodzinach syna Księcia i Księżnej Sussexu i czekają na spotkanie z nowym członkiem rodziny” – napisali William i Kate, po czym oberwało im się za zbyt oficjalne i oschłe życzenia. Księżna Kate i książę William szybko naprawili więc swój błąd. – Jesteśmy bardzo podekscytowani. Nie mogę się doczekać, aż wreszcie zobaczę brata. Witamy go w Społeczeństwie Deprywacji Snu! – oznajmił książę William.

Być może więc narodziny Archiego skruszą lody między braćmi. Być może konfliktu wcale jednak nie ma. Oficjalny powód przeprowadzki był bowiem inny: według pałacu książę Harry chce, aby jego potomek wiódł normalne życie i nie musiał ciągle ukrywać się przed obiektywami natrętnych paparazzich. Wokół Frogmore Cottage księżęcemu maluchowi przeszkadzać zaś może jedynie duża liczba żab (stąd nazwa posiadłości) i ewentualnie hałas płynący od maszyn lądujących na pobliskim lotnisku Heathrow. Samolotowe dźwięki irytować będą jedynie podczas zabawy na dworze – jeszcze przed rozpoczęciem remontu rezydencji przyszli rodzice zażyczyli sobie bowiem, aby budynek był całkowicie dźwiękoszczelny.

Bez tytułów i daleko od tronu Archie ma szansę na w miarę normalne życie, na własną karierę zawodową w Wielkiej Brytanii lub nawet na karierę polityczną w Stanach Zjednoczonych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Cukiernik
z Hawany

Na Kubie wciąż stoi się w długich kolejkach, w lodziarni brakuje lodów, w aptekach leków, a hamburgery bywają sprzedawane bez bułki, bo „chwilowo” jest problem z dostępnością mąki

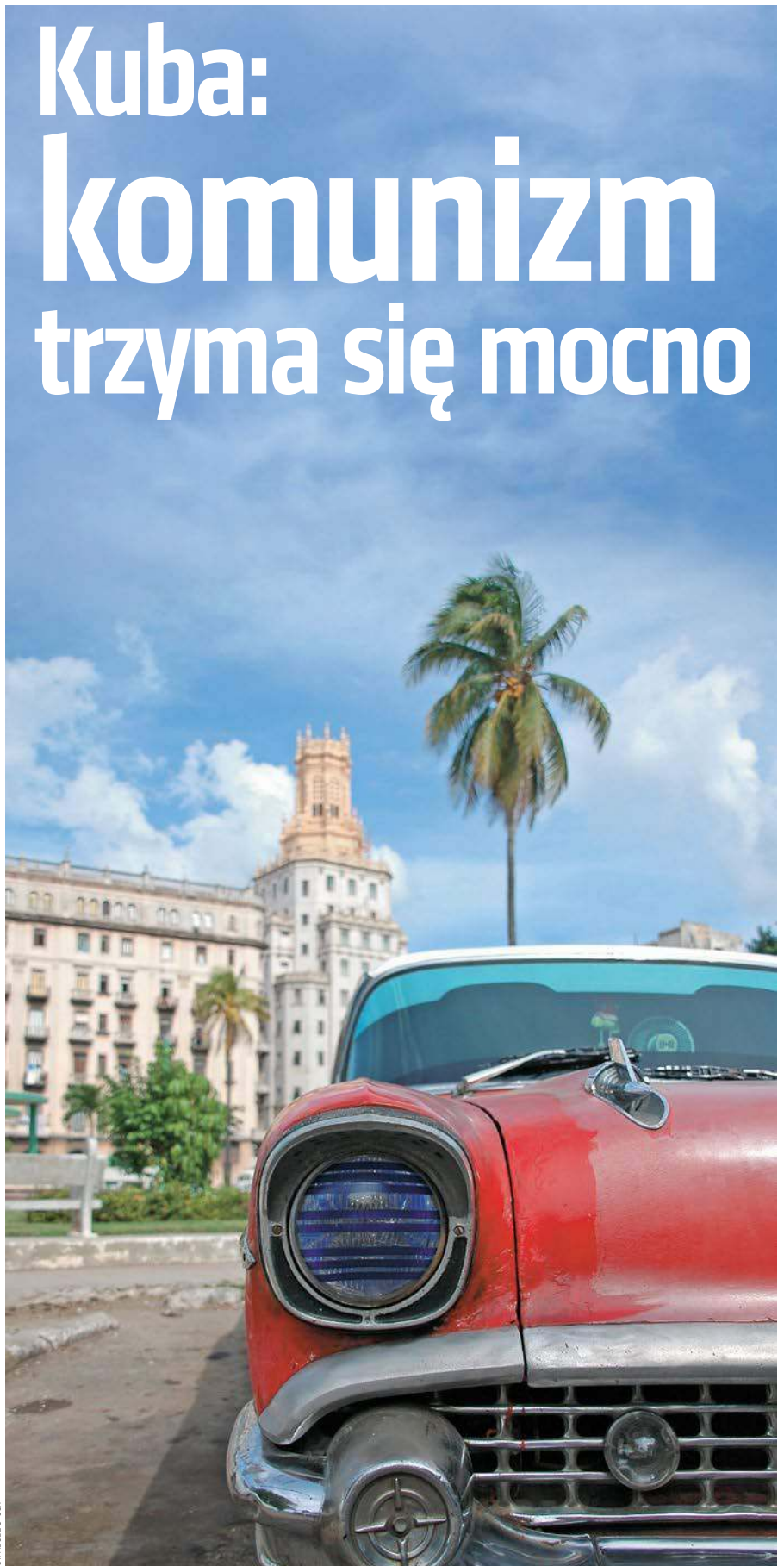
Kuba zaskoczyła mnie, zanim jeszcze dotarłem na lotnisko. Mianowicie mieszkający w Hawanie pół Polak, pół Kubańczyk poprosił mnie, abym przywiózł mu z Polski kilka rzeczy. Myślałem, że będzie chodziło o jakieś typowo polskie produkty, a tymczasem Mario w swojej liście wymienił m.in. zwykły pędzel do malowania ściany, kisiel, chleb razowy i leki na przeziębienie. To już był poważny sygnał, że na Kubie z podażą podstawowych produktów jest bardzo źle.

TRZEBA SOBIE JAKOŚ RADZIĆ

Okazało się, że w rzeczywistości jest jeszcze gorzej, niż myślałem. Podobnie jak Polacy w PRL Kubańczycy stoją w długich kolejkach za wszystkim: za mrożonymi kurczakami, dotowanymi lodami, w bankach czy przed biurami państwowej firmy telekomunikacyjnej ETECSA. Podczas mojego pobytu w całym kraju brakowało mąki, a więc i chleba, a także mleka, oliwy, jajek, wieprzowiny. W restauracjach i barach standardem było, że jeśli kelnerka podawała menu, to od razu mówiła, czego nie ma. W pizzerii nie było pizzy, w restauracji rybnej – ryb, w lodziarni – lodów, w kawiarni – mleka do kawy, a w hamburgerowni sprzedawano hamburgery bez bułki. W innym miejscu oferowano bułkę z szynką... bez szynki. Nawet w drogich restauracjach brakuje kubańskiego piwa czy miejscowego napoju Tu Kola, bo zwyczajnie nie przywieziono go do sklepu, więc właściciel knajpy nie miał gdzie się zaopatrzyć w produkty. Jeśli pojawia się herbata, to jest podłej jakości. – Wszystkiego brakuje, ostatnio najgorzej jest z mąką, kurczakami i jajkami – żali się mieszkanka Hawany. W supermarkecie w Holguín zabrakło... wody mineralnej w 1,5-litrowych butelkach. – Skończyła się. To jest Kuba – wyjaśniła mi inna klientka, nieco się podśmiewając, ale chyba było jej wstyd przed obcokrajowcem.

FOT. AQUIRE STOCK

Kuba: komunizm trzyma się mocno





Kolejka przed sklepem mięsnym w Holguín. FOT. TOMASZ CUKIERNIK

W aptekach ciągle brakuje podstawowych leków, a po dostawie towaru ustawiają się długie kolejki. Często przed rozpoczęciem sprzedaży wystawiane są listy lekarstw, których już nie ma. Na ulicach dzieci proszą o cukierki, a dorośli – o długopisy. Normą jest wyłączanie energii elektrycznej. Chociaż gaz z sieci jest tani, to już gaz z butli jest bardzo trudno dostępny i jest sprzedawany na podstawie specjalnych umów, które nie każdy może zawrzeć. – Całą pensję wydaje się na jedzenie i nie jest to jedzenie, jakie chcielibyśmy jeść, tylko to, co jest dostępne w sklepach, czyli niewiele, np. jeden rodzaj szynki czy jeden rodzaj sera. Jeśli ludzie mają dwie bułki, to głodni idą do pracy, by zostawić je dzieciom na śniadanie – mówi mieszkanka Hawany. – Jest bardzo ciężko, ale trzeba sobie jakoś radzić – mówi z kolei Kubanka z nadmorskiej miejscowości Guardalavaca.

Na wyspie funkcjonuje system reglamentacji. Tak jak w PRL istniały kartki, na Kuby są specjalne książeczki, na podstawie których można kupić podstawowe produkty żywnościowe, choć ich też... brakuje. W ramach przydziału na miesiąc jest ok. 3,5 kg ryżu, 1,5 kg kukuru, 10 jajek, 200 g kawy, 30 bułek i 250 ml oleju, sól, zapałki. Dodatkowo osoby chore mogą liczyć na ryby czy mleko w proszku. Produkty te są bardzo tanie – kosztują w przeliczeniu kilka-kilkanaście groszy, bo Kubańcy ekstremalnie mało zarabiają. Podstawowa pensja wynosi... 9 CUC,

czyli 35 zł miesięcznie. Wyższe pensje mają: nauczyciele, inżynierowie i pracownicy plantacji trzciny cukrowej (jest to ok. 20 CUC), a także niektórzy lekarze – 40 CUC (150 zł). Z powodu tak niskich płac wszyscy są zmuszeni do kombinowania i kradzieży. Kubańcy wynoszą ze swoich miejsc pracy i sprzedają wszystko, co tylko mają pod ręką, np. cement czy farby, których brakuje w sklepach, albo radzą sobie w inny sposób. – Profesor uniwersytetu, lekarz, dyrektor polikliniki stomatologicznej jeżdżą wózeckiem po ulicy i sprzedają lody, żeby zarobić na życie. Z kolei człowiek, który jest dyrektorem szkoły, popołudniami wymienia na ulicy dolary – opowiada ks. Adam Wiński, proboszcz parafii w Bayamo. Pracownicy różnych zakładów i innych obiektów (np. fabryki cygar, szkół czy portów) nielegalnie oprowadzają turystów po swoich miejscach pracy. Paliwo jest tak drogie, że realnie kupują je tylko urzędnicy za służbowe pieniądze, by potem sprzedawać je nielegalnie za 40 proc. ceny.

Komunizm zdewastował kraj gospodarczo i w rezultacie problemem na Kuby jest to, że niewiele się produkuje. Dlatego wiele towarów musi być z importu, a ten jest ograniczony brakiem dewiz. Z braku materiałów fabrykę powozów w Bayamo zamieniono na fabrykę... miniatur tych powozów. Prezydent Miguel Díaz-Canel ciągle apeluje, że trzeba więcej produkować, ale gospodarka jest niewydajna, bo jest państwowa, a ludzie zamiast praco-

wać, wolą się objąć. Nawet na wielkich połaciach kraju, gdzie od czasów kolonialnych uprawiano trzinę cukrową, od kilkunastu lat nie robi się nic.

Mimo całego tego marazmu oraz upodlenia i upokorzenia ze strony komunistycznego reżimu w całym kraju Kubańcy próbują wyszukiwać jasnych elementów życia. Wskazują, że w kraju nie ma przemocy takiej jak w innych krajach Ameryki Łacińskiej. To prawda. Jednak co z tego, że nie ma przemocy fizycznej, kiedy jest jeszcze gorsza przemoc psychiczna ze strony państwa objawiająca się właśnie brakiem towarów, długimi kolejkami do sklepów, tym, że Kubańczyków na nic nie stać z powodu ekstremalnie niskich zarobków, czy tłamszeniem przepisami i podatkami jedynie legalnego drobnego biznesu?

NA STRAŻY KOMITET OBRONY REWOLUCJI

Według obowiązującej propagandy wszyscy Kubańcy są równi, nie głodują, mają dach nad głową, bezpłatną edukację i służbę zdrowia. Czy rzeczywiście tak jest? Łatwo spotkać na ulicach bezdomnych, żebraków i ludzi grzebiących w śmietnikach. Jaka jest równość, skoro nowe auta mogą kupować tylko urzędnicy lub pracownicy państwowych jednostek, bo osoby prywatnej zwyczajnie nie stać? Jaka jest równość, skoro propaganda rządowa jest wszechobecna, a opozycja nie ma



Centrum Hawany FOT. TOMASZ CUKIERNIK



W PRL istniały kartki, na Kubie są specjalne książeczki zakupowe, ale w sklepach i tak brakuje podstawowych produktów żywnościowych FOT. TOMASZ CUKIERNIK

prawa głosić swoich poglądów i za to siedzi w więzieniu? Kuba jest dumna z rzekomo stojącej na wysokim poziomie służby zdrowia. Lekarze są nawet wysyłani na kontrakty do innych krajów, takich jak Wenezuela czy Brazylia. Wysoki poziom służby zdrowia na Kubie musi być jednak złudzeniem, jeśli brakuje podstawowych leków, nie ma dostępu do światowej wiedzy medycznej ani nowoczesnego sprzętu. W szpitalach brakuje nawet strzykawek, więc badane są tylko kobiety w ciąży. Stan szkół też jest opłakany. Na plakatach w podstawówkach wszechobecny jest Fidel Castro, z kolei zbrodniarz Ernesto Che Guevara króluje na straganach z pamiątkami. Na nowszego bohatera i przyjaciela Kuby wykreowano natomiast byłego prezydenta Wenezueli Hugona Cháveza, który doprowadził swój kraj do ruiny gospodarczej. Ostatnio powstają nawet specjalne miejsca w obrobieniu komunistycznych władz upadającej Wenezueli przed amerykańskim imperiaлизmem.

Ulice kubańskich miast nie wyglądają zachęcająco. Nieremontowane od czasów rewolucji kamienice w Hawanie dosłownie sypią się w oczach, a stare samochody bardzo zanieczyszczają powietrze. I nawet nie chodzi o klasyczne fordys i chevrolety z lat 50., bo te mają najczęściej kilkuletnie silniki Mercedesa czy Toyoty, ale o 30-, 40-letnie osobowe łady i moskwicze oraz ciężarowe żyły i kamazy. Nie ma pieniędzy na remonty

infrastruktury. W jednym z państwowych hoteli w Hawanie przeciekał basen, który był na dachu i nie jest naprawiany od 20 lat. W jednej z kamienic w Malecón, reprezentacyjnej ulicy stolicy Kuby, 10 lat temu zepsuła się winda i nadal nie została naprawiona. Jednakże mamy do czynienia z powszechnym marnotrawstwem wynikającym ze złego zarządzania w wykonaniu państwowych urzędników. W piekarni sprzedawczyni nadal stoją za ladą, nawet jeśli wiadomo, że do końca dnia nie będzie dostawy towaru. Nie jest wyjątkiem, że widzi się zaświecone w dzień lampy uliczne.

Kuba jeszcze jakoś funkcjonuje, bo zdecydowana większość Kubańczyków ma rodziny w USA, które pomagają im przetrwać. Jednocześnie ludzie ci nie robią nic, by tworzyć opozycję wobec władz w celu zmiany systemu. Dlatego opozycja jest bardzo słaba. – To, że mają, jak mają, to wina samych Kubańczyków, bo gdy komuniści chcieli palec, dali im palec, gdy chcieli dłoń, dali im dłoń, a kiedy całą rękę, dali rękę – mówi jeden z Kubańczyków.

Jednak jeszcze za życia Fidela Castro komuniści zaczęli wprowadzać pewne reformy. W 2011 r. zliberalizowano prowadzenie działalności gospodarczej i w wielu branżach uwolniono rynek. W rezultacie aktualnie w firmach prywatnych pracuje ok. 13 proc. zatrudnionych. Zalegalizowano też obrót samochodami i nieruchomościami. Kontynuacją tego trendu niewątpliwie jest nowa konstytu-

cja, za którą 24 lutego oficjalnie opowiedziało się w referendum 86,8 proc. głosujących. Chociaż nowa ustawa zasadnicza wprowadza m.in. pewne nowe ułatwienia w prowadzeniu działalności gospodarczej, to nadal nie jest przełomem. Zmiany są kosmetyczne, a konstytucja jednocześnie utrwała władzę Komunistycznej Partii Kuby. – Dokonano silnej identyfikacji patriotyzmu z partią komunistyczną. Jeśli ktoś głosi cokolwiek przeciwnego partii, to nie jest patriotą, to nie jest Kubańczykiem. To jest ta różnica. W Polsce wróg był wyraźny. Wiedzieliśmy, kto jest kto, a tutaj każdy akt przeciwko partii jest atakiem na państwo. Na każdym osiedlu jest komitet obrony rewolucji, który pilnuje tego, żeby ludzie myśleli tak, jak powinni myśleć – tłumaczy ks. Wiński.

Wydaje się, że na rynku Kubańczycy daliby sobie świetnie radę, gdyby tylko uwolniono ich energię i pomysłowość oraz zlikwidowano regulacje i zakazy. To są inteligentni ludzie. Dowodem na to są choćby świetnie funkcjonujące mimo gigantycznych podatków casa particular (prywatne kwatery). Na razie jednak większości mieszkańców wyspy trudno byłoby żyć bez kombinowania, „załatwiania” i kradzieży, czyli dokładnie tak jak w PRL. Po powrocie z Kuby wielokrotnie byłem pytany, czy Kubańczycy są szczęśliwi na zasadzie „biedny, ale zadowolony z życia”. Czyż można być jednak szczęśliwym, kiedy nie ma się co włożyć do garnka?



Łukasz Zboralski

UE przyjęła regulację, która pozwoli karać koncerny za sprzedawanie w niektórych krajach gorszych produktów w takim samym opakowaniu. Konsumentom nie będzie jednak łatwo walczyć o równe traktowanie

Każdy z nas pewnie widział w sklepie proszki z Niemiec. Takie same są sprzedawane w Polsce i to po takich samych cenach, tylko że są gorsze, mają inny skład. Oczywiście to jest tylko przykład, ale to jest nierówność, na którą nie można się zgadzać – mówił niedawno podczas konwencji wyborczej PiS w Poznaniu Jarosław Kaczyński.

„Chemia z Niemiec” jest już w Polsce czymś oczywistym. Od lat wiadomo – i koncerny się do tego zresztą oficjalnie przyznały – że proszki dla Polaków zawierają więcej wypełniacza niż te kierowane na rynki zachodniej Europy. Tłumaczenie koncernów było kuriozalne. Sugerowały, że to po prostu dopasowanie do zachowań konsumenta, bo Polacy sypią więcej proszku do prałek niż zachodni Europejczycy. Nikt nie wytłumaczył, jak mają sypać mniej, skoro mają do dyspozycji mniej substancji piorących.

DLA POLAKA MNIEJ W PACZCE

O ile chemię sprzedawaną na polski rynek ogólnie postrzega się jako gorszą, o tyle w przypadku innych produktów niezbyt wielu Polaków ma świadomość, że też dostaje coś gorszego niż konsumenci za zachodnią granicą. Aż 86 proc. rodaków w ogóle nie słyszało nawet o pojęciu „podwójna jakość żywności” lub nie wie, co to oznacza (badanie Kantar Public dla UOKiK w 2017 r.). Bo też wiele osób nie kupowało nigdy tych samych produktów w kraju i za granicą. Jednak przytłaczająca większość (68 proc.) tych, którzy przez dłuższy czas mieszkali poza Polską, doskonale zdaje sobie sprawę, że jakość tych samych produktów sprzedawanych w innych krajach europejskich jest wyższa niż tych przeznaczonych na rynek polski.



Unia dwóch smaków

Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów dwa razy przeprowadził testy porównawcze produktów spożywczych. W 2017 r. w akredytowanych laboratoriach sprawdzano te same produkty kupione w Polsce i w Niemczech. W sumie przyjrano się 37 parom artykułów żywnościowych sprzedawanych w Aldi, Kauflandzie, Lidlu, Makro Netto i Rossmannie. Były to m.in.: serek, chipsy, napoje, soki, jogurty, herbata, kawa, pizza mrożona, ketchup, czekolady, ciastka, żelki, kakaowy krem do smarowania pieczywa i wędliny.

W czterech przypadkach UOKiK zauważył dużą różnicę w jakości. Paprykowe chipsy Crunchips, choć sprzedawane w takim samym opakowaniu, zawierały o 25 g mniej chipsów. Te oferowane Niemcom były smażone na oleju słonecznikowym i dodawano do nich proszki pomidorowy oraz serowy. Natomiast chipsy oferowane Polakom

smażono na oleju palmowym, miały wzmacniacz smaku (glutaminian monosodowy) i wyższa była w nich zawartość tłuszczu.

Z kolei produkowana na polski rynek herbata Lipton Ice Tea Peach miała w sobie mniej ekstraktu z herbaty i oprócz cukru zawierała fruktozę oraz słodzik. Do niemieckiej producent dodawał jedynie cukier. Ta sama czekolada Milka z orzechami sprzedawana w niemieckich sklepach miała w sobie więcej orzechów niż ta sprzedawana w Polsce. A serek Almette z ziołami w obu krajach na opakowaniu opisany był jako „100% naturalne składniki”, jednak ten w Polsce zawierał regulator kwasowości. No i niemiecki serek wyprodukowany był z twarogu, a polski zawierał twaróg oraz odtłuszczone mleko w proszku.

W drugim kwartale ubiegłego roku UOKiK przeprowadził inny test. Skontrolował produkty oferowane w Polsce – ale



Orzeszki Curly Peanut Classic przy identycznych opakowaniach w polskiej wersji zawierały 120 g produktu, w zachodnioeuropejskiej – 150 g. Sos Knorr Fix Spaghetti Bolognese produkowany dla mieszkańców Europy Zachodniej przygotowywany był z papryki, cebuli i czosnku pochodzących z upraw zrównoważonych, w polskiej wersji warzywa nie pochodziły z takich upraw. Serek Philadelphia wyglądał na tak samo duże opakowanie, ale to dla Polaków było płytsze, więc zawierało nie 175 g sera, lecz 125 g. Produkt na rynki zachodnie wyprodukowany był z sera twarogowego, ten na polski rynek z mleka pełnego, śmietany i koncentratu białek serwatkowych. Tylko w dwóch przypadkach produkty oferowane na polski rynek były lepsze – lepszą jakość miała czekolada Milka Oreo oraz napój Capri Sun Orange (w polskiej wersji zawierało o 13 proc. więcej soku pomarańczowego).

BÓJ O STANDARD

Badania polskiego UOKiK przekazane zostały Komisji Europejskiej, która najpierw zajmowała się tą sprawą. A na poziomie Unii temat stał się nie do ukrycia, gdy publicznie awanturę o to zaczęli robić politycy z Czech i ze Słowacji. Potem połączyli siły z Polakami i Węgrami. O gorszym traktowaniu konsumentów w Europie Środkowo-Wschodniej mówiono głośno m.in. podczas spotkania Grupy Wyszehradzkiej w Bratysławie pod koniec 2017 r. Premier Słowacji Robert Fico podkreślał wówczas, że problem podwójnych standardów żywności w UE pojawił się już w latach 90. Ówczesna premierka Ewa Szyclo podkreślała, że takie dyskryminowanie części mieszkańców Unii jest niedopuszczalne. Szef węgierskiego rządu wskazywał, że z analiz wynika, iż 70 proc. produktów sprzedawanych Węgrom różni się od ich odpowiedników oferowanych w Europie Zachodniej.

Na początku Komisja Europejska zaplanowała jedynie opracowywanie metodologii porównywania produktów oraz opracowała zbiór wytycznych w sprawie stosowania unijnego prawa żywnościowego – miało to pomóc państwom członkowskim wyłapywać, czy jakieś przedsiębiorstwo łamie prawo UE. Komisja przeznaczyła m.in. milion euro na opracowanie wspólnej metodologii badań i milion euro dla krajów członkowskich na współfinansowanie

krajowych projektów. To wciąż było tylko jednak ledwie zauważanie tematu.

FINAŁ ZA DWA LATA?

Ostatecznie powstała unijna dyrektywa w tej sprawie. Niedawno Parlament Europejski zagłosował za dyrektywą 2005/29/WE. Po raz pierwszy praktyka oferowania podwójnej jakości produktów w takich samych opakowaniach została wprost wskazana w unijnej regulacji. To większy krok niż wytyczne, ale wielu wskazuje, że nadal niezbyt restrykcyjny. Na etapie negocjacji z przedstawicielami państw członkowskich projekt został złagodzony. Wcześniej europosłowie proponowali w ogóle zakazać producentom i dystrybutorom sprzedaży pod taką samą nazwą i w takich samych opakowaniach różniących się produktów. Różnice mieliby wyraźnie zaznaczać na opakowaniach.

Pod głosowanie PE trafił już projekt, w którym dopuszczono pewne wyjątki. Będzie można np. sprzedawać produkty regionalne, w tym owoce czy warzywa, choć informacja o tym będzie musiała znaleźć się na opakowaniu.

Największym problemem jest jednak to, że nawet po implementacji dyrektywy w każdym kraju (mają na to dwa lata, w Polsce takie zapisy mają zostać zawarte w Ustawie o przeciwdziałaniu nieuczciwym praktykom rynkowym), to konsumenci będą musieli zgłaszać nieprawidłowości. A ilu z nich jest w stanie w ogóle kupić takie same produkty w dwóch krajach? I jeszcze stwierdzić, bez laboratoriów, że np. składki produktów znacznie od siebie odbiegają?

Dopiero po zgłoszeniach od konsumentów pojedynczymi sprawami będzie zajmował się UOKiK i zbada, czy istotnie doszło do oferowania podwójnych standardów produktów na europejskim rynku. Jeśli tak, to teoretycznie na końcu urząd będzie mógł nałożyć karę wynoszącą maksymalnie 10 proc. obrotu przedsiębiorstwa.

Wydaje się więc, że Polacy, Słowacy, Węgrzy i Czesi nadal nie zyskali systemowej ochrony swoich konsumentkich interesów. Kolejną szansę na prawdziwie równe traktowanie przez koncerny będą mieć za dwa lata. Wówczas Komisja Europejska zbada, co dało wdrożenie nowej dyrektywy. Być może uda się wywalczyć więcej prawdziwej równości w UE, bo będą to już inna Komisja i inny Parlament Europejski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Po co się trapić przyszłością?

Czy warto się zamartwiać przyszłością, skoro – jak dosadnie wyraził to ongiś John Maynard Keynes – „w dłuższej perspektywie czasu wszyscy i tak będziemy martwi”? Czy warto zaprzętać sobie głowę tym, co może, ale przecież nie musi się stać – za kilka lub kilkanaście lat? Czy warto się frasować tym, czy Polska będzie wtedy miała się dobrze czy źle? Czy będzie zasobna, czy nie?

Może jednak nie warto i należy się skupić wyłącznie na tym, co dziś? I jak się da coś od razu skonsumować, to trzeba to robić, nie oglądając się na nikogo i na nic, nawet jeśli konsumuje się na kredyt? W końcu po co się trapić tym, że kiedyś trzeba będzie ten kredyt spłacić, tym bardziej że być może nie na nas spadnie ten obowiązek, lecz na nasze dzieci albo wnuki?

Do takich wniosków zaczynam dochodzić, im dłużej słucham festiwalu obietnic polityków – i tych, którzy dziś rządzą, i tych, którzy rządzą kiedyś, a dziś są w opozycji (takich jak ci z Platformy, którzy podwoili dług Polski z 0,5 bln do 1 bln zł), a niemal wszyscy oni (bo mało znaczący ostatni liberałowie się nie liczą) przekonują, że powinniśmy się kierować wyłącznie filozofią carpe diem. Do takich wniosków zaczynam dochodzić, im dłużej słucham o „piątkach”, a pewnie wkrótce także „dziesiątkach”, bo nikt tu przecież nikomu w rozdawaniu cudzych pieniędzy wyprzedzić się nie da.

A jeśli tak, to jakże nie-słuszna musiała być polityka oszczędności budżetowych

i koncentrowania się – i to dopiero, gdy pojawiały się ku temu możliwości – raczej na obniżaniu podatków niż zwiększaniu pomocy społecznej? Jak z gruntu błędna musiała być polityka premierów współdziałających z ministrem finansów Leszkiem Balcerowiczem i premiera Jarosława Kaczyńskiego, współpracującego z ministrem finansów Zygmuntą Gilowską, którzy z uporem forsowali liberalną politykę gospodarczą, a co się z tym wiąże – także społeczną?

To przecież wtedy (w latach 2006–2007) rząd PiS nie tylko obniżył podatki, lecz także skasował najwyższą stawkę podatkową PIT. Od tamtej pory płacimy podatki według dwustopniowej skali 18 i 32 proc., zamiast, tak jak wcześniej, trzystopniowej – 19, 30 i 40 proc. Nadto skasowano wtedy podatki od spadków i darowizn, od alimentów na dzieci, od pożyczek, a także 10-procentową akcyzę na kosmetyki, składkę rentową zmniejszono z 13 do 6 proc., stawkę VAT na usługi pracochłonne z 22 do 7 proc., stawkę VAT w budownictwie z 22 do 7 proc., obniżono też akcyzę na używane auta i biopaliwa oraz wysokość opłat notarialnych.

Po co było to wszystko? Po to, by Polska mogła sobie poradzić w trudnych czasach – a te szybko nadeszły – i za rządów następców z Platformy przejść suchą nogą przez kryzys 2008–2010? A nie lepiej było – po keynesowsku – się tym nie turbować, lecz spieszyć z „piątkami”? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Algorytmy też błędzą

Każdy Polak powinien nauczyć się dwóch słów, które po angielsku pisze się „false positive”, a wymawia „fols pozitif”. Dlaczego? Otóż służby skarbowe i organy kontrolujące różne aspekty życia Polaków w coraz większym stopniu zaczynają korzystać z algorytmów w podejmowaniu wielu ważnych dla przeciętnego Polaka decyzji.

Na przykład system STIR prognozuje, czy dana firma wkrótce popełni przestępstwo podatkowe. Planuje się prowadzenie testu przedsiębiorcy, gdzie na podstawie wielu atrybutów (cech) Ministerstwo Finansów będzie określało, czy dana osoba prowadząca działalność gospodarczą rzeczywiście ją prowadzi, co uprawnia do płacenia podatku liniowego, czy ukrywa stosunek pracy pod formą działalności gospodarczej i być może zaniża należny fiskusowi podatek. Kwestią czasu jest wprowadzenie takich algorytmów w wielu innych sferach: sądownictwie, edukacji, służbie zdrowia etc.

Jak działają takie algorytmy? Załóżmy, że celem jest podział obywateli na dwie kategorie, umownie nazwane jako dobrzy i źli (np. przestępca i uczciwy, przedsiębiorca prawdziwy i fałszywy), i znalezienie tych złych. Analizie poddaje się dużą bazę danych historycznych, często zawierającą miliony obserwacji, w której zapisane są różne atrybuty (cechy) obywateli lub firm.

Wśród danych historycznych są zarówno przypadki dobrych, jak i złych obywateli. Następnie dzieli się

bazę danych na dwie części – treningową (większą) i testową (mniejszą). Potem wiele algorytmów (zwanych również modelami) uczy się rozpoznawać dobrych i złych obywateli na podstawie ich cech zapisanych w bazie. To mogą być proste modele, których uczy się każdy student nauk społecznych, albo skomplikowane głębokie sieci neuronowe. Gdy już model zostanie wytrenowany, testuje się go na bazie testowej, żeby sprawdzić, czy dobrze działa. Takie testowanie nazywa się walidacją modelu. Są cztery możliwe wyniki testów: (1) dobry Polak został zakwalifikowany jako dobry, (2) zły Polak został zakwalifikowany jako zły. W obu przypadkach model prognozował poprawnie. Są też jednak możliwe dwa rodzaje błędów: (3) zły Polak dostał od modelu etykietkę dobrego (tzw. fols negatif), oraz najbardziej interesujący nas błąd: (4) dobry Polak został automatycznie zakwalifikowany jako zły (tzw. fols pozitif).

Dobry model to taki, który daje dobre prognozy na zbiorze testowym. Przy czym jeśli nawet dokładność wynosi 95 proc., to gdy analizie poddaje się milion osób, model może błędnie zakwalifikować 50 tys. dobrych Polaków jako złych. I ich z automatu ukarać. W algokracji, która stopniowo zastępuje demokrację, słowo „niewinny” – używane dzisiaj w białkowych mechanizmach zarządzania – zostanie zastąpione słowami „fols pozitif”. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: SAMSUNG GALAXY S10 PLUS

Swietna jakość zdjęć wykonywanych trzema tylnymi aparatami, nowoczesny, elegancki design oraz ogromny, rewelacyjny wyświetlacz – to największe zalety najnowszego flagowca południowokoreańskiego producenta.

Zarówno jakość wykonania, jak i wygląd przedniej części testowanego urządzenia zwalają z nóg. Ekran Super AMOLED o przekątnej 6,4 cala to jeden z najlepszych wyświetlaczy na rynku (jego rozdzielczość wynosi 1440 x 3040, a na każdym calu wyświetlacza udało się upchnąć aż 526 pikseli). Minimalna wielkość ramek pokazuje zaś kunszt azjatyckich inżynierów. Szklana tafla z tyłu urządzenia oraz wąskie aluminiowe ramki podkreślają zaś, że trzymamy w rękach produkt premium. Smartfon jest też wodo- i pyłoszczelny (zgodnie z normą IP68).

Ogromne wrażenie robią też fenomenalne aparaty, dzięki którym Samsung nadal pozostaje w czołówce producentów smartfonów dla miłośników cyfrowej fotografii. Z tyłu urządzenia zainstalowano trzy obiektywy: główny, ultraszerokokątny oraz tele. Pierwszy z nich ma rozdzielczość 12 Mpix i zmienną przy-



128 GB pamięci. Bateria o wielkości 4100 mAh sprawia, że nawet intensywnie używany smartfon spokojnie wytrzyma cały dzień na jednym ładowaniu. Fajnym dodatkiem jest też możliwość bezprzewodowego doładowywania za pomocą telefonu innych urządzeń (można więc wziąć na wyjazd tylko jedną ładowarkę, a za drugą będzie służył Galaxy S10 Plus).

A minusy? Nie ma ich zbyt wiele. Po pierwsze,

słone (f/1.5 oraz f/2.4), drugi – 16 Mpix i f/2.2, a trzeci – 12 Mpix i f/2.4. Z przodu znajdują się dwa obiekty o rozdzielczości 10 Mpix i 8 Mpix.

W zdjęciach zrobionych w dobrym oświetleniu poziom detali, a także ostrość obrazu zapierają dech. Jednocześnie zdjęcia nie są już „podkoloryzowane” i wiernie odwzorowują rzeczywistość. Smartfon bardzo dobrze radzi sobie również z jakością nagrań wideo. Gorzej jest jednak w przypadku fotografii i filmów wykonanych po zmroku. Zdjęcia nocne wciąż wyglądają nieźle, ale niektórzy konkurenci Samsunga na tym polu wypadają wyraźnie lepiej.

Galaxy S10 Plus we wnętrzu skrywa najnowocześniejsze podzespoły, zaczynając od procesora Exynos 9820 poprzez 8 GB RAM oraz

mimo fantastycznych podzespołów Galaxy S10 Plus trudno uznać za wzór płynności działania – irytujące mikrolagi zdarzają się zbyt często jak na sprzęt, na który trzeba przeznaczyć więcej niż jedną średnią krajową. Po drugie, zatopiony pod ekranem ultradźwiękowy czytnik linii papilarnych nie zawsze funkcjonuje tak szybko i dobrze, jak powinien w smartfonie tej klasy. Na szczęście bez zarzutu działa odblokowywanie smartfona za pomocą rozpoznawania twarzy. Po trzecie, smukła budowa sprawia, że użytkownik ma prawo się bać, iż telefon łatwo wypadnie mu z ręki (choć w rzeczywistości trzyma się jej zaskakująco dobrze).

Główną wadą tego modelu jest jednak cena, która wynosi aż 4,4 tys. zł. © **Jacek Przybylski**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SOLARNA BUTELKA

Idzie lato, więc jedno, co warto, to... napić się warto. Korzystając przy tym na przykład z Hydrade, czyli zasilanej energią słoneczną inteligentnej butelki, która monitoruje ilość wypitego płynu i w zależności od temperatury powietrza proponuje kolejne dawki napoju. Cała „magia” butelki polega oczywiście na połączeniu z aplikacją smartfonową – urządzenie przekazuje dane o liczbie wypitego płynu, wykonanym ruchu, a ta z kolei wysyła powiadomienia z propozycją uzupełnienia,

w odpowiednim momencie, poziomu wody w organizmie.

Problem jedynie w tym, że urządzenie bardziej przyda się na kolejne lato niż na nadchodzące. Zamawiać można na Indiegogo w cenie ok. 120 zł za sztukę, ale dostawa dopiero w grudniu.

OKRĄGŁA SIŁOWNIA

Najpierw człowiek wynalazł koło. Później zamienił je na oponę, a teraz nauczył się, jak z opony zrobić „oponkę”. Taką pełną mięśni. I to nie

ruszając się zza biurka. Emery to niewielki, ale przydatny gadżet pozwalający ćwiczyć mięśnie w trakcie pracy, podczas podróży samolotem czy w domu podczas oglądania „Gry o tron”. Gadżet przypomina nieco miniaturową oponkę z uchwytem wewnątrz niej. Odpowiedni uchwyt i wprowadzenie w ruch obrotowy powoduje trening mięśni nadgarstka lub przedramienia, pozwala także na ćwiczenie bicepsów i tricepsów.

Specjalne zasuwki na uchwycie pozwalają na regulację obrotu urządzenia, ale też na stopniowanie wysiłku fizycznego, na jaki musimy się zdobyć, by urządzenie w ten obrót wprowadzić.

Do tego wszystkiego oczywiście dochodzi apka smartfonowa pozwalająca na rejestrowanie liczby obrotów, czasu poświęconego na trening i przybliżonej liczby spalonych kalorii.

Emery wraz z aplikacją można zamawiać na portalu Indiegogo, dostawę zaplanowano na listopad tego roku, a przybliżony koszt urządzenia to ok. 200 zł. © **Wojciech Wybranowski**





Agnieszka Niewińska

Na wpadce z kubkiem z logo Starbucks w serialu „Gra o tron” popularna sieć kawiarni zyskała reklamę wartą miliony dolarów. Podobne błędy zdarzają się w przemyśle filmowym dość często

Kubek nie z tego świata

By sprawa jednorazowego kubka z sieciowej kawiarni obiegła media społecznościowe i większość internetowych portali, wystarczyły dwie sekundy. Nie były jakie, bo chodzi o dwie sekundy w serialu „Gra o tron” według bestsellerowej sagi George’a R.R. Martina „Pieśni lodu i ognia”. Pierwszy sezon serialu pojawił się w 2011 r. Obecnie emitowany jest ósmy – ostatni. Tylko w USA pierwszy jego odcinek obejrzało blisko 17,5 mln widzów.

W czwartym, który udostępniono widzom w ubiegłym tygodniu, internauci wypatrzyli niepasujący element. Na stole pojawił się jednorazowy kubek do kawy z amerykańskiej sieciówki Starbucks. Tym, którzy „Gry o tron” nie znają, wyjaśniamy, że to serial fantasy. Mroczne zamczyska, smoki, zbrojni rycerze – takie obrazy przywołują na myśl. A bohaterowie piją raczej z metalowych kielichów niż z jednorazowych kubków i dlatego opakowanie po kawie ze Starbucks wywołało takie poruszenie.

Fani serialu wypatrzyli je w scenie z uczty po wygranej bitwie z Białymi

Wędrowcami. Jednorazowy kubek stoi na stole przed jedną z głównych bohaterek Daenerys Targaryen (w tej roli Emilia Clarke). Po tym „odkryciu” fanów tylko w ciągu pierwszej doby po wyświetleniu odcinka liczba cytowań tytułu serialu i nazwy sieci kawiarni szła w setki tysięcy. Jako że sieć Starbucks słynie z tego, że sprzedawca kawy pyta o imię klienta i zapisuje je na papierowym kubku, internauci w jednym z memów zaproponowali, jak powinien opisać kubek dla filmowej Daenerys. I nie ograniczyli się do imienia, ale posłużyli się opisem filmowej postaci: „Daenerys z rodu Targaryen, Pierwsza Tego Imienia, Zrodzona w Burzy, Niespalona, Wyzwolicielka z Okowów, Matka Smoków [...]”.

DARMOWA REKLAMA WARTĄ MILIONY

– Internauci wykazali się niezwykłą spostrzegawczością. Choć oglądałem ten odcinek, to nie zauważyłem papierowego kubka z sieciówki – mówi Szymon Sikorski, prezes agencji Publicon. – „Gra o tron” to fenomen popkulturowy.

Ekspozycja produktu Starbucks w tak kultowym serialu i – co za tym idzie – cytowania w mediach, komentarze, memy, udostępnienia materiałów na ten temat ma wartość kilkudziesięciu milionów dolarów – szacuje Sikorski. CNBC poszło w swoich obliczeniach jeszcze dalej. Stacja twierdzi, że dzięki wpadce ekipy „Gry o tron” sieć kawiarni zyska darmową reklamę o wartości 2,3 mld dol.

Szymon Sikorski zwraca uwagę, że Starbucks doskonale wykorzystał pojawienie się produktu w kadrze, żartując z fanami. Na twitterowym koncie sieci pojawił się komentarz: „Szczepnie mówiąc, byliśmy zaskoczeni, że nie zamówiła Dragon Drink”.

Sieć w rozmowach z obserwującymi jej konto nawiązywała do dialogów z serialu. Zareklamowała dostępny w kawiarniach sieci koktajl Dragon Drink na bazie smoczycy owoców, mango i mleka kokosowego. – Komentarze internautów pod adresem Starbucks były pozytywne. Krytyki doczekało się HBO. Choć serial jest wysoko oceniany, to widzowie zwrócili uwagę, że ostatni sezon nie trzyma poziomu – mówi Sikorski.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

celowo – ocenia Szymon Sikorski. – HBO jest poważnym producentem, a „Gra o tron” to serial, który nazwałbym kamieniem milowym w rozwoju telewizji. Od początku był robiony na poważnie. Producenci nie zdecydowaliby się raczej na lokowanie papierowego kubka z sieciówki – mówi prezes agencji Publicon i dodaje, że błędy w serialach to efekt zawrotnego tempa pracy. – W przypadku „Gry o tron” ograniczana jest także liczba osób, które oglądają gotowe odcinki, by jak najdłużej utrzymać fabułę w tajemnicy przed widzami.

Mniej czy bardziej spektakularne wpadki filmowe można znaleźć niemal w każdej produkcji. Zarówno w serialach, jak i w filmach pełnometrażowych, gdzie – przynajmniej w teorii – presja czasu jest mniejsza. Na jedno twórcy mogą liczyć: najbardziej zagorzali kinomani na pewno dostrzegą nawet te najdrobniejsze błędy. A potem je opiszą i podzielą na kategorie jak w istniejącym od 1996 r. serwisie Moviemistakes.com, który opisał 100 tys. filmowych błędów z 10 tys. produkcji. Strona aktualizowana jest niemal codziennie.

Często błędy w montażu biorą się z tego, że filmowcy korzystają ze zdjęć z kilku nakręconych dubli. Jeśli np. ekipa nie dopilnuje, by w każdym dublu aktor był identycznie ubrany, a rekwizyty rozłożone w ten sam sposób, wersja finalna filmu może być pełna potknięć.

W niektórych produkcjach można zobaczyć też wpadki z ekipą filmową odbijającą się w samochodowym lusterku albo w wiszącym na ścianie zwierciadle.

Częstym filmowym błędem – jak w przypadku „Gry o tron” – są „przybyśsze z przyszłości”. W „Troi” Wolfganga Petersena z 2004 r. na motywach „Iliady” Homera w pewnym momencie nad Achilesem można zobaczyć... przelatujący samolot. W „Gladiatorze” z 2000 r. w reżyserii Ridleya Scotta na jednym z ujęć – choć akcja toczy się niemal 2 tys. lat temu – walczącemu na arenie gladiatorowi przygląda się mężczyzna z kamerą na statywie – zapewne członek ekipy filmowej. W tym samym filmie widzowie w jednej ze scen na drugim planie wypatrzili Rzymianina w dżinsach. Z kolei przewrócony rydwan odsłonił butlę ze sprężonym powietrzem bądź jakimś innym gazem.

„Braveheart. Waleczne serce” w reżyserii Mela Gibsona (1995) to historia przywódcy szkockiego powstania

– Williama Wallace’a, który żył na przełomie XIII i XIV w. Mimo to w tle szarzy konnej wprawne oko dostrzeże samochód i zapłatanego przypadkiem członek ekipy w czapeczce z daszkiem.

Kilka lat temu wesołość wzbudziły materiały promujące brytyjski serial kostiumowy „Downton Abbey”, opowiadający o perypetiach arystokratycznej rodziny na początku XX w. Na jednym z użytych do promocji zdjęć na kominku za plecami hrabiego Granthama i jego córki Edith widzimy plastikową butelkę z wodą. Na Wyspach w użyciu były one dopiero od lat 60. Rozbawieni internauci przerabiali zdjęcie, doklejając do niego różne atrybuty współczesności w postaci tabletek, okularów Google czy kubków z jedzeniem z restauracji fast food. By wybrnąć z sytuacji, ekipa serialu postawiła na żartobliwe zdjęcie. Zapozowali z plastikowymi butelkami. „Jesteśmy zawstydzeni aferą butelkową” – napisali pod upubliczniąoną fotografią.

MALUCH YELLOW BAHAMA

Błędy znajdziemy w niejednej polskiej produkcji. Niektóre wręcz przysporzyły filmom widzów. Jednym z bardziej spektakularnych jest ten z ekranizacji „Pana Wołodyjowskiego” (1969) w reżyserii Jerzego Hoffmana. W tle sceny, w której Ketling strzela z armaty, widzimy w oddali przejeżdżającą ciężarówkę. Powtórzyć sceny się nie dało, wymazał cyfrowo też nie. Wpadka zdobyła rozgłos. Reżyser wspominał, że dzięki niej na film poszły do kin dodatkowe tysiące widzów. Chcieli tę ciężarówkę z przyszłości zobaczyć w scenach „Pana Wołodyjowskiego”.

Niektóre filmowe wpadki zostają z widzami na zawsze. – Pamiętam serial telewizyjny „Chłopi” na podstawie prozy Władysława Reymonta w reżyserii Jana Rybkowskiego z 1973 r. – wspomina krytyk filmowy Wiesław Kot. – W finałowym odcinku społeczność wsi na taczce wywozi Jagnę, która zanadto spoufałała się z mieszkańcami Lipiec. Wywożą ją poza wieś, wyrzucają na poboczu drogi, wkoło postpańszczyźniany wiejski krajobraz. Jagna – w tej roli Emilia Krakowska – podnosi się zapłakana, z rozpaczą na twarzy. Pokochałem tę scenę, kiedy na trzecim planie zobaczyłem wolno sunącego małego fiata koloru yellow bahama. Takie auto było moim marzeniem, w tamtych czasach niemożliwym do zrealizowania – śmieje się Kot.

Internauci wypatrzili też inne błędy ekipy „Gry o tron”. W ósmym sezonie charakterystorzy pogubili się w perukach Daenerys. W jednym z odcinków najpierw nosi warkocz, a za chwilę widzimy ją w peruce z kokiem. W piątym sezonie w scenie śmierci Stannisa Baratheona widać ładowarkę laptopa, która zaplatała się w nogach konającego, choć świat „Gry o tron” nie jest skomputeryzowany.

„PRZYBYSZE Z PRZYSZŁOŚCI”

HBO poinformowało, że papierowy kubek w kadrze nie był zamierzony. „Latte, które pojawiło się w tym odcinku, to błąd, Daenerys zamówiła herbatkę ziołową” – puścili oko do widzów producenci.

Na platformie HBO GO kubka już nie zobaczymy. Został cyfrowo usunięty. Mimo to internauci w sieci toczą dyskusję, czy było to niechlujstwo filmowej ekipy, czy może jednak starannie zaplanowana akcja lokowania produktu.

– Bardzo wątpię w to, by kubek Starbucksa znalazł się w kadrze „Gry o tron”



Joanna Bojańczyk

Camp, niegdyś podziemna subkultura gejowska, za sprawą show-biznesu przeniknął do obiegu oficjalnego. W nowojorskim MET przedstawia go wystawa

Kto nie słyszał o campie, ten ma okazję dowiedzieć się o tym zjawisku. 5 maja w nowojorskim Metropolitan Museum otwarto wystawę pt. „Camp. Notatki z mody”.

Nowy Jork, trochę daleko, żeby pójść z rodziną w niedzielę, ale o wszystkich tego rodzaju wydarzeniach w tym muzeum mówi się na całym świecie, także u nas. Wystawy o modzie od paru lat odnoszą nieporównywalny z innymi sukces frekwencyjny. Ostatnią („Boskie ciała”) prezentację o motywach chrześcijańskich w modzie obejrzało 1,7 mln widzów, poprzednia – „Aleksander McQueen” – miała 660 tys. widzów. Nie bez powodu najnowsza wystawa, która prezentuje 250 obiektów, otwiera się przed szczytem sezonu turystycznego. Sukces zapewniony.

Jako rezultat wyszukiwania słowa „camp” polski Internet wyrzuca listę campingów. Nic dziwnego – to słowo długo należało do specjalistycznego żargonu krytyków sztuki współczesnej. Jest angielskie, ale pochodzi od francuskiego czasownika – „camper”, czyli przybierać pozę.

Odnosiło się do gejowskiej estetyki transseksualnej. Oznaczało rodzaj absurdałnego humoru związanego z subkulturą gejowską – drag queens, przebieranki, maskarady. Miała to być obrona i maska osłaniająca przed homofobią.

Pierwsza definicja campu ukazuje się w roku 1909, ale zjawisko historycy odnajdują dużo wcześniej. Pompatyczny pałac w Wersalu czasów Ludwika XIV, przepych dworu, teatralność, maskarada tak wystawne, że aż kiczowate, były pierwowzorem dzisiejszego rozumienia campu.

W czasach wiktoriańskich camp kojarzono z podziemną subkulturą homoseksualną. Za przebranie się w damskie szaty mężczyzna mógł pójść do więzienia. „Camp to czyni i gesty sztuczne,

Zanik gustu?

przesadzone” – pisano w angielskim słowniku w roku 1909.

MASKARADA

Temat wystawy w MET osnuty jest wokół eseju Susan Sontag, „Notatki o kampie” opublikowanego w 1964 r. „Nie lubię tanich, płytkich uczuć” – mówi pisarka i na patrona stylu wyznacza Oscara Wilde’a, a modelami estetycznymi czyni zły gust, sztuczność, przesadę, ironię. Camp według Sontag jest świadomym kiczem, świadomie do niego dąży i nigdy się nie obawia, że przeholował. „Wiele jest na świecie rzeczy nienazwanych i wiele takich, które nigdy nie zostały opisane, jeżeli nawet były nazwane. Jedną z nich jest rodzaj wrażliwości występujący pod kultową nazwą »kamp« – odmiana wyrafinowania, które jednak wyrafinowaniem nie jest”.

Krytyk sztuki, Bogusław Deptuła, autor eseju o campie w „Dwutygodniku”: „umiejętność znajdowania perwersyjnej przyjemności tam, gdzie tak zwany dobry smak odwraca z odrazą wzrok: w musicalach, komiksach, filmach pornograficznych (tu konieczne jest doprecyzowanie – filmach pornograficznych

oglądanych bez podniecenia).

Ten rodzaj obcowania ze sztuką odrzuca zwyczajowe kategorie »dobry-zły« jako niewystarczające. I proponuje nową: »rzeczy tak złych, że aż dobrych«. Nie jest to jednak ten rodzaj złośliwości czy drwiny, z jaką wyższe przygląda się niższemu”.

Dzisiaj camp to więcej niż koncepty i definicje, to samo życie.

Sontag wymienia Jeana



Cocteau, André Gide'a, Ryszarda Straus-
sa, sztukę pop-artu. Jednak już wtedy,
40 lat temu, gdy pisała swój esej, camp
z drugiego obiegu zaczynał przenikać
do nurtu głównego. Dzisiaj funkcjonuje
oficjalnie, a wymieniani przez Sontag
twórcy wydają się dostojni i poważni
w porównaniu z tym, co wyprawia się
dziś na galach, festiwalach, koncertach
rockowych. Maskaradę uprawia się już
nie melodramatycznie, ale z pełnym
wyrachowaniem. Lady Gaga, królowa
campu we współczesnym show-biz-
nesie, wytyczyła drogę dziesiątkom
artystów – Lanie Del Rey, Jaredowi Leto,
Amandzie Lear. Przy nich jej suknia
z mięsa wydaje się wyczynem debiutan-
ki. Czystym campem można nazwać
pastiszowe filmy Quentina Tarantino,
pełne brutalności, nawiązań do kultury
masowej i krwawych jatek traktowanych
niby półżartem.

Zeszłoroczny bal wydany przez MET
z okazji wystawy o motywach religijnych
w modzie „Heavenly Bodies” dał popis
campu. Różańce, krzyże, monstran-
cje, szaty liturgiczne wystąpiły w roli
rekwizytów. Religia stała się pretekstem
do maskarady. Suknia z trenem Sarah
Jessiki Parker, gwiazdy serialu „Seks
w wielkim mieście”, projektu Dolce &
Gabbana, wykonana ze złotego brokatu
w renesansowe wzory, usiana czerw-
nymi serduszkami. Czyż można przejść
wokół tego obojętnie? Cher

jako Matka Boska z aureolą wokół gło-
wy, wokalistka Katy Perry w złotej mini,
złotych kozakach z przyczepionymi
skrzydłami z prawdziwych piór (Versa-
ce) widziała się w roli anioła. Rihanna
w haftowanej szacie i papieskiej czapie.

ZGRYWA Z DOBREGO GUSTU

Nieprzypadkowo patronem i mece-
nasem wystawy o campie jest właśnie
marka Gucci. Jej projektant Alessandro
Michele w roku 2015 objął dyrekcję
artystyczną w Guccim i od właścicieli
Keringa dostał wolną rękę w kształtowa-
niu wizji tej marki. Wcześniej kojarzona
z dyskretną włoską elegancją miała te-
raz zmienić profil. Zastosowano terapię

**Camp według Susan Sontag
jest świadomym kiczem,
świadomie do niego dąży
i nigdy się nie obawia,
że przeholował**

wstrząsową: hałas medialny, wstrząs dla
przyzwyczajenia rynku mody. Mody jest
dzisiaj za dużo, ludzie są nią znudzeni,
potrzebują nowego impulsu. Michele
zamieszał w głowach tak, że ludzie
stracili rozum. Dostali to, czego jeszcze
nie mieli. I to się spodobało. Zgodnie
z życzeniami dyrekcji w roku 2017 dom
Gucci zanotował „wyjątkowo dobre
wyniki finansowe”.

Alessandro Michele przetrząsał hi-
storię ubioru nie po, by tam szukać
historycznych szat, ale by ze
zwykłych szmateksów wy-
ciągać pospolite wzorki,
nieistotne ubrania,
biedne materiały.

Zestawiał to z tymi
lepszymi – niby
przypadkowo,
ale w grun-
cie rzeczy
starannie
dobierając
kombinacje.
Nie przejmując
się proporcjami,
tym, czy kolory
i wzory do siebie
pasują. Im bardziej
nie pasują, tym lepiej.

Wszystko u niego staje się

zgrzywą z dobrego gustu, harmonii,
proporcji, przyzwyczajenia, żonglerką,
zabawą. To typowo campowe.

Ponowoczesność już wcześniej
kwestionowała zasady, puszczała oko do
„elit”, podważała konwencje, kpiła z „do-
brego gustu”. W sztuce wszystko już było
– realizm, romantyzm, prymitywizm,
surrealizm i dziesiątki „izmów”. W mo-
dzie istotnej rewolty jeszcze nie było –
no, może trochę lata 60. i hippisi. Potem
zapanował względny spokój. I teraz czas
na zmianę. Złamanie przyzwyczajenia, styl
fantazji i chaosu, kakofonii i przypadku.
Zakwestionowanie zasad kolorystycz-
nych, stylistycznych.

Na reklamowym zdjęciu kolekcji
Gucciego na jesień 2019 r. kruczowłosa
modelka jest w wełnianej kurtce w kratę
podbitej materiałem w łączkę, niebie-
skiej spódnicy w gwiazdki i księżycy,
jaką noszą ośmioletnie dziewczynki na
przedstawieniu w przedszkolu. Na szyi ma
zawieszono sznury plastikowych koralików,
na nogach białe rajstopy we wzorek oraz
kapcie w kratę ze sprzączką, które zorien-
towanym w temacie mody mogą przywieść
na myśl mokasyny Gucciego, przebój tego
słynnego włoskiego domu mody. W rękę
dziewczyna trzyma plastikowy termos,
z którego nalewa do kubka. Tłem jest
zaniedbany mur z obłazującym tynkiem.

Degeneracja estetyki? Zanik gustu?
Czy nowa estetyka, do której nie jeste-
śmy przyzwyczajeni i której się obawia-
my, nie potrafiąc jej zrozumieć? Tak jak
nie rozumiano wszystkiego, co nowe
w sztuce. Wielcy artyści umierali prze-
cież w samotności i nędzy, publiczność,
jeśli przychodziła na ich wystawy, to po
to, żeby ich wygwizdać. Może moda, sztu-
ka popularna, uważająca się za sztukę
wysoką, robi to samo? Frywolna, komicz-
na próbuje wyrwać nas z codzienności
swoimi sztuczkami.

W campową estetykę wpisał się
precyzyjnie nasz pisarz Michał Wit-
kowski. Przychodząc na pokazy mody
w Warszawie w szalonych, teatralnych
przebraniach, stał się bohaterem portali
plotkarskich. Jako Miss Gizzi prowadził
Fashion Pathology. Zarówno blog, jak
i stylizacje Witkowskiego okazały się
żartem z nadęcia, pretensjonalności i ze
sztuczności mody. Pisarz przyznał się do
tego: „Wszyscy, którzy podejrzywali, że
zabawa z show-biznesem to jakiś arty-
styczny happening, na pewno się ucieszą
z tego, że właśnie tak było”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Gavin Lewis,
Vice President,
Value, Access
& Policy,
Amgen

Rozmowa z Gavinem Lewisem, wiceprezesem firmy Amgen

Nowa idea finansowania systemu ochrony zdrowia

Amgen od wielu lat promuje koncepcję opieki zdrowotnej opartej na wartościach (VBHC). Jako absolwent studiów ekonomicznych mógłby pan w prostych słowach wytłumaczyć, dlaczego idea VBHC miałyby się opłacać nie tylko firmie farmaceutycznej, lecz także podatnikom finansującym system opieki zdrowotnej?

Podstawą opieki zdrowotnej opartej na wartościach są innowacyjne sposoby ograniczania strat i nieefektywności w systemie, przy jednoczesnej poprawie wyników leczenia pacjentów.

Obecnie systemy ochrony zdrowia zmagają się z wieloma wyzwaniami. Rosną koszty opieki medycznej. Pacjenci cierpią na nowotwory czy chorobę Alzheimera. Skutkiem starzenia się społeczeństw jest też gwałtowny wzrost liczby chorób przewlekłych. Wierzmy, że te problemy mogą być rozwiązane wyłącznie

wspólnymi siłami poprzez zmianę filozofii leczenia i skupienie się na efektach leczenia. W ten sposób można poprawić stan zdrowia pacjentów i doprowadzić do zrównoważonego rozwoju systemu opieki zdrowotnej. Przekonujemy, aby skupić się na pomiarze wyników leczenia – aby móc je poprawiać – jednocześnie znajdując nowe sposoby obniżenia kosztów w systemie opieki zdrowotnej. Taka filozofia przekłada się na większe korzyści dla pacjentów. Amgen jest jednym z prekursorów we wdrażaniu koncepcji opieki zdrowotnej opartej na wartościach w myśl założenia: właściwy lek dla właściwego pacjenta we właściwym czasie.

Takie podejście jest wartością nie tylko dla samego pacjenta, któremu zapewniamy poprawę zdrowia i lepszą jakość życia, lecz także dla całego społeczeństwa, ponieważ

pacjenci mogą znów brać aktywny udział w życiu społecznym, rodzinnym i zawodowym.

Jakie są doświadczenia Amgen w krajach, w których wprowadzono już elementy VBHC?

Misją Amgen jest dostarczanie pacjentom nowych leków i rozwiązań, które mogą radykalnie poprawić wyniki leczenia. Jednocześnie wierzymy w partnerstwo z lokalnymi podmiotami, mające na celu stworzenie zrównoważonego systemu opieki zdrowotnej.

Umowy VBHC są jednym ze sposobów osiągnięcia tego celu. Prowadzą do zmiany roli z dostawcy leków na pozycję prawdziwego partnera w ekosystemie opieki zdrowotnej.

W ramach szeroko rozumianej współpracy realizujemy kontrakty oparte na wynikach leczenia lub na wartościach związanych z daną technologią czy danym lekiem. Jesteśmy już zaangażowani w ponad 120 partnerstw opartych na wartościach w sześciu obszarach terapeutycznych w 35 krajach.

Na przykład w Finlandii Amgen we współpracy z płatnikiem stworzył opartą na wynikach umowę dotyczącą terapii szpiczaka mnogiego, aby umożliwić wdrożenie i docenienie efektów długoterminowego stosowania leczenia.

W Szwajcarii współpracujemy z kilkoma podmiotami w celu wykorzystania technologii rejestrów blockchain do automatyzacji kontroli refundacji leków na receptę, zmniejszenia obciążeń administracyjnych dla szpitali i ubezpieczycieli oraz przyspieszenia dostępu pacjentów do terapii. Opieka zdrowotna oparta na wartościach jest koncepcją przemiany – zmienia sposób myślenia o opiece medycznej i o całym systemie ochrony zdrowia.

Czy w przypadku VBHC da się ustalić ogólne zasady dla różnych leków, czy każdy przypadek trzeba rozpatrywać indywidualnie?

VBHC oznaczają, że miarą jakości są efekty terapii. Wyniki powinny być mierzone stanem zdrowia, obejmować pełny cykl leczenia choroby i monitorować stan zdrowia pacjentów już po zakończeniu leczenia. Chcemy zapewnić dostęp do leków wszystkim tym pacjentom, którzy odnoszą korzyści z ich stosowania, oferować terapie, które są rzeczywiście ukierunkowane na danego pacjenta, zintegrowane ze ścieżką

opieki oraz dostosowane do preferencji konkretnego chorego. Organizacje takie jak Międzynarodowe Konsorcjum Mierzenia Wyników w Służbie Zdrowia (ICHOM) tworzą globalną platformę, która pomaga w określaniu wspólnych mierników i standardów dla VBHC w poszczególnych obszarach, a także upowszechniają wiedzę na temat różnych systemów opieki zdrowotnej.

Czy wcielenie w życie zasady VBHC mogłoby przyspieszyć wprowadzanie na rynki takie jak Polska najbardziej innowacyjnych leków? Co z drogiymi lekami? Czy też byłyby stosowane?

Zdecydowanie tak. Większa wydajność i zmniejszenie niepotrzebnych wydatków mogłyby poszerzyć przestrzeń do finansowania innowacji. Skupienie się na wynikach pacjentów mogłoby stworzyć zachęty do o wiele szybszego wdrażania najnowszych leków. Pracujemy wspólnie z płatnikami i decydentami nad lepszymi, bardziej elastycznymi i całościowymi metodami oceny wartości, elastycznymi systemami cenowymi oraz realistycznym finansowaniem opieki zdrowotnej i leków.

To właśnie zasady VBHC zachęcają nas do wykazywania długoterminowej wartości terapii, wspierania systemu opieki medycznej w zakresie wyników klinicznych, operacyjnych i finansowych poprzez poprawę stanu zdrowia społeczeństwa. Dzięki VBHC możliwe było wprowadzenie programów przyspieszonego dostępu do leczenia na różnych rynkach, przez co pacjenci zyskali możliwość stosowania innowacyjnych leków, co z kolei przekłada się na poprawę wydajności i wyników leczenia.

Co o zmianie systemu finansowania leczenia sądzą lekarze i pacjenci? Jak duży strach przed zmianami obserwuje pan w środowisku lekarskim i wśród urzędników?

Wszystkie podmioty w ekosystemie opieki zdrowotnej troszczą się o trwałość finansowania opieki zdrowotnej. Ta wymaga zaś kreatywnych rozwiązań i pomysłów. Jak już wspominałem, wdrożenie koncepcji VBHC wymaga zmiany sposobu funkcjonowania opieki zdrowotnej, pomiaru jej efektywności, a także opracowania zasad, na podstawie których następuje ewentualny zwrot kosztów leczenia.

Oczywiście, każda zmiana budzi wątpliwości. Obserwujemy jednak, że koncepcja VBHC szybko zyskuje na

popularności w środowisku lekarskim i nie tylko. Sądzę, że wszyscy rozumiemy, iż umowy oparte na wartościach stanowią rzeczywistą próbę zaangażowania wszystkich kluczowych uczestników systemu opieki zdrowotnej w stworzenie lepszych rozwiązań dla pacjentów cierpiących na poważne choroby.

Zamiast podchodzić do opieki nad pacjentem jak do zbioru czysto finansowych transakcji, wszystkie podmioty mają możliwość – a może i obowiązek – doprowadzenia do poprawy wyników leczenia i doświadczeń pacjenta. Wysiłki te obejmują szereg elementów. Po pierwsze: zastosowanie jaśniejszych kryteriów wyboru pacjentów objętych konkretnym leczeniem. Po drugie: zapewnienie im lepszego wsparcia już po otrzymaniu leków, aby upewnić się, że przyjmują je właściwie.

Kluczowe jest także opracowanie większej ilości metod płatnicza za leki na podstawie wyników, co umożliwia dokładniejsze uchwycenie rzeczywistej wartości wytworzonej dla pacjenta, płatnika i dla społeczeństwa. I wreszcie korzystanie w opracowywaniu kompleksowych rozwiązań dla pacjentów z ogromnych postępów w naukach o danych, uczeniu maszynowym, a także z wszechobecności osobistych urządzeń mobilnych. Eksperci nie mają już żadnych wątpliwości, jak zwiększyć wartość opieki zdrowotnej. Pytanie brzmi, kto będzie przeprowadził procesowi zmian i jak szybko inni będą w stanie podążać za liderami.

Czy w każdej dziedzinie medycyny można zastosować zasadę płatnicza za efekt?

Wdrożenie koncepcji VBHC pozwala lekarzom na podejmowanie decyzji dotyczących leczenia na podstawie wyników, pacjentom daje dostęp do lepszej opieki, a płatnikom umożliwia płaćć tylko za te usługi, które dają jak najlepsze rezultaty. Z tego powodu idea opieki zdrowotnej opartej na wartościach ma więc sens dla wszystkich zainteresowanych stron, zwłaszcza w tych obszarach, w których istnieje duża niepewność, co do wyników danej strategii leczenia.

Wprowadzanie tej idei w Europie zostało już zapoczątkowane. Decyzja o tym, kiedy, w jaki sposób i na jaką skalę można wdrożyć tę koncepcję w życie, zależy od sytuacji na konkretnym rynku.

Czego firmy takie jak Amgen oczekują od resortów zdrowia?

Amgen odgrywa i będzie odgrywał kluczową rolę w systemach opieki zdrowotnej zarówno dzięki naszym lekom, jak i rozwiązaniom medycznym oraz nowym sposobom współpracy. Traktujemy przedstawicieli resortów zdrowia jak partnerów, którym zależy na rozwoju zrównoważonych systemów opieki zdrowotnej i osiąganiu możliwie jak najlepszych rezultatów leczenia u pacjentów.

Jednym z naszych oczekiwań jest więc skupienie się na tempie, w jakim pacjenci uzyskują dostęp do nowych leków. Zdarza się bowiem, że nawet, gdy lek zostanie już zarejestrowany, to i tak mija jeszcze kilka lat, zanim pacjenci uzyskają dostęp do przełomowych często produktów leczniczych.

Po drugie, aby nadażyć za szybko zmieniającymi się cechami nowych leków, kluczowe jest rozwijanie metod oceny ryzyka/korzyści i oceny technologii medycznych (HTA). Powiązanie ceny z wartością, którą zapewnia dany lek, daje wiarygodną podstawę do ustalania cen. Dla przykładu w Finlandii zawarliśmy kontrakt oparty na wynikach dotyczący raka jelita grubego – umożliwia on refundację kosztów leczenia tych pacjentów, u których w ciągu trzech miesięcy nie uzyskano odpowiedzi na leczenie pierwszego rzutu. Również w Polsce złożyliśmy opartą na wartościach ofertę leczenia szpiczaka i oczekujemy dialogu z ministerstwem dotyczącego możliwych rozwiązań. Na całym świecie Amgen zawarł już ponad sto umów opartych na wartościach, które przewidują ewentualny zwrot kosztów zastosowanych produktów, rabaty czy zniżki w zależności od wyników leczenia.

Patrząc w przyszłość, Amgen angażuje się we współpracę z przedstawicielami systemu opieki zdrowotnej, aby osiągnąć wspólny cel: zwiększenie korzyści dla pacjentów. Poza umowami dotyczącymi opieki opartej na wartościach współpracujemy z płatnikami, aby znaleźć nowe, innowacyjne sposoby współpracy, której celem jest zarówno poprawa dostępu pacjentów do leków, jak i zapewnienie przewidywalności budżetowej dla płatników.

Materiał powstał we współpracy z firmą Amgen

KATARZYNA PINKOSZ: Jeszcze w tym roku pierwsi na świecie pacjenci z chorobą Duchenne'a – a są to dzieci i młode osoby – będą mogli w Polsce otrzymać stworzoną przez pani zespół terapię. To nie jest zwykły lek, tylko komórki chimeryczne, czyli...
Właśnie: Co to właściwie są komórki chimeryczne?

PROF. MARIA SIEMIONOW: Komórki chimeryczne powstają z połączenia komórek dawcy i biorcy. Rzeczywiście pierwszą próbę kliniczną z zastosowaniem komórek chimerycznych chcemy przeprowadzić jeszcze w tym roku – u osób z dystrofią mięśniową Duchenne'a. W tej chorobie z powodu mutacji genetycznej organizm nie produkuje ważnego białka – dystrofiny znajdującej się w mięśniach. W efekcie przestają one normalnie funkcjonować. Dzieci zwykle rozwijają się normalnie do 3.–5. roku życia, ale z upływem czasu ich mięśnie stają się coraz słabsze. W ciężkich postaciach choroby już w wieku 5–7 lat dziecko często musi poruszać się na wózku inwalidzkim. Z czasem przestają funkcjonować też mięśnie oddechowe i konieczne jest zastosowanie respiratora. Wraz z postępem choroby dochodzi do niewydolności mięśnia sercowego i śmierci. Pacjenci z dystrofią mięśniową Duchenne'a żyją maksymalnie 20–30 lat.

Obecnie nie ma leku na dystrofię mięśniową Duchenne'a. Stąd jako nową terapię proponujemy komórki chimeryczne, które w przypadku dystrofii mięśniowej Duchenne'a będziemy tworzyć z komórek mięśnia ojca (lub innej zdrowej osoby spokrewnionej), które produkują dystrofinę. Połączymy je – drogą fuzji – z komórkami dziecka, które tego białka nie produkuje. Powstaną komórki chimeryczne, które następnie podamy choremu.

Komórka chimeryczna będzie produkować brakujące białko?

Taką mamy nadzieję, opierając się na naszych wieloletnich badaniach doświadczalnych.

Wydaje się to proste: wziąć coś od dawcy, biorcy, połączyć. Dlaczego nikt wcześniej na to wpadł?

Nie jest to takie proste. Ja zaczęłam pracę nad komórkami chimerycznymi 20 lat temu. Samo izolowanie oraz rozmnażanie komórek od biorcy i dawcy to tygodnie pracy. Potem komórki trzeba „zmusić” do połączenia i stworzyć chimery, które będą się zachowywać w określony sposób. Musimy mieć pewność, że ich podanie będzie bezpieczne, rzeczywiście zaczną one produkować brakujące białko, a poza



FOT. JAK LARRETE/POLARISFAST NEWS



Z prof. Marią Siemionow, chirurgiem transplantologiem rozmawia Katarzyna Pinkosz

Chimera, która leczy

tym, że organizm biorcy ich nie odrzuci. Jest taka szansa, ponieważ w 50 proc. będą to jego własne komórki. Nie będzie więc konieczności podawania leków immunosupresyjnych zapobiegających odrzuceniu podanych komórek chimerycznych.

Dzięki terapii jest szansa na zahamowanie rozwoju choroby?

Celem naszego pierwszego badania jest przede wszystkim ocena bezpieczeństwa terapii – zawsze taki jest cel badań klinicznych pierwszej fazy. Drugorzędowym celem jest oczywiście sprawdzenie, na ile terapia pomaga. Nie cofnie choroby, jednak mamy nadzieję, że uda się ją zneutralizować. Podobnie jak to się udaje np. w cukrzycy typu 1, gdzie chorzy mogą normalnie funkcjonować, przyjmując insulinę. Jeśli komórki chimeryczne zaczną produkować brakujące białko, to jest duża szansa, że osoby z dystrofią mięśniową Duchenne'a będą żyły nie 20–30 lat – jak to jest dziś – tylko na przykład 60 lat. Może będą normalnie chodzić, nie będą musiały być na respiratorze.

Ilu pacjentów zostanie poddanych terapii?

W pierwszym badaniu chcemy zastosować terapię u 10 pacjentów. To będą tylko osoby z Polski. Mamy już zgodę komisji bioetycznej. Część pacjentów jest już potencjalnie wybrana, jednak gdy będziemy mieć już zgody wszystkich instytucji, przystąpimy do rekrutacji pozostałych pacjentów. Jeżeli nasze pierwsze badanie się powiedzie, to kolejne (drugiej fazy) będzie większe: potrzeba będzie ok. 50 lub więcej osób.

Od wielu lat pracuje pani w Stanach. Jak to się stało, że pierwszymi pacjentami na świecie będą jednak pacjenci z Polski?

Pracuję w Stanach, jednak cały czas utrzymuję kontakty z Polską. Wraz z synem prof. Krzysztofem Siemionowem założyliśmy firmę Dystrogen Therapeutics. Dlaczego zajęliśmy się dystrofią mięśniową? Jako ortopedzi (ja jestem chirurgiem rekonstrukcyjnym, mikrochirurgiem, a także chirurgiem ortopedą) mieliśmy wielokrotnie kontakt z przerażonymi rodzicami, których dzieci nagle zaczynały się potykać i padała diagnoza „dystrofia mięśniowa”. Cieszę się, że jest szansa na pomoc tym chorym. Nie tylko nasza firma pracuje nad stworzeniem leku, lecz także są próby terapii genowej.

Planujemy, aby nasze badanie kliniczne rozpoczęło się jesienią. Dla pacjentów

będzie to terapia całkowicie bezpłatna. W uzasadnionych przypadkach będziemy też pokrywać koszty dojazdu do szpitala.

Już od dawna prowadzi pani prace nad komórkami chimerycznymi w transplantologii. Tam jednak cel był nieco inny...

Tam chodziło o połączenie komórek macierzystych pochodzących ze szpiku dawcy z komórkami macierzystymi szpiku biorcy, a następnie o podawanie komórek chimerycznych podczas zabiegu transplantacji – np. twarzy, nerki,

Zanim dokonaliśmy przeszczepienia twarzy, przeprowadziliśmy tysiące przeszczepów twarzy u szczurów. To lata pracy – podobnie jest dziś z zastosowaniem komórek chimerycznych

wątroby. Dzięki temu można by uniknąć konieczności przyjmowania leków immunosupresyjnych do końca życia.

Kiedy komórki chimeryczne zostaną zastosowane w transplantologii?

Już potrafimy je przygotować. By móc je zastosować u pacjenta, trzeba jeszcze wielu lat i milionów dolarów, by przejść wszystkie etapy badań klinicznych. Wyprodukowanie takiej nowej linii komórkowej to ogromne koszty. Oczywiście występujemy o granty, zabiegamy o pomoc różnych instytucji, inwestorów prywatnych. Od wielu lat mamy wsparcie Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych – w ostatnich latach było to ok. 10 mln dol.

Terapia komórkami chimerycznymi może być też szansą dla osób z innymi chorobami?

Mam taką nadzieję, np. w innych dystrofiach mięśniowych lub w chorobie Fabry'ego. Już dziś oprócz dystrofii Duchenne'a tworzymy też komórki chimeryczne do potencjalnego zastosowania w anemii sierpowatej. Tutaj wyszliśmy już nawet poza chimere: tworzymy trimere, czyli łączymy komórki od trzech różnych dawców, by stworzyć komórkę chimeryczną uniwersalną. Im więcej dawców, tym bardziej ta stworzona

komórka będzie przypominała komórkę uniwersalną, którą można będzie podać już niekoniecznie w terapii stricte personalizowanej. Nie zostanie od razu przez organizm odrzucona.

Chorzy z dystrofią Duchenne'a i ich rodziny liczą, że efekt terapii będzie takim samym sukcesem jak przeszczepienie twarzy, które wykonała pani 10 lat temu. Był to pierwszy przeszczep obejmujący tak rozległy obszar twarzy. Biorczyni była ofiarą postrzelenia. Dzięki operacji odzyskała zdolność samodzielnego oddychania, mówienia, jedzenia. Jak dziś czuje się Connie Culp?

Mówi, je, pije – co przed przeszczepieniem nie było możliwe. Normalnie żyje. W momencie przeszczepu miała 47 lat, teraz jest o 10 lat starsza. Patrząc jednak na nią dziś, trudno byłoby stwierdzić, że miała kiedyś tak zdeformowaną twarz i jest po przeszczepie twarzy. Zanim jednak tego dokonaliśmy, przeprowadziliśmy tysiące przeszczepów twarzy u szczurów, setki przeszczepów kończyn szczurów. To były lata pracy. Podobnie jest dziś z zastosowaniem komórek chimerycznych.

Przywraca pani ludzi do życia. To duża satysfakcja?

Oczywiście, jednak nie jest to łatwe. Jest wiele trudnych barier do pokonania, począwszy od znalezienia odpowiednich ludzi do pracy, odpowiedniego finansowania. W przypadku komórek chimerycznych trzeba cały czas sprawdzać, czy wszystko przebiega tak, jak powinno. Jedne komórki łączą się ze sobą chętnie w chimery, inne mniej chętnie. To jest biologia, za każdym razem ten proces przebiega w inny sposób. Zresztą zwróćmy uwagę, że nawet gdy jedna osoba weźmie aspirynę, nic się nie stanie, a inna może mieć nawet ciężką reakcję anafilaktyczną. W przypadku komórek chimerycznych za każdym razem mamy innego dawcę i innego biorcę. Za każdym razem komórki są inne, dlatego trzeba lat pracy, by efekty były przewidywalne. Mamy jednak nadzieję, że już jesienią pomogą pierwszym chorym.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Maria Siemionow – chirurg, chirurg plastyczny i mikrochirurg, pracuje na Uniwersytecie Illinois w Chicago College of Medicine, jest prezesem American Society for Reconstructive Transplantation. W 2008 r. wykonała pierwszy na świecie niemal całkowity przeszczep twarzy; wielokrotnie nagradzana, ostatnio Międzynarodową Nagrodą Zaufania Złoty Otis.

GRZECHY PIASTÓW

Jak Oleśnicki nie został rycerzem



JACEK KOMUDA

Zbigniew z Oleśnicy herbu Dębno tkwi w historii Polski jak posąg. Urodzony w 1389 r., syn Jana, sędziego ziemskiego krakowskiego, zdobywał nauki w sandomierskiej szkole kolegiackiej i na Uniwersytecie Krakowskim, był sekretarzem króla Władysława Jagiełły i notariuszem w kancelarii królewskiej. W 1423 r., jak podaje Maria Koczerska, przyjął święcenia kapłańskie i został biskupem krakowskim, a później pierwszym polskim kardynałem prowadzącym własną politykę, kiedy po śmierci króla Jagiełły przejął rządy. Zawzięty wróg królowej Zofii Holszańskiej, doprowadził do koronacji Władysława Warneńczyka, był zwolennikiem rozszerzania wpływów Polski na wschód i przeciwnikiem wojny trzynastoletniej z Krzyżakami; popierał odnowienie unii polsko-litewskiej. Był także przeciwnikiem husytów, wytepił ich, gromiąc Spytka z Melsztyna i innych jego zauszników w bitwie pod Grotnikami w 1439 r.

Oleśnicki jednak być może wcale nie osiągnąłby zaszczytów, gdyby nie zdarzenie, które miało miejsce u boku króla Jagiełły w bitwie pod Grunwaldem 15 lipca 1410 r. i które odmieniło bieg jego życia. Wówczas bowiem obchodzące prawe skrzydło polskie chorągwie wielkiego mistrza zakonu znalazły się blisko orszaku królewskiego i chociaż nie chciały go atakować, z ich szeregów wyrwał się rycerz z Łużyc – Dypold von Koekritz i pochyliwszy kopię, ruszył galopem na króla. To, co się wówczas stało, do dziś pozostaje niejasne. Według Długosza: „kiedy król polski Władysław usiłował podjąć z nim walkę, wywijając własną włócznią, stał się z nim; pisarz królewski Zbigniew z Oleśnicy bez zbroi i broni, mający na wpół złamaną włócznię, ugodził go w bok i zwałił z konia na ziemię. Leżącego na wznak wśród drgawek król Władysław trąciwszy włócznią w czoło,



FOT. WIKIPEDIA

które miał odsłonięte wskutek odsunięcia się przyłbicy do góry, zostawił nietkniętego. Ale natychmiast zabili go rycerze trzymający straż nad królem”. Zupełnie inny przebieg tego starcia podaje „Kronika konfliktu”, gdzie opisano, jak najpierw Jagiełło „własną ręką jego samego (Koekritza) zranił”, a dopiero później dobił go Oleśnicki.

Dwa najwybitniejsi historycy bitwy pod Grunwaldem – Andrzej Nadolski i Stefan M. Kuczyński – opisują te wydarzenia zgodnie z „Kroniką...”: najpierw Jagiełło zranił w twarz Koekritza, uderzając go kopią w głowę, następnie chwiałego się i ogłuszonego zwałił z siodła i zabił Oleśnickiego (wersja Nadolskiego). Wersja Kuczyńskiego różni się tylko tyle, że napastnik dobito został przez pieszych żołnierzy z eskorty króla.

Z rekonstruktorskiego punktu widzenia wersję Długosza należy odrzucić. Nie da się „trącić w odsłonięte czoło leżącego przeciwnika”, uderzając w galopie ciężką kopią rycerską ani nawet średniowieczną włócznią; chyba że przypadkowo – celując w głowę leżącego i chybiając celu. Sam miałem taką kopię w rękę, siedząc na koniu, i wiem, o czym piszę. Bez wszelkich wątpliwości Długosz usiłował

wybielić Oleśnickiego, swojego protektora i opiekuna, nie uchybiając przy okazji i królowi. Rzeczywistość była brutalna – przyszły kardynał po prostu dobił i zatłukł na śmierć Koekritza – posługując się, jak uważa Andrzej Nadolski – złomkiem kopii niczym maczugą. Był to poważny grzech i występек przeciwko honorowi rycerskiemu. Albowiem szarża rycerza z Łużyc okazała się po prostu wypełnieniem obyczaju zwanego po niemiecku „Stich ze rechten tjost” – pozwalającego na wyjście z sztyku i zaatakowanie wybranego przeciwnika w pojedynczym starciu. Z tego powodu, gdy Oleśnicki miał później zostać biskupem, musiał ubiegać się o dyspensę u papieża Marcina.

Historycy zgadzają się, że zamordowanie Koekritza zamknęło bohaterowi drogę do kariery świeckiej – nie mógł być pasowany na rycerza. Długosz pisze obłudnie, że Jagiełło chciał w zamian za uratowanie życia nagrodzić sekretarza pasem rycerskim, na co ten odpowiedział, że „winien być wcielony nie do świeckiego wojska, ale do duchownego, i że woli walczyć zawsze dla Chrystusa niż dla ziemskiego i śmiertelnego króla”. W rzeczywistości postępek wzburzył rycerzy tak bardzo, że odtąd Zbigniew kroczył tylko drogą kariery duchownej. Nie wiemy dokładnie, kto go potępił – rycerze nadwornej chorągwi królewskiej, heroldowie czy też po prostu rycerski sąd honorowy.

Dość jednak przyznać, że Oleśnicki nawet jako biskup miał zwyczaj okrutnie obchodzić się z pokonanymi wrogami. Kiedy w 1439 r. pokonał pod Grotnikami Spytka z Melsztyna, rannego i dobitego na pobojowisku: „ciało jego przez trzy dni, obnażone do naga, leżało w tym miejscu, gdzie go zabito, aż wreszcie z rozkazu króla wydano je żonie Beatrycze”. ©

NALEŚNIKI SENATORA JACKOWSKIEGO

Cała moja rodzina uwielbia naleśniki. Moja mama była znakomitą panią domu, doskonale gotowała, była nawet wykładowczynią towaroznawstwa na różnych kursach dla przyszłych kucharzy i cukierników. Tradycje kulinarne w moim domu rodzinnym były więc bardzo żywe. W sposób szczególny lubiliśmy naleśniki. Uwielbiają je również moja żona i dzieci. Jemy naleśniki pod różnymi postaciami – na słodko i nie na słodko, wypełnione różnym farszem. Najczęściej jest to biały ser, ale są różne warianty, m.in. ze szpinakiem czy z mięsem. Nie jest to może wyrafinowana potrawa, ale polecam państwu naleśniki z klasycznym nadzieniem serowym według naszej rodzinnej receptury.

Składniki:

Ciasto:

- 2 szklanki mąki pszennej
- 0,5 szklanki mąki żytniej
- 2 jajka
- 1,5 szklanki mleka (lub wody)
- 0,75 szklanki wody gazowanej
- szczypta soli
- olej roślinny i trochę masła

Nadzienie:

- biały ser
- śmietana lub jogurt
- cukier
- wanilia
- rodzynki
- skórka pomarańczowa

Przygotowanie:

Do miseczki wysypujemy mąkę, dodajemy jajka, mleko, wodę, szczyptę soli i miksujemy. Ilością wody regulujemy kon-

systemę – powinna przypominać śmietanę. Odstawiamy na jakiś czas, a później smażymy na oleju roślinnym lub kamiennej patelni. Aby przygotować klasyczne nadzienie, przekładamy ser do miseczki, dodajemy cukier i odrobinę śmietany lub jogurtu (nadzienie nie może być suche, ale powinno być zwarte), a następnie mieszamy, rozgniatając widelcem ser. Możemy dodać rodzynki i trochę skórki pomarańczowej. Wykładamy farsz na placki, zwijamy w rulon i podsmażamy delikatnie na maśle. Polecam podawać z odrobiną śmietany z cukrem, ze świeżymi truskawkami i szklanką mleka do popicia. ©

oprac. raw

*Jan Maria Jackowski
jest senatorem PiS.*



FOT. STEFAN KOSTENSKI/REPORTER



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jedzmy mniej mięsa

Przeciętny Amerykanin zjada ok. 100 kg mięsa i drobiu rocznie. To światowy rekordzista. Polak jest niewiele gorszy – 78 kg. Na naszych stołach wciąż króluje mięso. Tak dłużej być nie może, twierdzą badacze z Oksfordu, którzy zanalizowali związek między modelami konsumpcji a zmianami klimatu.

– Te badania to dla mnie szok. Ryzykujemy naruszenie równowagi całego systemu – powiedział dziennikowi „Guardian” Marco Springmann z uniwersytetu w Oksfordzie, szef zespołu, który wy-niki badań opublikował w czasopiśmie „Nature”. I dodał: – Jeśli naprawdę chcemy, żeby w dalszym ciągu ludzie mogli uprawiać ziemię i jeść, musimy się na to zdobyć. Żeby wystarczyć żywności dla globalnej populacji, która wkrótce osiągnie 10 mld, oraz stawić czoła degradacji środowiska, powinniśmy jeść o 75 proc. mięsa i o połowę jajek mniej.

Badacze twierdzą, że wysiłki w tym kierunku muszą być podjęte w pierwszej kolejności przez kraje rozwinięte, które powinny doprowadzić do radykalnej zmiany sposobu konsumpcji. W Stanach Zjednoczonych, które są rekordzistą spożycia mięsa na świecie, powinno się go jeść dwa razy mniej, spożycie mleka zmniejszyć o 60 proc. Więcej tych produktów potrzebują kraje o niskim dochodzie, gdzie niedożywienie jest problemem.

Rosnące spożycie mięsa związane jest ze wzrostem statusu społecznego. W Chinach, gdzie obecnie konsumuje się ok. 60 kg mięsa rocznie, w ciągu 40 lat nastąpił czterocyfrowy wzrost spożycia.

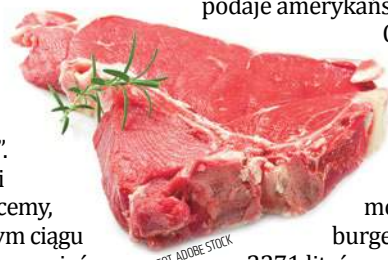
Produkcja mięsa pociąga za sobą wycinanie lasów i przekształcanie ich w pastwiska, co skutkuje zmianami klimatu i ekosystemu. Żeby wyprodukować paszę dla bydła i trzody, potrzeba coraz więcej ziemi i jeszcze więcej wody. Rośliny pastewne stanowią już ok. 36 proc. globalnego rolnictwa. Jak podaje amerykańska Służba

Geologiczna, żeby wyprodukować niespełna półkilogramy hamburgera, potrzeba

2271 litrów wody.

Dodajmy, że miliardy zwierząt hodowlanych wytwarzają ogromne ilości gazów cieplarnianych oraz powodują zanieczyszczenie wody swoimi odchodami. Aż 60 proc. żyjących na świecie ssaków stanowi bydło, 36 proc. to świny, a zaledwie 4 proc. to zwierzęta dziko żyjące. Podobnie jest z drobiem – stanowi on 70 proc. żyjących na świecie ptaków.

Raport badaczy z Oksfordu został opublikowany w tym samym tygodniu, w którym ukazały się analiza zmian klimatu wykonana przez Organizację Narodów Zjednoczonych oraz lista zaleceń. Spadek konsumpcji mięsa jest wysoko na liście warunków do spełnienia. ©



FOT. ADORÉ STOCK

REKORD NA LODZIE

280 km/godz. Taką maksymalną prędkość osiągnął kierowca prowadzący jeepa grand cherokee trackhawk po skutym lodem jeziorze Bajkał. Rosjanie potwierdzili także, że amerykańska bestia osiągnęła średnią prędkość wynoszącą ponad 257 km/godz. na dystansie 1 km, co oznacza, że Jeep pobił światowy rekord prędkości na lodzie w kategorii SUV. Dla bezpieczeństwa całkowita długość oczyszczonego z wszelkich przeszkód lodowego toru wynosiła 12 km.

Rekordowy model nadaje się do bicia rekordów nie tylko w syberyjskich warunkach. Auto pod maską kryje 6,2-litrowy silnik V8 o mocy aż 707 KM. Od zera do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 3,7 s, a wskazówka prędkościomierza może dojść aż do 290 km/godz.



KTO MA NAJDRÓŻSZE AUTO ŚWIATA?

Czarne Bugatti La Voiture Noire. Wyjątkowo piękne auto z 8-litrowym silnikiem o mocy 1,5 tys. KM pod maską trafiło do garażu słynnego miłośnika motoryzacji i piłkarza Cristiano Ronaldo – donoszą hiszpańskie media. Model zaprezentowany podczas Geneva Motor Show zostanie wyprodukowany wyłącznie w jednym egzemplarzu. Tajemniczy nabywca zapłacił po opodatkowaniu równowartość ok. 70 mln zł. Jeśli hiszpańskie media mają rację, to nie byłoby to pierwsze bugatti w garażu słynnego portugalskiego piłkarza. Dwa lata temu Ronaldo kupił już model Chiron, na który wydał ok. 12 mln zł. Na potwierdzenie rozwiązania zagadki możemy poczekać aż do roku 2021 – to wtedy supersamochód ma być gotowy do oficjalnego przekazania właścicielowi.

CABRIO DLA CESARZA

Nowy cesarz Japonii – Naruhito – podczas zaplanowanej na październik oficjalnej parady koronacyjnej będzie poruszał się niezwykłą toyotą century. Niezwykłą, ponieważ japoński koncern wyprodukuje tylko jedną sztukę tego modelu. Pod maską ma być zamontowany układ hybrydowy z 5-litrowym silnikiem V8 oraz z dwiema jednostkami elektrycznymi.



POLSKI SZALENIEC NA SŁOWACJI



Użyciem broni przez słowackich policjantów zakończył się wielokilometrowy pościg za kierowcą, który 2 maja uczestniczył w wypadku drogowym na Orawie, a następnie uciekł z miejsca zdarzenia. Ostatecznie policjanci musieli użyć broni i niemal zepchnąć auto z drogi. Za kierownicą mazdy siedział 20-letni Polak. „Polski szaleniec” został oskarżony przez śledczego Dyrekcji Okręgowej Korpusu Policji w Dolnym Kubinie o szczególnie poważne przestępstwo o ogólnym zagrożeniu. To nie pierwszy „wyczyn” Polaków w tym regionie. Jesienią zeszłego roku w wyniku rajdu trzech szaleńców z Polski, którzy ścigali się mercedesem, ferrari i porsche, doszło do wypadku. Śmierć poniósł w nim słowacki kierowca škody. ©

Jacek Przybylski

BMW ZNOWU KUSI

Chociaż BMW 8 serii 8 Coupé i serii 8 Cabrio debiutowały stosunkowo niedawno, to koncern już zaprezentował pierwsze zdjęcie nowego Gran Coupé. Premiera czterodrzwiowego samochodu sportowego zaplanowana jest na koniec czerwca. Do salonów ośmiemka w najnowszej wersji ma trafić we wrześniu.



FOT. MATERIAŁY PROSOWE (7)

Podróże nabierają koloru



RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIĄŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 309 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dom „pracy”

Pod koniec 2015 r. pani Teresa Potulicka-Łatyńska odzyskała wreszcie rodową posiadłość – XVII-wieczny, piękny, barokowy pałac z wielkim parkiem. W 1948 r. został zmieniony przez komunistów na pierwszy, wzorowany na sowieckim, Dom Pracy Twórczej literatów, „inżynierów dusz”. Użytkowali go blisko, 70 lat. Stratę odczuli więc bardzo boleśnie, urządzając w parku pożegnalną stypę i zapowiadając „upamiętnienie wielkiej roli Obór w naszej literaturze”. Zamiast jednak mit Obór podtrzymywać, czas najwyższy powiedzieć, że był to wyjątkowo wstydlivy rozdział powojennej literatury i dobrze, że został w końcu zamknięty, że ten relikw – luksusowy PRL-owski rezerwat, soc-Arkadia na

bezciesząc pałac – urządzając w nim „impresownię”, huczne weseliska dla nowobogackich.

Pisarze czuli się właścicielami Obór, nową arystokracją. Uważali, że „to się im należy”. Nikomu nie przeszkadzało, że była to własność odebrana zasłużonej rodzinie, która mieszkała tam 250 lat, i dzięki pracy wielu pokoleń zarówno majątek, jak i dwór po prostu kwitły. Dzieci z tej rodziny walczyły w powstaniu warszawskim, Teresa była łączniczką i sanitariuszką, a najmłodszy Jacek zginął. „Nie bywa się w cudzych domach podczas nieobecności gospodarzy” – uważało wielu pisarzy, m.in. Jasienica, Wańkowicz, Dygat, pokolenie najmłodsze, które tam nie jeździło. Jednak zdecydowana większość, zwłaszcza starszych, bez cienia żenady korzystała z antycznych mebli pochodzących także z innych zagrabionych dworów. Wypalała papierosami dziury w fotelach, niszczyła grzałkami blaty nocnych stolików (żona Słonimskiego, malarka, która była głównym „oborowym” i której nikt nie śmiał zwrócić uwagi, malowała na szafach esy-floresy, szybko więc wymieniono antyki na nowoczesną sosnę). Bez skrupułów jadali też na cudzych obrusach, srebrnej zastawie stołowej z rodzinny- mi herbami Potulickich. Cenna miśnięńska porcelana zginęła, a wieloletnie dochodzenie nie ujawniło winnych.

Nie przeszkadzały kolejki do wspólnych wychodków i łazienek, bo miały je tylko apartamenty dla oborskiej arystokracji – Słonimskiego, Julii Hartwig. Trudno było zasnąć, przeszkadzały pijackie imprezki Koła Młodych.

Czy nie zdawali obie sprawy, że ten raj, ta soc-Arkadia, był też jedną z głównych literackich „hakowni”? Skoszarowanie pisarzy w jednym

miejscu ułatwiało ich inwigilację. W Oborach donosili więc pisarze, tajni współpracownicy, m.in. TW „Andrzej” – Andrzej Kuśniewicz – i TW „Róża” – Krystyna Nepomucka, a także pracownicy Obór – TW „Adam” i TW „Liza”, jedna z kierowniczek. Inwigilowali pisarską opozycję, m.in. Jerzego Ficowskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Jerzego Narbutta, Mariana Brandysa.

Oborski rezerwat zapewniał też nowym właścicielom wyobcowanie z normalnego życia. To oni zbudowali nieistniejący za Potulickich okazały mur ogradzający pałac od powstałego na dawnym folwarku PGR. Postawili też przy bramie wjazdowej tablicę z napisem: „Obcym wstęp wzbroniony” i nie wpuszczali nawet szkolnych wycieczek. Nic dziwnego, że – jak wspominała reporterka Anna Strońska – „Czworaki nas nie pokochały, zaczęły się afronty. Miejscowi ciskali zza muru słowem i padliną. Kamienia też nie pożałowali”. Mur i tablicę tłumaczyli pisarze potrzebą ciszy do pracy nad ich wiekopomnymi dziełami, ale to mit kolejny, bo właśnie w Oborach powstały dzieła najgorsze – „Popiół i diament” Andrzejewskiego, „Czterej pancerni i pies” Przymanowskiego, „Władza” – socrealistyczny „paw” Konwickiego, który od tego czasu nie brał się tu do pióra.

Było tanio, przyjeżdżało się więc odpoczywać, biesiadować i romansować. Najtłumniej było w soboty i niedziele, gdy zjeżdżano tylko na obiady, o czym pisała już w 1953 r. Maria Dąbrowska: „Świat tych domów pracy twórczej i ich gości jest mocno dwuznaczny, nazwa ich lipna. Nikt w nich nie pracuje, piją i łajdaczą się, a biedne ekshrabiny (bo to one były zwykłe kierowniczkami) trzęsą się ze strachu, pasąc tę trzódkę i służąc jej kaprysom”. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Jest mi zawsze żal młodego, zdolnego idioty, który się dobrze zapowiada!



zrabowanej własności – przestał istnieć. Szkoda tylko, że tak późno, że reprezentująca pisarzy (ZLP, SPP i PEN Club) Fundacja Domu Literatury i Domów Pracy Twórczej przez wiele lat opóźniała oddanie pałacu prawowitej właścicielce, która założyła sprawę już w 1999 r., a w 2003 r. ją wygrała i sąd nakazał oddanie jej pałacu. Fundacja składała kolejne odwołania, apelacje, kasacje. A gdy Ministerstwo Kultury słusznie odmówiło dalszego dotowania Obór, fundacja zarabiała sama,

SŁAWOMIR
JASTRZĘBSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Poproszę jeszcze popcorn i colę

Jak powszechnie wiadomo (nie tylko Ryszardowi Petru), każdy kij ma awers i rewers. Natomiast Kazimierzowi Marcinkiewiczowi wiadomo, że złapał Kozak Tatarzyna, a Izabel się posypała. Nie chodzi o żadne tam ordynarno-prostackie skojarzenia, że świeżo młodzieńcza niegdyś istotka, którą pokochał Kazimierz, trachnięta została rydwanem czasu, co obniżyło jej ranking atrakcyjności.

Takie sformułowania jako niegodne należy potępić. Chodzi wyłącznie o to, że się posypała wersja Izabel oraz wygląda na to, że jej skomplikowane rusztowanie, z którym przemieszcza się po telewizjach i sądach, również się posypało. Już wyjaśniam pogmatwianie. Otóż, jak Państwo wiedzą, po fазie egzaltowanej miłości, która miała regenerować naszego byłego premiera młodą kobietą krwią, przyszła żwawo faza zmęczenia Izabel oraz rozvodu medialnego. O medialność tego wydarzenia skutecznie dbała Izabel, która po spowodowanym przez siebie wypadku doznała kontuzji barku i chodzi w specjalnym rusztowaniu na rękę i bark, wzbudzającym litość. Mówiła, że jest wszechstronną ofiarą tego Kazimierza i bardzo czuje się wykorzystana.

Tak cichcem to ja się zastanawiam, jak to jest możliwe i co to jest za kraj, w którym nauczyciel po studiach i fakultetach musi z 20 lat ciężko pracować, żeby zarobić 5 tys. zł, a Izabel 5 tys. zł alimentów dostała od sądu miesięcznie, które miał płacić Kazimierz po rozwodzie. Nie

na dzieci, bo żadnych dzieci nie mają. Kazimierz ma byłej żonie co miesiąc płacić piątkę, gdyż sąd uznał, że tak i już.

Ciekawy to kraj, gdzie bardziej opłaca się pomiłować trochę Kazimierza niż uczyć się lata ciężko oraz ciężko pracować. Taka tam darmo-wskazówka finansowa dla dziewcząt. Ale do rzeczy. Izabel urządziła Kazimierzowi naloty dywanowe, chodząc po telewizyjnych dywanach z rusztowaniem i mówiąc, że jej były mąż nie płaci jej alimentów, a ona z powodu tego niegodziwca cierpi okrutny niedostatek sąsiadujący wręcz z nędzą, i że w ogóle on alimenciariusz pójdzie przez to do więzienia.

Kazimierz czuł się z tym źle i mówił, że płaci, ile może, ale nie zawsze tę piątkę może. Teraz pismo przyszło do domu Kazimierza, z którego wynika, że on za łeb zaczął trzymać właśnie, choć nie Kozaka. Otóż w roku 2016 Izabel miała spowodować stłuczkę na Majorce, jadąc wypożyczonym samochodem i podobno przemieszczała się bez rusztowania. Za stłuczkę ponoć nie zapłaciła, więc ścigają Kazimierza.

Rysować mogą się tu dwie kwestie zmieniające nastawienie opinii publicznej, po pierwsze, że rusztowanie to lipa do robienia przedstawienia wzbudzającego litość, i po drugie, że biedy olbrzymiej nie ma, skoro się podróżuje po Majorce wypożyczonym samochodem. To z całą pewnością nie koniec naszego polityczno-celebryckiego serialu. Poproszę jeszcze popcorn i colę... ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Jaka polityka, taka „Gra o tron”

Czym jest polityka? to pytanie niemal tak stare jak „czym jest prawda?” wypowiedziane ustami Poncjusza Piłata. Arystoteles twierdził, że jest nią rządzenie w trosce o dobro wspólne. Max Weber zakładał z kolei, że polityka to dążenie do posiadania władzy i jej utrzymanie. Często nierozumiany w XXI w. Machiavelli uznał natomiast, że bez względu na środki, które prowadzą do celu, owym celem musi być racja stanu. Państwo i jego substancja stają się ważniejsze od partykularnej moralności władcy, która powinna złożyć pokłon skuteczności. Jest w tym wszystkim jeszcze jeden głos myśliciela – jak mówią o nim przyjaciele – prawdziwie „europejskiego formatu”. To Donald Tusk, który swoją wizję polityki wyłożył 3 maja na Uniwersytecie Warszawskim. – Polityka jest konkurencją, ale nie może być walką na śmierć i życie. To nie może być tak jak to pole bitwy na Winterfell, przyglądam się bez bicia, oglądam „Grę o tron”, nie wiem, czy to będzie spoiler, ale jedno wiem na pewno: jeśli nie znajdziemy sposobu na ograniczenie agresji w Polsce, to może się skończyć konfrontacją jak w „Grze o tron” z Królem Nocy. Nie mówię, że mam w głowie jakiegoś polskiego polityka, że on jest Królem Nocy – stwierdził szef Rady Europejskiej.

Chciałbym, aby wspólnie ze mną pochylili się państwo nad głębią tego przesłania, które przez część dziennikarzy i większość publiczności zgromadzonej na uniwersy-

teckiej auli uznane zostało za odkrywcze i odświeżające. Tak jak swego czasu Barack Obama otrzymywał stale uaktualnianą listę seriali, które powinien wymieniać na wiecowych przemówieniach, dowodząc swojego kontaktu z ludem, tak też i były polski premier powędrował w uliczkę zwaną popkulturą. Często jednak u polityków bywa tak, że nie wiedzą, o czym dokładnie mówią, a owa uliczka okazuje się ślepa.

Owszem, „Gra o tron” to kronika brutalnych spisków, zdrad, knowań, wojen i potyczek. Ta jednak, o której wspominał Tusk, nie miała niczego wspólnego z sytuacją w naszym kraju. W Winterfell, największym zamku na południe od muru, który chronił cywilizację przed Białymi Wędrowcami, rozegrała się bowiem bitwa nieumarłych ze zjednoczonymi siłami pozytywnych bohaterów serialu. Niemal do ostatniego żołnierza walczone o przetrwanie ludzkości, nie zaś w egoistycznej pogoni za władzą. Stawką walki z dowodzącym siłami nieumarłych Królem Nocy mogły być tylko życie lub śmierć. W takich chwilach nie ma środka. Polityczne knowania i tytułowa „Gra o tron” zaczęła się dopiero odcinek później, wraz z atakiem na uzurpującą władzę nad Siedmioma Królestwami złą do szpiku kości Cersei.

Tylko że, żeby to wiedzieć, seriale trzeba faktycznie oglądać, a nie tylko nawiązywać do nich, puszczając oko do wielkomiejskiego elektoratu. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Jaki kraj, taki Wolter

DONALD TUSK: *Mój profesor mówił: „Uniwersytety są po to, żeby przekraczać pewne granice”. I powiedział mi wtedy: „Nie wiem, czy pana uchronię przed usunięciem z uczelni, ale niech pan przekracza granice”.*

Tak były premier komentował awanturę o uniwersyteckie wystąpienie swojego „przedskoczek” Leszka Jażdżewskiego. Gdy 10 lat temu Paweł Zyzak obronił na Uniwersytecie Jagiellońskim pracę magisterską o Lechu Wałęsie, rząd Tuska nastąpił na uniwersytet kontrolę „w związku

publicznej” i był to pierwszy przypadek w historii Państwowej Komisji Akredytacyjnej, w którym zbadano jedną konkretną pracę magisterską. Platforma podjęła też próbę ukarania uniwersytetu obciążeniem mu dotacji, ukarany miał być też Instytut Pamięci Narodowej, który książkę wydał.

„Za pieniądze publiczne w Polsce nikt nie ma prawa kłamać, nikt nie ma prawa oczerniać Lecha Wałęsy, nikt nie ma prawa zatruchiwać życia publicznego” – odgrażał się wtedy Tusk, dzisiaj gorący zwolennik przekraczania granic na uniwersytetach. Pod warunkiem, oczywiście, że się wie, jakie granice wolno aktualnie przekraczać. Niektórzy zdają się wierzyć, że „Tusk się wściekł”, słuchając antykatolickiego hejtu Leszka Jażdżewskiego. Być może nawet tak było, ale z pewnością nie miał pretensji o treść ani formę jego wystąpienia, co najwyżej o to, jak skutecznie mu ukradł długo planowany comeback. Polityk, który kiedyś był posiadaczem najbardziej imponującego domowego ołtarzyka, co rok wywoził swoją partię na rekolekcje i wymyślił pojęcie „kościół łagiewnickiego”, dzisiaj podłączył się pod antyklerykalną rewolucję

i dyskretnie ustawia się na jej czele. Na razie jeszcze tak, żeby móc się w razie czego odciąć, tak jak kiedyś odcinał się od innych podobnie używanych postaci.

Trudno się jednak nie uśmiechnąć, gdy przy okazji zatrzymania Elżbiety Podleśnej – nawiasem mówiąc będącej nie tylko gorszącym pokazem siły i ewidentnym nadużyciem władzy, lecz także gigantycznym błędem politycznym – cytuję Woltera i z troską pochyla się nad perspektywą ukarania Podleśnej, wznosząc się przy tym na wyżyny patosu. „Polska będzie wolnościową demokracją – taką, o jaką walczyliśmy – póki nikt nikogo nie będzie straszył, przesładował, więził za przekonania, ekspresję myśli czy artystyczną wrażliwość”. Ładnie powiedziane, aż by się chciało, żeby autor tych słów – notabene chyba jedyny na świecie premier, który pozwał gazetę za żart primaaprilisowy – wrócił do władzy i pousuwał z prawa wszystkie przepisy, które za jego rządów pozwalały masowo karać za skandowanie: „Donald, matole”. Człowiek niemający nic przeciwko surowym karom za nazwanie go „matołem” jest mało przekonujący w pozie współczesnego Woltera. ©

To pierwszy przypadek w historii Państwowej Komisji Akredytacyjnej, w którym zbadano jedną konkretną pracę magisterską

z nieprawidłowościami metodologicznymi w procedurze przygotowania, zrecenzowania i obrony pracy magisterskiej pana Pawła Zyzaka na Wydziale Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego ujawnionymi w artykułach prasowych i szerokiej debacie

PODSŁUCHANE

Szlaban

Leszek, więcej czegoś takiego nie będzie! Następnym razem masz mi dostarczyć tekst swojego wystąpienia słowo w słowo. Na piśmie. Wydrukowany. Na papierze. Albo nie, następnego razu w ogóle nie będzie.

Ale Donald... Przecież ci mówiłem, o czym będę mówił. Że przywalę w Kościół.

A przywalaj sobie. Ale mam pytanie: Dostałeś kiedyś Nagrodę Karola Wielkiego?

Nie.

A ile masz doktoratów honoris causa?

Na razie żadnego, ale...

Właśnie. A ile razy pomagałeś Junckerowi zakładać marynarkę?

Ani razu, bo...

Otóż to. A ile razy odprowadzałeś naprutego Junckera do mieszkania?

Nie miałem okazji.

No właśnie. Wbij więc sobie do łba, że to ja tu jestem najważniejszy. Ja! I jak masz coś mówić, to mów tak, żebym to ja był potem w centrum. I nie patrz w komórkę, jak ze mną rozmawiasz!

Ale to SMS z Tefauen, zapraszają mnie...

Odmów. Od teraz masz szlaban. Pójdiesz, jak ja ci pozwolę. A teraz weź tę ściereczkę, co tam leży obok szafy, i wyglansuj mi buty. ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Występuję do sądu o prawdę przeciw IPN wraz z żądaniem wielomilionowego odszkodowania, przekazując pieniądze dla strajkujących nauczycieli”.

LECH WAŁĘSA na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



Antypolonizm Grossorobów

Mam bardzo przykry dla salonowych gnid nawyk mówienia o nich prawdy Polakom, wbrew propagandzie „Newsweeka”, TVN, „GW” i podobnych gadzinówek, okłamującej społeczeństwo w tzw. „żywe oczy”, czyli „na bezczela”, a także dostarczającej amunicji wrogom Polski szkalującym Polaków w ramach kampanii antypolonizmu. Jestem chyba jedynym z mojego pokolenia żyjącym „pismakiem”, który może to bezkarnie robić, salonowcy bowiem (Michniki, Lisy, itp.) nie mają na mnie żadnego „haka” z doby PRL-u — nie współpracowałem, nie należałem, nie czapkowałem, nie łasiłem się, nul! Biedaki! — to ich boli, dręczą ich ta bezoręczność. A mnie rozuchwała. Dziś o bękartach J. T. Grossa, autora „Sąsiadów” (2000), konfabulanta zwanego przez szyderców „makabrycznym bajkopisarzem”. Dla wieszających na nas holocaustowe psy stał się on guru i mentorem.

Żydzi pomawiali nas kalumnijnie o wiodące współsprawstwo Holocaustu już wtedy gdy Gross „nosił koszulę w zębach”, kilka dekad temu, co piętnowałem od początku lat 90-ych. Mógłbym wymienić mnóstwo paszkwiłanckich tytułów, choćby z „Yad Vashem Studies” rocznik 1957 („Olbrzymia większość polskiej chrześcijańskiej ludności współpracowała przy mordowaniu Żydów, kierując się wrodzonym antysemityzmem”), lub Nahuma Blumentala & Josepha Kermisha „Resistance in Warsaw Ghetto” 1965 („Nawet Polacy będący przeciwnikami hitlerowskiego reżimu i biorący udział w walce z okupantem twierdzili, że w oswobodzonej Polsce trzeba będzie wystawić Hitlerowi pomnik za uwolnienie jej od Żydów”), lub Reubena Ainszteina „Jewish Resistance” 1974 („Polscy faszyci z AK zabili w trakcie Powstania Warszawskiego więcej Żydów niż Niemców”), lub Tima Burforda przewodnik po Polsce „Hiking Guide to Poland” 1994 („Dziś co najmniej 40% narodu polskiego uprawia wojujący antysemityzm, wzorem swych przodków, którzy od «Żydzi nie mogą żyć wśród nas» doszli do radykalnego «Żydzi nie mogą żyć!»”), lub Sophie Caplan „Betrayed by Neighbours” 1995 („Nawet Żydzi, którzy przeżyli Holocaust, bo Polacy ich ukrywali, bardziej nienawidzą Polaków niż Niemców”), etc. Ciśnie się człowiekowi na usta (i pod pióro) stara mądrość rabinacka: „Jakie dobrodzieństwo ci uczyniłem, że mnie tak nienawidzisz?”.

Dzisiejsi specje od holocaustowego antypolonizmu małpują Grossa z takim samym zapalem, z jakim w XX wieku czerwoni ekonomiści oraz ideolodzy małpowali Marksa. Dopiero co ukazała się rozprawa kalifornijskiego profesora Williama H. Hagena o an-

tyżydowskiej przemocy na terenie Polski w okresie I Wojny Światowej i w pierwszych latach II RP: „Anti-Jewish Violence in Poland 1914–1920” (Cambridge University Press, 2018), choć autor zapuszcza też treścią macki dalej, ku końcowi lat 20-ych „sancynacyjnej Polski”, na terenie której żydowska mniejszość (10% populacji) cieszyła się przecież prawami, o jakich nie mogła marzyć gdzie indziej (choćby u Germanów czy Sowietów). Książka jest straszliwie Polakożerca, pełna fałszów i manipulacji. Mieszkający w Stanach polski historyk Marek J. Chodakiewicz zrecenzował ją, pisząc: „Hagen, epigon szkoły Grossa, spec od basowania mistrzowi, swą monografią, będącą skrajną interpretacją koncepcyjną w sosie postmodernizmu, marksizmu i freudyizmu, głosi, że za II RP «Żydzi cierpieli bezprecedensową przemoc pogromową i stałe prześladowania z rąk antysemickich żołnierzy polskich oraz cywilnego motłochu», a wybielał Polaków polscy historycy «fetyzyszyją dokładność faktograficzną»” (2019). To ostatnie jest rytualnym wytrychem dla kom-



„TALMUD”: „Ten, kto obmawia i świadczy fałszywie, godzien jest, aby go rzucić na pożarcie psom, gdyż powiedziano: «Nie będziesz rozgłaszał fałszywych wieści!»” („Pesachim” 118); „Albowiem powiedziano: «Będziesz stronił od kłamstwa!»” („Szewuot” 30)



binacji rutyniarzy antypolonizmu, według których nazbyt wnikliwe badanie faktów, zawieranie faktom — to demonizowanie faktów, ich nadwartościowywanie („fetyzyszowanie”), trzeba być bardziej politpoprawnie tolerancyjnym wobec alternatywnych rozwiązań. Chodakiewicz słusznie zwie to „postnauką”, wyjaśniając: „Do swego materiału Hagen podchodzi wybiórczo i chaotycznie, bez głębszej analizy i sprawdzania solidności wykorzystywanych tekstów. Rutynowo generalizuje w nieuprawniony sposób na podstawie wyjątków. Gdy fakty nie zgadzają się z jego ekstremalnymi tezami — albo je przemilcza, albo krytykuje (...) Ponadto w wielu miejscach metoda Hagena jest powtórką fałszywej metodologii Grossa. Powtarza główne żydowskie opinie o powszechnej przemocy wynikającej z polskiego antysemityzmu. Innych dowodów albo nie zna, albo je odrzuca” (2019).

Negowanie dowodów i uskrzydlenie pomówieniowych fobii to stały „modus operandi” Polakożerców zawodowo uprawiających holocaustową odmianę antypolonizmu. Ekstremalną ich areną — czymś w rodzaju gali wręczenia Oscarów za polonof-

bię — stał się 21 i 22 lutego Paryż. Dlaczego właśnie on? Bo Francuzi, najwięksi holocaustowi kolaboranci III Rzeszy, nie lubią rozpatrywać realizowanych własnymi rękami hurtowych wywózek Żydów z Vélodrome d’Hiver do komór niemieckich obozów zagłady — wolą (wzorem Niemców, i przy pomocy dzisiejszych Żydów) zwać winę na Polaków. Stąd bardzo chętnie — z udziałem najpoważniejszych francuskich instytucji naukowych — urządzili (nie bez pomocy swych polskich komilitonów, jak choćby osławiony Grabowski, spec od przypisywania Polakom zbrodni policji żydowskiej) wielką paryską konferencję „Nowa Polska Szkoła Historii Zagłady”, mającą być zmasowaną szczytnią przeciw Polsce jako głównej realizatorce „Shoah”. Całe dwie doby Gross i jego polska oraz cudzoziemska psiarnia łgali tam parascjentycznie bez żadnych zahamowań, choć nie bez protestów, gdyż na sali i pod gmachem asystowała temu sabatowi duża grupa Polonii francuskiej, przeważnie we francuskich goszyznowskich mediach „nienawistną hordą samozwańczych polskich patriotów”, gdyż żądała, by obozy śmierci nazywały niemieckimi. Kiedy dr Maciej Korkuc z IPN-u próbował prostować kłamstwa, które miotali prelegenci — już po pierwszym zdaniu odebrano mu głos!

W „polskojęzycznych” salonowych mediach („GW” itp.) ta paryska szczytnia zyskała bardzo pochlebne oceny (również w niemieckich), a spośród komentarzy krytycznych ujęła mnie swoją bezkompromisowością recenzja korespondenta z Paryża, Bogdana Dobosza. Wypunktował on główne draństwa konferencji, skarcił polskich renegeatów wtórujących szkalującemu wrogom RP, podkreślił aktualne przesłanie mocodawców sabatu („Ekipa Kaczyńskiego próbuje wybielać Polaków, co grozi wręcz powtórką z Holocaustu” — sic!!!), wreszcie zbesztiał prezesa PAN-u, Jerzego Duszyńskiego, za to, że ten specjalnym oświadczeniem apologetyzującym konferencję jako „dyskusję wolną od zaciętrzewień, uprzedzeń i ksenofobii” napiętnował paryską Polonię protestującą „przeciw wolności dialogu w nauce”. Dobosz: „Duszyński nie tylko staje w obrobie antypolskich oszczerstw, pisząc bzdury o «naukowym charakterze» konferencji, ale jeszcze «ubolewa» nad zachowaniem Polaków, którzy bronią dobrego imienia swojej Ojczyzny, a to jest już zwykłe zaprzaństwo (...) Sprawę rozjaśnić może tylko to, że w latach 2008–2009 Duszyński sprawował funkcję podsekretarza stanu w gabinecie Donalda Tuska. Ale czy to od razu musi oznaczać wejście na drogę zaprzaństwa?”.

Et voila! — na pohybel wam Grossie i Grossowa szczytnio! ©©

Waldemar Łysiak

WYGRAJ W ZŁOTEJ LOTERII

PONAD
660
NAGRÓD
DO
WYGRANIA

EURO JACKPOT

Weź udział w loterii od 10 maja do 7 czerwca 2019r.
Kup minimum jeden zakład gry Eurojackpot.



2x
TOYOTA
C-HR

41x
ZEGAREK MĘSKI

41x
ZEGAREK
DAMSKI



25x

SZTABKA
ZŁOTA
10g



559x

BON
UPOMINKOWY
YES 300 zł



Zwiększ swoją szansę na wygraną!

Kup minimum **2 zakłady** gry Eurojackpot na jednym kuponie i zarejestruj swój kod na www.loteriaeurojackpot.pl, a otrzymasz aż **3 szanse** na wygraną w losowaniach nagród I, II i III stopnia! Szczegóły dostępne w regulaminie loterii.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach



Zapoznaj się z regulaminem na www.loteriaeurojackpot.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 10 maja 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 7 czerwca 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną od poniedziałku do piątku w godz. 8:00-16:00 z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl/57cc47ab61